

Q

Projekt okładki

Małgorzata Karkowska

Zdjęcie na okładce Flash Press Media

Redaktor prowadzący Katarzyna Krawczyk

Redakcja

Krystyna Borowiecka-Strug

Redakcja techniczna Julita Czachorowska

Korekta Jadwiga Filier Grażyna He.

Copyright © by Ewa Błagaj'. Copyright © by Bertelsmann Media sp. z o.o., Warszawa 2005

Świat Książki

Warszawa 2005

Bertelsmann Media sp. z o.o.

ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie Joanna Duchnowska

Druk i oprawa Finidr s.r.o., Czechy

ISBN 83-7391-886-8 Nr 5156

Rodzicom

Od autorki

Wszystkie postaci i wydarzenia opisane w książce są fikcyjne, a ich ewentualna zbieżność z występującymi w rzeczywistości - przypadkowa.

Dziękuję panu Eugeniuszowi Kuprysiowi, hodowcy koni z Kostomłotów, za zgodę na wykorzystanie jego ośrodka jeździeckiego jako miejsca akcji.

Rozdział pierwszy

- Lolita zniknęła!

Filip był wyraźnie zdenerwowany. Choć zadzwonił o nieludzko wczesnej porze, i to w sobotę, jego telefon postawił mnie natychmiast na nogi.

- Jak to zniknęła?! - wydarłam się do słuchawki. - Żartujesz sobie ze mnie czy co?

- Wujek przed chwilą dzwonił cały roztrzęsiony. Ogiera też chcieli ukraść, ale się nie dał. Mam przyjechać, za jakiś kwadrans będę w Terespolu. Zabierasz się ze mną?

- Jasne. Czekaj tam, gdzie zwykle. Aha, chyba trzeba wezwać policję...

- Już to zrobił. Ale nas też potrzebuje, pospiesz się. Pa. Cmoknęłam na psa. Młody jasnobrzędy bokser i tak

kręcił się przy drzwiach jak korkociąg.

Burza, która długo w nocy nie pozwoliła mi zasnąć, ulewnym deszczem rozmiękczyła polną drogę, wijącą się prostopadle od ulicy, przy której mieszkam, poprzez pastwisko, aż do młodego sosnowego lasu. Szybko przebiegam między rzędami drzew i wychodzę po drugiej

9

stronie. W pobliżu skrzyżowania z międzynarodową trasą Berlin-Moskwa stoi biały volkswagen golf.

- Cześć, Filip.

- Witaj, Broszka.

Tym razem bez uśmiechów i przekomarzania się. Siadam obok i całuję go na powitanie, ledwie muskając wargami, choć bardzo się za nim stęskniłam. Kiler już wpakował się na tylne siedzenie, przezornie wysłane starym kocem. Zatrząskuję drzwi i uchylam okno.

- Jedź przez Michałków, będzie szybciej - proponuję.

O wiele bardziej lubię tę drogę biegnącą wałem przeciwpowodziowym wzdłuż Bugu. Jest mniej uczęszczana i tak tu pięknie! Dawno już wtedy nie jechałam, więc zachłannie przyglądam się polom. Dojrzewa żyto, przetykane kwiatami maków i chabrów, dalej ciągną się kanar-kowożółte łany rzepaku. Na poboczu kłosa traw kołyszą się na wietrze, rozsiewając nasiona. Dzikie rośliny na zeszłorocznym ściernisku tworzą barwne plamy. Dostrzegam brązowe smugi końskiego szczawiu i ciepłozółty dziurawiec. Bociany spacerują po skoszonej łące i chowają się za kupkami siana, którego nie zwieziono do stodoł. Wyjątkowo deszczowe w tym roku lato nie pozwoliło spóźniałskim go dosuszyć. Nad stawem pasą się krowy. Brzegi zbiornika powoli zarastają szorstką osoką. W płytkiej wodzie tkwi nieruchomo czapla siwa z wyciągniętą szyją. Czyha na ryby i płazy, które zwinnie przebija dziobem. Z tej odległości wygląda jak ubłocony bocian. Kilka ptaków unosi się majestatycznie na tle błękitu nieba porysowanego chmurami. To też czaple. Filip nauczył mnie, jak je rozpoznawać. W locie wyginają szyję w kształt litery S, a nogi wyciągają wzdłuż ciała.

10

Skrzydłami wykonują powolne ruchy, jakby wiosłowały. Horyzont po lewej stronie zamyka ściana drzew, za którymi kryje się Bug. Ich liście wydają się stąd prawie niebieskie na słońcu, a w zacienionych miejscach niemal czarne. Co ja robię w tej Warszawie przez cały rok? No dobrze, kiedy się uczę, nie tęsknię za domem, bo brak mi na to czasu, ale kiedy tu wracam i mam obok siebie Filipa, wszystko inne przestaje się liczyć.

- Cholera!

Głos Filipa wyrwał mnie z zamyślenia. Zapiszczały hamulce, przed samochodem przebiegło stadko kurczaków. Znów ruszyliśmy, przekraczając dozwoloną prędkość. Obserwowałam dłonie Filipa, gdy palcami postukiwał nerwowo w obręcz kierownicy. Było w tym geście coś tak ekscytującego, że po plecach przechodziły mi rozkoszne ciarki.

- Kochanie, nie denerwuj się tak - poprosiłam. - Koń na pewno się znajdzie.

- Nie wiadomo. A za miesiąc czempionat. Uniosłam brwi.

- Wujek przygotowywał Lolitę na wystawę w Janowie Podlaskim, przed sierpniową aukcją. Chce przypomnieć o niej koniarzom. Wtedy drożej sprzeda żrebaki.

- Nie sądziłam, że zależy mu na pieniądzach. Przecież trzyma konie dla przyjemności.

- Musi część sprzedać, żeby uratować resztę. Nie ma już z czego dokładać do hodowli.

Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Życia Wujka bez koni nie można było sobie nawet wyobrazić. Interesował się hodowlą, ale jeździć też lubił i zachęcał do tego innych. A że był niezwykle sympa-

11

tyczny i towarzyski, w jego małym ośrodku nie brakowało gości. Ja i Filip spędziliśmy tam prawie całe zeszłoroczne lato.

Kiler zaczął szaleć na tylnym siedzeniu: niezawodny sygnał, że dojeżdżamy do Kostomłotów. Filip zwolnił, minął cerkiew unicką i skręcił w polną drogę. Auto podskakiwało na kamieniach.

Z daleka zobaczyliśmy policyjny radiowóz i terenowego nissana, którym jeździł Wujek. Dwóch mężczyzn znaleźliśmy za domem na ujeżdżalni, odgródzonej od pastwiska drewnianymi drągami, częściowo świeżo pobielonymi. Pasły się tam kłacze ze żrebackami. Lolity nigdzie nie dostrzegłam.

- Jak to się stało? - zapytał Filip, już opanowany. Podziwiałam go. Przez całą drogę był roztrzęsiony, ale

teraz w jednej chwili odzyskał swą zwykłą powściągliwość faceta, którego trudno

wyprowadzić z równowagi. Wujek po rozmowie z policjantem także trochę się opanował. Jego relacja była rzeczowa i spokojna.

- Wczoraj sprzątałem siano z łąki, chciałem zdążyć przed burzą. Do koni zajrzałem później niż zwykle, koło dwudziestej. Były trochę niespokojne, bo nie dostały na czas obroku, ale nie miałem tu kogo podesłać. Nasypałem im owsa, zwałem słomę ze stryżku nad stajnią, pokręciłem się po obejściu i przed dziewiątą pojechałem do domu, bo zaczynało padać. Zdażyłem jeszcze sprawdzić, czy ogier jest dobrze zamknięty, bo spryciarz lubi bawić się zamkiem i nieraz sam sobie otwiera drzwi. Założyłem kłódkę, ale klucza nie przekręciłem. Zawsze tak robię. Na tym odludziu i tak nic im nigdy nie groziło, zresztą Borkowie mieszkają w pobliżu i rzucają okiem,

12

gdyby coś się działo. Przez całe lato klaczy nie zamykam na noc w stajni. Mają szopę, w której mogą się schronić, albo chodzą po pastwisku. Nawet drobne kradzieże się tu nie zdarzają. Miejscowi to porządni ludzie. Ostatnia rzecz, której mógłbym się spodziewać, to uprowadzenie konia!

Rzeczywiście, gospodarstwo Wujka leżało w zakolu Bugu, który w tym miejscu stanowił granicę naszego państwa z Białorusią. Patrolowały ją Wojska Ochrony Pogranicza. Natomiast od strony ulicy zabudowania skrywał wysoki żywopłot. Jedyna droga, którą można było dostać się samochodem do ośrodka, wiodła obok domu Borków. Ich psy nie przepuściłyby bez szczekania żadnego nocnego gościa, to pewne. Pozostała jeszcze jedna możliwość: ktoś mógł poprowadzić konia wzdłuż Bugu w jedną albo w drugą stronę. Pamiętałam z konnych spacerów, że skręcając w prawo, w zarośla na tyłach gospodarstwa Borków, docierało się po jakimś czasie do starych, opuszczonych zabudowań, z których jakoś trzymała się jedynie stodoła. Kiedyś mieszkała tam teściowa Borkowej. Schorowana kobieta zmarła kilka lat temu i odtąd gospodarstwo stopniowo niszczało. Do tego wiosną zalała je woda, która przybrała na Bugu. Gdyby ktoś poszedł z koniem tą ścieżką przez zarośla, dotarłby do ulicy, a wtedy szukaj wiatru w polu. Chyba że byłby tak głupi i ukrył konia w stodole.

Spytałam Wujka, czy to sprawdził.

- Od tego zacząłem. Nic tam nie ma, śladów też nie widać. Nie było jej tam na pewno.

- To może Świrus? - wtrącił Filip.

Świrus również mieszkał nad rzeką, ale na tyłach go-

13

spodarstwa Wujka. Za pastwiskami ciągnęły się dwa kilometry lasu, przez który wiodła ścieżka do konnych spacerów. Jechało się nad brzegiem Bugu i wracało przez środek sosnowego zagajnika. W najdalszym miejscu tej drogi widać było czasem konie Świrusa, a jak się miało szczęście, można było spotkać nawet jego samego.

Świrus był dziwakiem i odludkiem, uchodził za „głupiego Jasia”. Ubierał się jak amerykański kowboj. Trzy lata temu przyjechał nie wiadomo skąd i zaszył się w zaroślach. Do najbliższego zamieszkanego domu miał parę kilometrów. W nieużywanych tunelach foliowych trzymał kilka lub kilkanaście bardzo starych koni, które ledwie mógł wyżywić. Nazywał to schroniskiem i niektórzy gospodarze oddawali mu swoje stare szkapy, gdy nie opłacało się ich nawet wieźć do rzeźnika. Mówiąc o Świrusie, pukali się w czoło, ale ja, choć widziałam go tylko jeden raz, dosyć go lubiłam.

- Może mu coś odbiło - ciągnął swoje Filip. - Wiecie, jaki on jest. Dziwak mógł uprowadzić konia, jeśli uznał, że mu tutaj źle. Albo klacz przestraszyła się błyskawic, przeskoczyła ogrodzenie i sama do niego pobiegła.

- Wykluczone - pokręcił głową Wujek. - Konie mają instynkt stadny i w czasie burzy trzymają się razem, to po pierwsze. A po drugie, u niego też byłem, razem ze Zbyszkiem. - Wskazał na policjanta.

- Niczego podejrzanego nie znaleźliśmy - poświadczył sierżant, który miał wreszcie okazję zabrać głos.

- Zresztą Świrus nie szarpałby się z ogierem - rozważał dalej Wujek. - Coś wam pokażę.

Przeszliśmy na drugą stronę ujeżdżalni, gdzie za wy-

14

sokim ogrodzeniem z mocnych bali stała nieduża drewniana stajnia. Siwy arab podniósł wysoko głowę, usłyszawszy, że się zbliżamy. Bryknął z młodzieńczą fantazją i przygalopował do swego opiekuna. Ogier w tym roku stał beczynnie i wyraźnie się nudził. Pogryzione ogrodzenie nosiło ślady wielokrotnych napraw. Weszliśmy do środka.

- Za stary już jestem na taką wyczynową jazdę - tłumaczył się Wujek. Kawałkiem jabłka odwrócił uwagę konia i przypiął do jego kantara długą linkę. - Kto mnie zastąpi, jeśli się połamię? Nikt nie chce na niego wsiadać. Wszyscy się boją. Ruszam go trochę na lonży, ale co to dla niego.

Cmoknął na siwego. Ogier wykonał zadem lekki uwodzicielski płas, wzniosł buńczucznie ogon i zaczął kłusować po okręgu. Prychał przy tym i rozglądał się na boki.

Przyglądaliśmy się, jak wysoko wyrzuca kopyta i z pasją rasowego zwierzęcia uderza nimi o ziemię.

- W tym miejscu przywiązano sznurek - przerwał ciszę policjant, wskazując na najwyższy drąg ogrodzenia obok drzwi stajni. - Był przzerwany, drugiego końca nie udało się znaleźć. To jest bardzo dziwne, nie uważacie? Jeśli ktoś uczeplił konia i zwierzę się zerwało, postronek powinien zwisać mu z kantara. Chyba że jakimś cudem udało się temu komuś odpiąć go i zabrać. Ale nie wiem doprawdy, jak to zrobił, ja bałbym się podejść do takiego nerwusa.

Rzeczywiście, ogier był ostatnio zbyt pobudliwy, lecz nie wynikało to ze złośliwego charakteru. Brakowało mu po prostu galopu i wysiłku.

Pochyliłam się nad miejscem, które wskazał funkcjo-

15

nariusz. Na drewnie odznaczył się wyraźny ślad po mocnym szarpnięciu za sznur. To musiał zrobić koń. Żaden człowiek nie ma takiej siły.

- Gdzie ta linka? - zainteresowałam się.

- W radiowozie. Chcę zabezpieczyć odciski palców. To zwykły postronek, na jakim rolnicy prowadzą zwierzęta. Spleciony warkocz z kilku nylonowych sznurków do snopowiązałki.

Nie musiał mi tłumaczyć. Całe życie mieszkam z dziadkami na obrzeżu Terespoła, prawie jak na wsi.

- W dodatku drzwi były otwarte na oścież, mimo że założyłem kłódkę - wtrącił Wujek.

- To wygląda na zaplanowaną kradzież - Filip powiedział głośno to, o czym wszyscy myśleliśmy. - Ktoś znał wartość Lolity bo jak inaczej wybrałby bezbłędnie jedyną naprawdę cenną klacz w tym towarzystwie? Widać miał ochotę i na tego kawalera, ale nie przewidział, że stawi opór. Nie mógł się z nim dogadać, więc zrezygnował. Tylko kto to mógł być?

No właśnie.

- Przyszedł mi do głowy pewien pomysł - przyznał zawstydzony Wujek. - Może to... Józio.

Glupio mu było oskarżać kogoś, kto zaczął pracować u niego, zaledwie skończywszy szesnaście lat, i do dziś darzył go wręcz synowskim przywiązaniem. Gdy rozpadł się pegeer, którym kierował Wujek, Józio ostatni dostał wymówienie. Jakiś czas

handlował końmi roboczymi, ale nikt, kto go znał, nie uwierzyłby, że robił to nieuczciwie. Kręactwo nie leżało w jego naturze. Chyba dlatego że niewiele zarabiał, wkrótce porzucił to zajęcie. Otworzył sklep z artykułami spożywczo-przemysłowymi.

16

- Warto sprawdzić - zgodził się Zbyszek.

Sama nie wiedziałam, czego bardziej pragnę: żeby znalazła się Lolita, czy żeby okazało się, że ten zabawny drobny człowieczek jest jednak taki, za jakiego go uważałam: nieszkodliwy, pogodny i towarzyski. Czasem gawędziłam z nim, gdy wędkował nad Bugiem. Polubiłam go.

- Im szybciej to zrobimy, tym lepiej - zdecydował Wujek. Uważał sprawdzenie Józia za czystą formalność i nieprzyjemny obowiązek. Wolał mieć to już za sobą. Zatrzymał konia i odpiął taśmę do lonżowania. Zwierzę lekko robiło bokami, lecz nie sprawiało wrażenia specjalnie zmęczonego. - Kiedy ostygnie, pobierz mu krew do badania. Nie wiadomo, czy go czymś nie naszprycowa-li - zwrócił się do Filipa, wsiadając do radiowozu.

Zostaliśmy sami na farmie. Ogier stał teraz spokojnie i nie bronił się, gdy podeszłam, aby go przytrzymać. Filip przyniósł z samochodu torbę lekarską. Zawahał się nad wyborem strzykawki. Zafascynowana przyglądałam się jego wprawnym dłoniom, gdy nakłuwał skórę na karku konia.

Wrócili za godzinę. Po minach odgadłam, że nic nie znaleźli.

- Józia nie było w domu, zastaliśmy tylko żonę - referował sierżant. - Na podwórzu. Wyjaśniłem, że chcemy sprawdzić, czy nie ma u nich konia, który w nocy zginął z ośrodka. Wcale się nie przestraszyła. Klaczy ani śladu. Zuk przystosowany do wożenia zwierząt stoi na miejscu. Nie był ruszany. Nawet nie jest na chodzie.

- A gdzie Józio?

o ' ^ i

- Pojechał po towar do Warszawy dostawczym polonezem. Konia do niego raczej nie zapakował.

- Długo was nie było - mruknął Filip.

- Odwiedziliśmy jeszcze kilka innych gospodarstw. Bez rezultatu - szczerze martwił się Zbyszek.

Ustaliliśmy plan działania. Wujek weźmie auto i objedzie najbliższe targi końskie: w Trzebieszowie, Stoczku Łukowskim, Piaskach koło Lublina i gdzie tam jeszcze są - on i Filip najlepiej się na tym znają. Przełożony sierżanta powiadomi tamtejszą polię, żeby w razie czego pomogła. Może Wujek wróci dopiero jutro, więc Filip zostanie na noc pilnować koni. A co ze mną? Popatrzyliśmy na siebie i żadne nie musiało nic mówić. Nadarzała się wyjątkowa okazja, nie mogliśmy jej przegapić.

- Zadzwoń do dziadków, żeby się nie martwili. Powiem, że nocuję u Edyty.

Edyta wyjechała do pracy za granicę, ale dziadkowie nie musieli przecież o tym wiedzieć. Przyjaciółka już nieraz kryła mnie, gdy umawiałam się z Filipem. Mieszkała w Lebieziewie, po drodze między Kostomłotami a Terespołem. Wielokrotnie wysiadałam z samochodu Filipa w pobliżu jej domu, a stamtąd sama albo z Kilerem docierałam pieszo do domu.

Filip stanął na wysokości zadania. Kiedy wyszłam z łazienki, na stole w salonie zobaczyłam dwa potężne kieliszki czerwonego wina z zapasów Wujka i apetycznie wyglądającą kolację z produktów od Borkowej. Na kominku płonął ogień, a okna szczelnie zakrywały zasłony z połyskliwej materii. W mroku, rozjaśnianym jedynie płomieniem, wydawała się szczerozłota. Usiadłam na so-

18

fie tak blisko niego, że nasze ramiona i uda otarły się o siebie. Żadne z nas nawet nie spojrzęło na zastawiony stół, choć odczuwaliśmy przecież głód.

Odchyliłam się, łagodnie poddając się woli Filipa. Jego palce przesunęły się po moim ciele jak stado biegnących pajęczków, delikatne i ciepłe, budzące dreszcz rozkoszy, ale pomieszanej z lękiem, jaki wywoływała we mnie myśl o tych zwierzętach. Po chwili poczułam, że gniotę zwisający ze stołu brzeg obrusa, zaciskając na nim dłoń coraz mocniej i mocniej.

Rozdział drugi

Zbudziłam się pierwsza wcześniej rano i wymknęłam z domu, aby nakarmić psa, który nocował na dworze z końmi. Świt nastrajał mnie optymistycznie. Ciekawe, jak wiele dzisiaj zdradzę blaskiem oczu, swobodniejszym zachowaniem, zabawniejszymi żartami i większym niż zwykle pobłażaniem dla ludzkich słabości. Rozpierała mnie energia i chciałam pomyśleć jeszcze trochę o tym, co zdarzyło się w nocy. Zabrałam więc Kilera na długi spacer po lesie ciągnącym się na skraju pastwisk Wujka. Pachniała wilgotna od deszczu ziemia, ale chmury rozstały się i blask słoneczny kapał na ziemię przez gęste zwały sosnowych koron, białymi plamami płynął po trawach i ziołach poszycia. W tym lesie Filip pocałował mnie pierwszy raz. Spróbuję odnaleźć miejsce, w którym to się stało.

- No, wyłaźże z tych krzaków - niecierpliwiłam się. Kiler, zwykle posłuszny, czasami wycinał takie numery, kiedy na przykład znalazł krecią norkę albo wyjątkowo aromatyczny śmieć. Prosiłam, groziłam i nic. Musiałam

20

go wypłoszyć, zanim znów połknie jakąś reklamówkę. Ruszyłam w jego stronę zdecydowanym krokiem. - Słuchaj, paskudny czworonogu, bo jak cię trzasnę, to... O Boże!

Powodem zainteresowania mojego psa nie była tym razem krecia norka. Ani nawet śmietnik.

- Filip, obudź się! - prawie wjechałam do sypialni na pięknych drzwiach z sosnowego drewna. Nie było tu nikogo. - Gdzie ty jesteś?!

- Tutaj - rozległo się z kuchni. Smażył właśnie naleśniki, których zapach odtąd fatalnie mi się kojarzy. - Co się stało?

- Słuchaj, Filip. - Nie mogłam złapać tchu. - Ja... ja widziałam trupa w zaroślach nad Bugiem. I to był chyba Chińczyk.

- Pewnie kulawy i z jednym okiem. I powiedział ci, gdzie jest Lolita, tak?

- Ty się ze mnie nie śmiej, ja mówię poważnie. Pies go znalazł. Prawie przy drodze, tej obok rzeki, jak się idzie do Świrusa. Ktoś go nieźle urządził, czoło ma sine i rozbite z jednej strony. Żebyś ty widział jego twarz! Tych oczu to ja w życiu nie zapomnę. On wyglądał, jakby na mnie patrzył!

Filip wyłączył gaz, zsunął ostatniego naleśnika na talerz i pustą patelnię odstawił do zlewu. Jego spokój mnie drażnił.

- Może jeszcze żyje, tylko stracił przytomność. Daleko stąd leży?

No tak, weterynarz to też lekarz. Ale tamtemu nikt już nie pomoże.

21

- Na pewno jest martwy. Cóż, jak chcesz, to idź. Weź Kilera, on znajdzie drogę. Ja poczekam tu na Wujka.

- W takim razie zostanę z tobą - zdecydował. - Zjawi się lada moment. Dzwonił do mnie z komórki.

Odkręcił kran i umył ręce tak dokładnie, jakby miał za chwilę operować chore zwierzę.

Tak zobaczyłam go po raz pierwszy prawie dwa lata temu. Byłam wtedy w połowie trzeciej klasy liceum. Uparłam się, że pójdę do tej samej szkoły średniej co Edyta.

Przez całą podstawówkę trzymałyśmy się razem. Teraz wspólnie zamieszkałyśmy na stacji z jej starszą siostrą Mariolką, która już pracowała. I to było najfajniejsze. Bo z nauką szło nam znacznie gorzej niż do tej pory. Z trudem nadążałyśmy za

rówieśnikami ze stolicy. Mimo to udało mi się zaliczyć kolejne półrocze i wróciłam do domu cała w skowronkach. Spadł śnieg, zapowiadały się ładne ferie. Weszłam rozradowana do kuchni, by przywitać się z dziadkami, a tu jakiś obcy facet myje ręce nad zlewem. Okazało się, że Maciek, nasz wałach, pośliznął się na lodzie i na piersi zrobił mu się duży, paskudny krwiak. Razem ze wszystkimi poszłam do stajni, aby klepać konia po szyi i dodawać mu otuchy. Weterynarz zbadał zmianę. Potem wygolił klatkę piersiową pacjenta, na której wyraźniej uwidoczniła się charakterystyczna blizna. Maciek miał ją od dawna. Wyglądała jak skierowana do góry strzała z grotem odłupanym z jednej strony. Albo jak jedyńka.

Zdezynfekował wygolone miejsce, naciął krwiak skalpelem, oczyścił ranę i przemył środkami antyseptycznymi. Zaaplikował antybiotyki. Zauważyłam, że nie ma obrączki, ale wtedy jeszcze nie zrobił na mnie większego wrażenia.

22

- Już jedzie - głos Filipa wyrwał mnie z zamyślenia. Zbiegliśmy po schodach na podwórze.

Wyraz twarzy Wujka zdradzał wszystko: nie ma co liczyć na szybkie odzyskanie konia. W samo znalezienie Lolity jeszcze wierzyliśmy. Opowiedziałam mu o Chińczyku. Nie dowierzał, jednak zgodził się wybrać do lasu z policją. Trzęsło mną na myśl o ponownym oglądaniu zwłok. Do tej pory byłam na pogrzebie tylko raz: gdy zginęli w wypadku samochodowym moi rodzice. Dawno, miałam wtedy pięć lat. No i oni nie patrzyli na mnie szeroko otwartymi oczyma.

Z całą pewnością trupa w lesie nie było.

- Może ci się przywidziało? Albo on leżał gdzieś indziej?

- Nie, tutaj. Ale możemy poszukać.

Kiler kręcił się to w jedną, to w drugą stronę. Jak większość bokserów nie miał najlepszego węchu, a ja nigdy nie szkoliłam go w tym kierunku. Teraz takie zdolności bardzo by się przydały. W miejscu, gdzie godzinę wcześniej leżał martwy Chińczyk, zostało ledwie dostrzegalne wgniecenie w trawie, która i tak pokładała się wszędzie pod naporem ulewnego deszczu, bo ostatniej nocy znów padało. Jeśli ktoś go zabrał, powinien zostawić ślady na piaszczystej drodze. Tymczasem widniały tu jedynie świeże okrągłe wgniecenia, przypominające rozmiarem talerzyki deserowe i w wielu miejscach zachodzące jedne na drugie. Znak, że Świrus zdążył już napić swoje stado. Co dzień rano i wieczorem prowadzał je w to miejsce nad Bugiem, gdzie kończył się stromy brzeg i zaczynało łagodne piaszczyste zbocze. Obok zwierzęcych tropów

23

widniały ślady kowbojskich butów Świrusa. Dziwne, że nigdy nie wsiadł na konia, choć tak je lubił. Prawda, i bez jeźdźca na grzbiecie ledwie poruszały się o własnych siłach. Tak były stare i zabiedzone.

Przetrząsanie lasu nic nie dało. Prawie pozwoliłam sobie wmówić, że uległam jakiejś niepojętej halucynacji. A jeżeli nie, to co się tutaj, do licha ciężkiego, dzieje?!

Po powrocie zastaliśmy na werandzie gościa. Irena, nauczycielka z Białej Podlaskiej, często przyjeżdżała popracować z trudniejszymi końmi. Poza ogierem wszystkie były jej posłuszne. Oprócz niej i nas ośrodek odwiedzały głównie dzieciaki. Za słabo trzymały się w siodle, żeby dostawać mniej ujeżdżone wierzchowce. Pomoc Ireny przy układaniu koni trudno było przecenić, bo znała się na tym jak nikt. Jednak nie przepadałam za nią. W myślach przezywałam ją Żabioustą.

- Wreszcie się was doczekałam! - Rozciągnęła szerokie wargi w uśmiechu i jak zwykle nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że zaraz wysunie spomiędzy lśniących zębów długi, cienki języczek, by pochwycić w locie muchę, tak jak to robią żaby. - Kochani, co się tutaj dzieje?

Zdziwiłam się, że nic nie wie. Lolita zniknęła wczoraj, a wydawało się, że szukamy jej

od tygodnia. Ale niby kto miał Irenie powiedzieć? Nie zaglądała tu od kilku dni. Filip unikał jej spojrzenia. Wujek po raz kolejny opowiedział swoją wersję wydarzeń.

- Taka strata! - Pokręciła głową jakby z niedowierzaniem i sięgnęła po zapalniczkę. - Ktoś musiał mieć dobre rozeznanie.

24

Nic odkrywczego, pomyślałam z przekąsem. Denerwowała mnie swoją obsesją na punkcie papierosów. Wciąż albo paliła, albo wtykała jednego za ucho w sposób, w jaki dziennikarze na filmach noszą długopisy. Przy krótko obciętych włosach i męskim sposobie bycia nałóg ten nadawał jej wygląd pewnej siebie feministki. Przynajmniej na mnie sprawiała takie wrażenie. Ciekawe, czego uczy te biedne dzieciaki. Karate na WF-ie czy strzelania na przysposobieniu obronnym?

- Najważniejsze, żeby znalazła się przed czempiona-tem. Koniarze muszą zobaczyć, że wnuczka dwóch sławnych ogierów, El Paso i Bandosa, wróciła do ojczyzny. Zabrzmiało to jakoś zbyt egzaltowanie, choć trzeba przyznać, że Wujek wiele razy opowiadał, ile kosztowało go zdobycie tej klaczy. Jako trzylatkę sprzedano ją na aukcji w Janowie Podlaskim miłośniczce polskich arabów z USA. Lolita sprawdziła się w hodowli i co roku na pokazach za oceanem zdobywała nagrody. Kiedy właścicielka zmarła, jej dzieci zlikwidowały stadninę. Przypadkiem dowiedział się o tym znajomy Wujka, który przebywał w Stanach. Wiedział, że ten szuka dobrej klaczy na matkę stadną, więc od razu się z nim skontaktował. Potem przeprowadził transakcję i wsadził konia w specjalny samolot do Polski. Mało to nie kosztowało, ale że klacz poszła w tak zwanej cichej sprzedaży, wyszło taniej niż kupno porównywalnego z nią zwierzęcia w janowskiej stadninie. Pomijając fakt, że dyrektor, znakomity hodowca, nie sprzedałby tak zasłużonej klaczy.

- Do końca życia nie spłacę tych rat - wzdychał czasem Wujek, mierzwiąc grzywę na karku gniadej arabki.

Cieszył się nią niecały rok.

25

Filip pierwszy wstał z ławki na werandzie. Długo omawialiśmy sprawę Lolity, snując na temat jej zniknięcia najróżniejsze przypuszczenia.

- Gdyby Wujek mnie potrzebował, proszę śmiało dzwonić o każdej porze. Do widzenia, pani Ireno. - Ukłonił się jej trochę sztywno, nie patrząc w oczy.

Odprowadziła go przeciągłym spojrzeniem.

- Do widzenia - powtórzyła jak echo i wsiedliśmy do samochodu.

W drodze podzieliłam się z nim refleksją, jaka przyszła mi do głowy.

- Filip, zdaje mi się, że to ona najprędzej ma z tym coś wspólnego. Irena.

- Broszka, zaskakujesz mnie. - Przez jego twarz przemknął nieokreślony grymas.

- Nie mamy dowodów, ale sam pomyśl. Ona najlepiej z nas wszystkich zna się na rasowych koniach, prawie tak dobrze jak Wujek. Przyjaźni się z hodowcami i trenerami. W Kostomłotach bywa bardzo często, prawie co weekend. Nie jest tak?

- Jest. I co z tego?

- To, że wczoraj nie przyjechała. Może dlatego że w nocy była burza, a może coś innego popsulo jej plany. Równie dobrze mogła nie życzyć sobie posądzenia o kradzież Lolity albo o jej ułatwienie. Wiedziała, co się święci!

- Hm, niegłupio myślisz. Ogier nie dał się przecież wyprowadzić, a to jedyny koń Wujka, który jej nie słucha.

Filip zaczynał przekonywać się do mojej teorii. To mi dodało zapału.

26

_ No i najważniejsze: nie działała sama. Nie wiem, kim był ten Azjata ani skąd się tu wziął. Jedno nie ulega wątpliwości: pomagał jej i to ona usunęła ciało, zanim poszliśmy go szukać. A potem, jakby nigdy nic, usiadła na werandzie i czekała, aż wrócimy.

Ledwie to powiedziałam, ogarnęły mnie wątpliwości. Czy nie ponosi mnie fantazja? Filip w zamyśleniu kiwał głową.

- Trzeba ostrzec Wujka. Na wszelki wypadek, gdybyś miała rację - odezwał się po chwili.

- Aha, jeszcze jedno. Pamiętasz, co ci mówiłam o Chińczyku? Może i Lolita jest bardzo spokojna, ale niewykluczone, że tylko wobec osób, które zna. Ta rana na jego głowie wyglądała zupełnie jak od uderzenia kopytem.

Rozdział trzeci

W domu wydedukowałam jeszcze, że skoro tego Chińczyka znalazłam akurat tam, musiał prowadzić konia w stronę domu Świrusa. Pewnie zamierzał skrócić jeszcze przed jego podwórzem. A właściwie przed polanką, na której wypasał on konie. Oczywiście Chińczyk nie poszedł dalej tą ścieżką, bo wróciłby nią przez las do ośrodka. Raczej chciał dotrzeć wąskim, leśnym przesmykiem do następnej polanki, pokonać ją na skróty i przez młodnik przedrzeć się na szeroką kamienistą drogę. Prowadziła z szosy do siedziby dziwaka. Chińczyk skręcił w lewo i dotarł do ulicy, którą przyjeżdżaliśmy z Filipem z Terespolu. Tam czekał zapewne samochód z przyczepą do przewozu koni. Tylko zaraz, zaraz... Przecież ten człowiek zginął pod kopytami, jak więc mógł doprowadzić kobyłę o własnych siłach? A może to było tak: Ża-bioustka czekała w samochodzie. Lał deszcz i raz po raz błyskało. Koń przestraszył się i rzucił do ucieczki, ale Chińczyk mocno trzymał go na uwięzi. Rozzłoszczona klacz zaatakowała go przednimi nogami. Co prawda trudno mi wyobrazić sobie Lolitę tratującą ludzi, bo za-

28

wsze była taka potulna, ale może tak się zdarzyło. Irena nie mogła się doczekać i poszła sprawdzić, co się dzieje. Zabrała konia, na ukrycie ciała nie miała czasu i dlatego wróciła dzisiaj.

Nie, inaczej. Samochód ukryła na polance przy drodze Świrusa, żeby nie było go widać z ulicy. Poszli do stajni oboje, bo przecież chcieli ukraść dwa konie. Ogier nie dał się wyprowadzić, więc wracali tylko z Lolitą. Kiedy klacz uśmierciła Chińczyka, Irena zachowała dość zimnej krwi, aby poprowadzić ją dalej. Klacz ją znała, nie było obawy, że zaatakuje. Zresztą Irena często prowadziła konie na wystawach, gdy jej ojciec pracował jeszcze w stadninie arabsów w Michałowie, poniekąd konkurencyjnej wobec janowskiej. Dobrze wiedziała, jak unikać kopyt rozpędzonych zwierząt.

Właśnie skończyłam zmywać po kolacji. Dziadkowie oglądali wiadomości.

- Wyjdę z Kilerem - zapowiedziałam niewinnie. -Póki się nie ściemniło.

Zgodzili się na kupno psa pod warunkiem, że sama o niego zadbam. Nie do końca tak to wyglądało, przecież wyjeżdżałam do szkoły. Wtedy karmiła go babcia, ale biegał tylko po podwórzu. Kiedy wracałam do domu, wynagradzałam mu to długimi spacerami. Stanowiły wymarzone alibi dla potajemnych spotkań z Filipem.

Z najbliższego automatu zadzwoniłam do niego na komórkę. Chciałam namówić go, żebyśmy razem rozejrzeli się po kostomłockim lesie. Sama za żadne skarby nie wejść tam po tym, co odkryłam w chaszczach. No i trzeba odwiedzić Świrusa. Może coś słyszał albo widział? Podobno lubi włóczyć się nocami, nawet przy zlej

29

pogodzie. Wujek go kiedyś widział, gdy przyjechał zajrzeć do chorego żrebaka. Świrus krążył nad rzeką i wyglądał jak najprawdziwszy obłąkaniec. Tacy miewają rewelacyjną intuicję.

- Słuchaj, Filip - zaczęłam bez wstępu. - Nie zostałeś jutro po pracy w Kostomłotach?

Cisza. Widocznie się zdziwił. Opowiedziałam mu w skrócie swój plan. Coś jeszcze przyszło mi do głowy.

- Musimy zajrzeć do sklepu Józia. Pewnie już przywiózł towar i sam jutro stanie za ladą.

Przypomniałam sobie pewną scenę, którą podejrzalam wiosną nad Bugiem. Wybrałam się wtedy sama do Kostomłotów. Filipa, który prowadził tam lecznicę dla zwierząt, mieszkał natomiast w Białej Podlaskiej, ciężko było wyciągnąć w weekend z domu. Nawet w ten długi majowy. Józio - jak to on - łowił ryby na wędkę, która pamiętała chyba czasy potopu. Irena wracała z przejażdżki. Siedziałam na koniu, ukryta w krzakach za stodołą starej Borkowej, i byłam dla nich niewidoczna. Zatrzymałam się, zaintrygowana tym spotkaniem. Nie słyszałam słów, ale sądząc po gestach, kobieta go o coś pytała, a potem do czegoś namawiała. Józio bezradnie rozkładał ręce, jak człowiek, którego proszą o wskazanie drogi, a jemu jest przykro, że nie wie. To znów słuchał w skupieniu. A potem potrząsał głową, zdecydowanie odrzucając jej propozycję. Czyżby prosiła go o pomoc w uprowadzeniu Lolity? Jeśli próbowała wciągnąć go w swoje interesy, a on się nie dał, to mógł coś wiedzieć. Opowiedziałam to wszystko Filipowi, z niepokojem obserwując, jak impulsy na mojej karcie spadają w tempie polskiej waluty za czasów Balcerowicza.

30

_ Jedziemy? - naciskałam, widząc, że zaraz przerwie mi się połączenie.

_ Obawiam się, że nie będę mógł. Przepraszam, do widzenia.

No nie, ale drań! Nie dość, że się nie wytłumaczył, to jeszcze odmówił tak chłodno, że gdybym go nie znała, pomyślałabym, że podsłuchuje go zazdrosna żona. Teraz powinna zapytać, kto dzwonił, i zrobić mu awanturę.

Rozdrażnił mnie. Właściwie co ja o nim wiem? - rozmyślałam ponuro. Nie znam nawet jego adresu. Nigdy mnie do siebie nie zaprosił. W ogóle nie wspomina o domu.

Podobno to mieszkanie w bloku. Może je z kimś dzieli? Kto wie, wszyscy faceci są tacy sami. To nie banał, tylko mądrość życiowa. I właściwie co mnie obchodzi jakiś cudzy koń? No dobrze, szkoda mi Lolity i współczuję Wujkowi, ale co ja na to poradzę, że ją ukradziono? Trzeba było jej pilnować, boksy jakieś porobić jak w normalnych stadninach, zamykać na noc, lepiej ogrodzić.

Kładłam się spać, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłam słuchawkę. Nikt się nie odezwał. Zerknęłam na drzwi od sypialni dziadków. Zamknięte.

- Filip, to ja. Możesz mówić - szepnęłam.

- Broszka, kochanie, przepraszam cię. Nie mogłem inaczej, nie byłem sam... Chyba nie chcesz, kotku, żebym przy kumplach zwracał się do ciebie tak jak wtedy, gdy jesteśmy sami?

Ależ ja jestem głupia! Niedzielny wieczór to się spędza z kolegami przy piwie albo gdzieś tam jeszcze i świergotanie przez telefon z panienką wywołałoby zapewne lawinę dowcipów na temat linii zero siedemset. A ja posądzałam go o posiadanie złośliwej żony i groma-

31

dy dzieciaków! Omal nie roześmiałam się na głos z podobnych niedorzeczności.

Zinterpretował to po swojemu: że właśnie poprawił mi humor.

- Słuchaj, mój rozkapryszony skarbie. Jutro nie mogę, ale pojutrze z przyjemnością. Pasuje ci?

- Jasne.

- No to kolorowych snów, aniołku. I jak go tu nie kochać?

Biały volkswagen podskakiwał na kamieniach, choć droga okazała się solidniejsza, niż się wydawała na pierwszy rzut oka. Mimo częstych ostatnio ulewnych deszczy, koła nie grzęzły w błocie. Tylko wstrząsy na bruku, ułożonym domowym sposobem, dawały się mocno we znaki.

Na szczęście samochód nie rozleciał się, zanim dotarliśmy do celu. Filip zaparkował

przy betonowych słupkach, między którymi tkwiła niegdyś brama. Teraz przerdzewiały zawiasy smętnie zwieszały się z obu stron. Wypatrywałam koni, ale słynne na całą okolicę tunele -jedyni świadkowie lepszych czasów - stały puste. Folia na nich była jeszcze cała, choć nie przepuszczała tyle światła co dawniej. Ochlapane wapnem i obłożone ziemią, a raczej chyba gliną, żeby w lecie koniom nie było za gorąco, tworzyły pomysłową stajnię. W zimie nie przepuszczały wiatru ani śniegu, a bujniejsza o tej porze roku sierść chroniła zwierzęta przed mrozem. Ogromne tunele były trzy, konie - jak przypuszczałam - na razie zajmowały tylko jeden z nich. Świrus zbliżył się do nas cicho niczym prawdziwy traper. Drgnęłam, gdy ujrzałam na ścieżce cień kapelusza.

32

nim poczęstunek. Przysiadł się do nas. Oczy ocienione rondem kowbojskiego kapelusza, robiły wrażenie tak bardzo niebieskich, jakby nosił barwne szkła kontaktowe. A może to przez kontrast z jasną, dziewczęco delikatną cerą i z białymi kosmykami długich włosów. Ich proste końce wymykały się spod kapelusza. Wyglądał jak rdzenny mieszkaniec Skandynawii albo Michał Żebrowski w roli wiedźmina Geralta. Oryginalny w naszych stronach typ urody. Ile ten chudy mężczyzna może mieć lat? Trzydzieści pięć? Czterdzieści? Chyba nie więcej.

Budził zaufanie. Zrezygnowaliśmy zatem z podchodów i wyjaśniliśmy wprost, na czym nam zależy. Nie wspominając tylko o leśnym znalezisku.

- Nie podejrzewamy konkretnej osoby - tłumaczył Filip. - Mógł to zrobić każdy, komu zależało na koniu. Czy tamtej nocy nie zauważył pan czegoś osobliwego?

Świrus bezradnie rozłożył ręce.

- Chciałbym pomóc, ale nie potrafię. Była wtedy burza. Siedziałem w tunelu z końmi.

- Złowił moje zdziwione spojrzenie i pospiesznie wyjaśnił: - Dach mi w sypialni przecieka. Zresztą lubię dotrzymywać szkapom towarzystwa. Gdyby wyczuły w pobliżu innego konia, pewnie by rżały. A one zachowywały się spokojnie.

Zwierzęta chyba odgadły, że o nich mowa. Właśnie wyłoniły się zza krzaków od strony polany, służącej im za pastwisko. Musiały zareagować na głos opiekuna, który wciąż z nimi gadał jak z ludźmi. Szły gęsiego wąską ścieżką. Stapały ciężko i powoli. Rytmiczne kiwanie głowami pomagało im zachować równowagę. Nie były piękne, lecz w oczach Świrusa musiały dorównywać wierz-chówkom Wujka, a może i je przewyższać. Nie były też

34

takie stare, jak o nich mówiono. Zdziwiłam się, że są wśród nich i źrebaki. Wcześniej ich nie widziałam. Najmłodszy mógł mieć najwyżej kilka tygodni i błąkał się wśród rozdętych od paszy brzuchów końskich niczym mała sierotka. Najwyraźniej żadna z klaczy nie była jego matką.

_ Kupiłem go od gościa, który przeznaczył go na rzeź - Świrus czytał w moich myślach. - Te dwa większe też mam od niego. Coraz więcej osób hoduje konie na mięso. To tak, jakby jeść psa albo kota.

Zgodziłam się z nim co do ostatniej kwestii. Nie byłabym zdolna włożyć do ust koniny, gdybym wiedziała, co to za mięso. Ale nie jestem na tyle naiwna, by sądzić, że większość ludzi podziela moje zdanie. Gdyby tak było, nie nazywaliby ich obrońców świrusami. Ale mogliby przynajmniej nie zabijać źrebiąt. Ile z takiego stworzonka jest mięsa? Tyle co nic.

Zaintrygowało mnie, skąd ma na to pieniądze. Przecież nigdzie nie pracuje.

- Ale pracowałem - odparł z prostotą. - Poza tym dobrzy ludzie wpłacają na konto.

- Konto? - zdziwiłam się niepomiernie. Banki kojarzyły mi się z wysoko rozwiniętą cywilizacją, a Świrus żył jak prawdziwy syn natury

- Moje schronisko dla koni zarejestrowałem jako organizację charytatywną. Ma swoje konto. Czasem pisma młodzieżowe drukują jego numer. Dzieciaki potrafią być naprawdę hojne. Starszych mniej wzrusza los zwierząt. Gdy się zestarzeją, traktowane są jak śmieci. A że teraz eksport koniny na Zachód bardzo się opłaca, to wysprze-daje się wszystko po kolei, nawet roczniaki i klacze, któ-

35

re z powodzeniem mogłyby długo jeszcze rodzić zdrowe źrebaki.

Zaskoczył mnie. Wiedziałam oczywiście, że gdzieś w Polsce organizuje się takie miejsca, znałam kilka z telewizji. Ale że tutejsze działa na podobnych zasadach? Skoro do mnie to nie dotarło, tak samo pewnie jest z innymi miłośnikami zwierząt. Może by jakoś nagłośnić tę szlachetną działalność? Zaprosić dziennikarzy ze „Słowa Podlasia”, regionalną telewizję...

- Chyba mogłabym to załatwić - zaryzykowałam. Szybko ostudził mój zapał.

- Rozgłos nic nie pomoże. - Tonem głosu zasugerował, że już rozważał ten pomysł. - Wręcz przeciwnie. Miejscowi będą się złościć, że tyle pieniędzy wyrzuca się niepotrzebnie. Wie pani, jacy są ludzie. Sam nie pomoże, a innemu nie pozwoli.

Chociaż nie wszyscy. Sąsiad na przykład co roku podrzuca mi trochę siana, słomy...

Ach, ten Wujek! On kiedyś odda własny dom, jeżeli zauważy, że komuś brakuje dachu nad głową. Świrus ciągnął dalej:

- Zrobi się zamieszanie, ciekawscy będą się zastanawiać, co naprawdę kryje się za tą dobroczynnością, a pieniędzy i tak nie przybędzie. Ja za to będę wyglądał, jakbym sam siebie chciał wykreować na jakiegoś świętego Franciszka z Asyżu.

Albo na gwiazdę filmową, pomyślałam. W tym stroju mógłby wybornie zagrać zaklinacza koni, jakiegoś polskiego Monty'ego Robertsa.

Od dłuższego czasu przyglądałam się idącym wolno koniom. Teraz już wiedziałam na pewno: ostatni w sze-

36

regu wyraźnie kulał na zadnią nogę. Filip też to zauważył-

_ Jestem weterynarzem - wyjaśnił niepotrzebnie, bo

wszyscy w okolicy go znali. Od kilku miesięcy prowadził w Kostomłotach małą lecznicę dla zwierząt. - Obejrzę tę kobyłę.

Świrus wykonał gest, jakby chciał zaprotestować, ale nic nie powiedział. Pewnie nie miał pieniędzy.

- Proszę się nie martwić wynagrodzeniem - pocieszyłam „kowboja” na stronie. - Jak go znam, poczeka na zapłatę. Zresztą od pana pewnie nic nie weźmie. - Uśmiechnęłam się.

Filip nie na próżno nosił imię, które po grecku oznacza miłośnika koni. Nieraz leczył zwierzęta za przysłowiową złotówkę. Nie był materialistą i za to go kochałam.

Noga Żabci - bo tak nazywała się ta potężna klacz pociągowa - była w fatalnym stanie.

Miała skórę rozerwaną przy pędnie. Ktoś zszył ją bez uprzedniego oczyszczenia, zdezynfekowania, wygolania włosów. Już zaczęła puchnąć, pojawiła się ropa.

Wiedziałam dobrze, czym to grozi; Filip opowiadał mi o podobnym przypadku.

Tamten gospodarz przywiózł mu konia, który już nie mógł chodzić, ropy miał w nodze z pół litra i olbrzymią opuchliznę. Na pomoc było za późno, wałach został uśpiony. Nie z winy Filipa, ale w wyniku opieszałości rolnika, który chciał zaoszczędzić na leczeniu.

Czyżby Świrus popełnił ten sam błąd? Szycie wyglądało na amatorszczyznę. Trzeba było pozbyć się ropy, ranę oczyścić, wykonać to wszystko, co powinno być zrobione za pierwszym razem - i na nowo zszyć. Żabcia miała szansę wyzdrowieć.

37

- Zajrzę do niej za jakiś czas. - Filip wyprostował się i otrzepał kolana. Zebrał narzędzia ze stołu operacyjnego, zaimprovizowanego naprędcie na trawniku.

Zauważyłam, że na lewej łopatce klacz ma bliznę podobną do tej, jaką nosił Maciek.

Ciekawe, gdzie się tak paskudnie urządziła?

Pożegnaliśmy się ze Świrusem, który czule poklepywał cierpiącego konia. W zamkniętym aucie skakał po siedzeniach i poszczekiwał Kiler, którego przezornie nie wypuściłam w obawie o inne psy. Nie wiem, skąd wzięło mi się przekonanie, że Świrus musi je mieć.

Józia w sklepie nie było. Zastępowała go powolna i niezbyt bystra żona, więc nabyłam jakiś drobiazg i czym prędzej wyszłam.

Wujka zastaliśmy przy rozplątywaniu sieci rybackiej. Chciał nią wyłowić rzęsę ze stawu na pastwisku. Rozrosła się tak, że konie nie mogły napić się wody. Część ogrodzenia wciąż czekała na odnowienie. Zapytany o działania policji, Wujek potrząsnął ze smutkiem głową.

- Nic nie wiedzą. Ani o Chińczyku, ani o Lolicie. Poza tym mają inne rzeczy na głowie i nie chce im się angażować w coś, co ma niewielkie szanse powodzenia. Jeszcze Zbyszek to tak, ale reszta nie bardzo.

Sierżant, który pochodzi z patologicznej rodziny, Wujkowi zawdzięczał obecną pozycję społeczną. Kiedy zdał maturę, matka alkoholiczka straciła pracę w pegeerze, który rząd przeznaczył do likwidacji. Ojca nie znał. Uparł się, że zostanie policjantem. Wujek pożyczył mu pieniądze na internat i bilet do Szczytna, choć nie miał pewności, czy do niego wróci. Ale był kawalerem, nie

38

zniał dzieci, a pieniędzy gromadzić nie lubił. Dzięki niemu Zbyszek nie tylko wyrwał się z nieciekawego środowiska, skończył studia, ale i pożyczkę oddał z procentem. Zupełnie jak w bajkach z morałem.

W razie kłopotów można było teraz na niego liczyć. Ale sam przecież konia nie wytropił. Wujek zaczął wątpić w sens poszukiwań.

- Czas rozejrzeć się za dobrym kupcem - westchnął, ogarniając stado ponurym wzrokiem. Klacze zbiły się w ciasną gromadę w rogu szopy, jakby zrozumiały, że coś im grozi. Jeden ze źrebaków przegapił moment, kiedy wróciły do stajni. Zorientował się, że został na wybiegu sam. Zarżał z żalem i pretensją, po czym ruszył dzikim galopem wzdłuż ogrodzenia. W prawo i w lewo, w prawo i znowu w lewo... Wreszcie poczuł zapach matki. Rżąc donośnie, odwrócił się w kierunku szopy. Klacz odpowiedziała pobłażliwym pomrukiem. Ogierek odezwał się teraz zupełnie inaczej i pomknął wielkimi susami, aż się zakurzyło.

Normalnie zaczęlibyśmy się śmiać, mimo że takie scenki rodzajowe nie należały do rzadkości. Teraz pomyślałam o Lolicie. Ona jedna w tym roku nie wychowywała źrebaka. Łatwiej ją było ukraść, bo bez hałasu. Ciekawe, czy ten, kto to zrobił, wiedział, że jest zażrebiona Gangesem, jednym z najlepszych polskich reproduktorów? I czy to miało dla porywacza jakieś znaczenie?

Rozdział czwarty

Obiecałam sobie, że rozwiążę tę zagadkę i znajdę konia. Ci nieznani sprawcy na pewno nie zabili Lolity, jeśli tak im na niej zależało. A skoro żyje, to teoretycznie można ją znaleźć. Ba, tylko że wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

Ledwie postanowiłam zrobić, co w mojej mocy, aby pomóc Wujkowi, a tu jak na złość ciotka Bronka podrzuca mi swoją córeczkę. Ze dwa tygodnie mam z głowy. Będę siedzieć w domu i pilnować dziecka. W dodatku góra musi przyjść do Mahometa, czyli właśnie wysiadłam w smętnym nastroju na dworcu kolejowym w Białej Podlaskiej.

- Kochanie, jakże się cieszę, że przyjechałaś! Upierścienione dłonie obłapiają mnie za szyję tak, że

ledwie mogę oddychać. Ciotka przyciska mnie do kształtnego dekoltu, po którym wije się srebrny łańcuszek z wisiorkiem. Wisiorek z daleka przypomina mi małego tłustego

robaka.

- Inez czeka w domu, nie chciałam jej zabierać. Tak pochmurno, jeszcze się dzieciak zaziębi - trąkotała ciot-

40

ka, ciągnąc mnie w stronę nowego czerwonego opla. Ciekawe, czy kupowała go pod kolor paznokci, przemknęło jni przez głowę, gdy wsadzała kluczyki w stacyjkę.

- Ciągłe pada i pada, co za paskudne lato mamy w tym roku - paplała dalej. -

Zostaniesz u nas na obiedzie, prawda?

Ciotka Bronisława, po której nosiłam imię, była siostrą mamy, o wiele od niej młodszą.

Wcześniej wyfrunęła z gniazda rodzinnego i wyszła za męż. Za chłopaka, z którym rodzice zabronili jej się spotykać. Związek nie sprawdził się na dłuższą metę, sprawa rozwodowa wkroczyła właśnie w fazę zasadniczą. Atmosfera w domu widocznie zrobiła się już tak gęsta, że trzeba było dziecko wysłać na wieś. Dziwiło mnie tylko, że ciotka, pozująca na nowoczesną bizneswoman, miała dość wyobraźni, by wczuć się w psychikę Cinki. Nie Inez. Dziewczynka sama się tak nazwała, gdy zaczęła mówić.

Wszyscy w rodzinie, z wyjątkiem jej matki, podchwycili to przezwisko. Podobało się bardziej niż snobistyczne latynoskie imię.

Na powitanie zawisła mi na szyi, zupełnie jak ciotka. Tak samo spontanicznie, ale szczerze, cmoknęła mnie w policzek.

- Ciocia Bronia! - zapiszczała.

- Nie Bronia, tylko Broszka - zaczęłam pierwszą lekcję. Nie tylko ona zmieniła sobie w dzieciństwie imię. Ja tej swojej Bronisławy nie cierpiałam nade wszystko. Długo sepleniłam i kiedy wreszcie opanowałam wymowę spółgłoski sz, wstawiałam ją nawet tam, gdzie jej być nie powinno. I tak z Bronki wyszła Broszka. Napracowałam się, aby narzucić otoczeniu tę wersję. Ale udało się.

41

W domu i w szkole, a teraz na uczelni, nawet dla Filipa -byłam po prostu Broszką. - No i nie żadna ciocia, zgoda? Szybko pojęła, czego od niej oczekuję. Najwyraźniej uznała, że nadaję się na nauczycielkę, bo przeszła do ważniejszej kwestii:

- Cio... Broszka, czy to prawda, że jak będę za dużo gadać, to mi się skończą słowa i zostanę niemową? Mama tak mówi.

- Cinka, nie wygłupiaj się - błagałam. Dziecko skakało na jednej nodze dookoła każdej kałuży na chodniku. Zwracało to uwagę przechodniów, czego nie chciałam. Śledziłam bowiem Irenę.

Obiad, na który zostałam zaproszona, sama musiałam ugotować. Ledwie ciotka wstawiła ziemniaki, zadzwonił telefon i wyszła z domu, mętnie się tłumacząc. Na pociąg wyruszyliśmy pieszo, bo na podwiezienie też nie można było liczyć. Marny nastrój, który udzielił mi się z tego powodu, prysnął niczym tknięty ostrogą, kiedy tylko dostrzegłam Irenę. Musiałam za nią pójść, choć pomysł był niedorzeczny. Zaintrygował mnie nie tyle fakt, że widzę ją na deptaku w Białej Podlaskiej - o tej porze tłoczno tu było od kupujących, Brzeska to główna ulica handlowa w tym mieście, a Irena przecież mieszka gdzieś w okolicy - ile to, co trzymała w ręku.

Wyszła z zakładu fotograficznego, niosąc w firmowej torebce wywołane zdjęcia. W pierwszym odruchu chciałam wejść do środka i zapytać pracownicę, co przedstawiają ale szybko z tego zrezygnowałam. Przyszło mi do głowy, że mogła tego nie wiedzieć. Cenę ma przecież wypisaną na kopercie, a ciekawska pewnie też nie jest

42

i do środka nie zagląda. A jeśli sama je wywołuje, mogłaby się zdziwić, po co mi te informacje, i zwyczajnie danie wyprosić. Nie tędy droga.

Podążałam więc za przemierzającą się posuwistym, męskim krokiem Żabioustą w należytej odległości, kryjąc się za przechodniami i zgadując, dokąd zmierza. Cel miała

sprecyzowany, to było widać. Przekładała pakunek z ręki do ręki. Palce aż ją świerzbiły, ale nie otworzyła. Nie schowała go też do torebki, więc daleko nie szła. W mojej głowie leżały się głupie pomysły. Może chińska mafia ściga ją za rodaka nieboszczyka, a te fotografie pomogą jej oczyścić się z zarzutów? No nie, przecież to nie serial kryminalny Dawida Gryty, który tak lubię oglądać! Nie istnieje żadna chińska mafia, przynajmniej na Podlasiu. To pewnie zdjęcia z rodzinnej uroczystości albo wycieczki klasowej. A jeżeli sfotografowała dla kogoś Lolitę? Tylko dla kogo i po co? Jeśli już natknęłam się na Żabioustą musiałam wykorzystać sytuację. Ciekawe, komu odda te odbitki?

Irena tymczasem, wciąż posuwając się zdecydowanym krokiem i nigdzie się nie zatrzymując, dotarła do końca ulicy Brzeskiej i skręciła na plac Wolności.

- O, kurczę pieczone bez wypatroszenia! - wyrwało mi się. Przy dziecku nie mogłam gorzej. Teraz tylko brakuje, żeby baba wsiadła do samochodu i tyle ją zobaczę co Wujek Lolitę! Taksówki nie wezmę i za nią nie pojedę, to dobre na filmach, zresztą i tak mnie nie stać.

Na szczęście Żabioustą okazała zrozumienie dla studenckiej kieszeni (no, prawie - egzaminy wstępne już zdałam), i kontynuowała swój pospieszny spacer ulicą Warszawską.

43

- Nogi mnie bolą - poskarżyła się żałośnie Cinka. Ledwie za mną nadała.

- Jeszcze trochę, słoneczko. Wytrzymaj, a potem dostaniesz najlepsze lody na świecie - zaklinałam, jednym zdaniem przekreślając metody wychowawcze ciotki.

Dziecko usłuchało, znęcone perspektywą smakołyku z cukierni, obok której przechodziliśmy. Wejście okupowała grupa młodzieży. Nastolatki lizały kręczone włoskie lody, wielkie, czekoladowo-śmietankowe, z apetyczną polewą z toffi. Na razie miałam spokój, ale wiedziałam, że nie na długo. Mnie samej już robiło się gorąco. Chociaż może to jedynie z emocji...

Przy parku, otaczającym poradziwiłowski zespół pałacowy z siedemnastego wieku, Irena skręciła w prawo. Na Zamkowej ludzi kręciło się znacznie mniej i z trudem wtapiałam się w tłum. Miałam nadzieję, że naprawdę nas nie zauważyła. Na ogół jest bystrą obserwatorką, w Kostomłotach nieraz zaskakiwała mnie celnymi uwagami. Odbitki musiały bardzo ją absorbować.

Minęła oszklony budynek, w którym mieścił się sklep komputerowy oraz jeden z wielu białskich lumpeksów, i wkroczyła energicznie między bloki mieszkalne. Nowe osiedle pachniało świeżym tynkiem i farbą. Zniknęła w jednej z klatek, a ja po chwili zakradłam się pod drzwi. Przy domofonie wisiała lista lokatorów.

- Mam cię - triumfowałam. Imię jednej z mieszkańek zaczynało się na literę I. Irena Kwiatkowska, zupełnie jak ta aktorka. To musi być Żabiousta.

A więc szła do domu!... Nie mogła mnie bardziej rozczarować. Czegoś się jednak dowiedziałam i zamierzałam to wykorzystać, choć jeszcze nie miałam pojęcia jak.

44

■

Kupiłam Cince obiecane lody, sobie wzięłam mineralną i usiadłyśmy przy stoliku w cukierni. Po sąsiedzku ja i dziewczynki obgadwały polonistkę, która uwzięła się na jedną z nich. Przypadkiem także miała na imię Irena, więc mimowolnie nadstawiłam uszu.

- Mówię ci, jakie to wredne babsko. Ciągłe każe nam pisać wypracowania i - co najgorsze - nie zadaje tematów. Mówi, że one leżą na ulicy. Rozumiesz coś z tego? Bo ja nie - zaliła się ładna brunetka z włosami związanymi w koński ogon.

- Poskarżyłaś się w domu? - spytała druga, oblizawszy od spodu wafelek, przez który przeciekał rozmrożony krem.

- Pewnie, że tak. Ojczym jest nawet za. Pytał mnie, czy to w końcu studia dziennikarskie, czy gimnazjum. Tak powiedział. Tylko mama jej broni, bo to koleżanka, razem pracują. Mówi, że nauczy nas myśleć. Irena-Hie-na - zakończyła z mściwą satysfakcją i obie zachichotały, ubawione trafnością przyzwiska. Nagle się uspokoiły.

- To faktycznie głupia sprawa - przyznała tamta. Zastanawiałam się, co je napadło, żeby po bez mała trzech tygodniach wakacji drażyć szkolny temat.

- O, znowu lody mi ciekną. Tobie też. Dziewczęta zajęły się zlizywaniem, a mnie przyszło coś do głowy. To mało prawdopodobne, żeby mówiły o Irenie, którą znam, ale Żabiousta też uczy w jednej z bialskich szkół. Trzeba sprawdzić, w której. Może tam się czegoś dowiem? Prawda, wakacje. Nawet jeśli ktoś tam jest, to co, wejść, zamacham odznaką szeryfa i zacznę przesłuchanie? Nie ma tak dobrze. Ale jakoś muszę zdobyć informację na jej temat. Zaraz, Wujek sprzedał

45

jej konia rok temu. To znaczy ona tylko pośredniczyła. Kupcem był jakiś facet z Piszcząca, który zakładał ośrodek jeździecki i potrzebował spokojnego angloaraba do nauki jazdy dla początkujących. Dobrze się składało, bo Wujek przerzucał się właśnie na araby czystej krwi. Ten ośrodek wciąż istnieje. Mam nawet numer telefonu. Zadzwoń i umówię się na jazdę. To mały klub i właściciel jest jedynym instruktorem. Może z niego coś wydobędę?

- Chodźmy, chcę do babci - przypomniała o sobie Cinka, porządnie już zmęczona. O jejku, za chwilę ucieknie nam kolejny pociąg. No właśnie, co ja z nią zrobię? Przecież nie zabiorę dziecka ze sobą do Piszcząca. Kto wie, jak rozwine się sytuacja? Może trzeba będzie znów pojechać do Białej? Wiem, powiem babci, że muszę odwiedzić lekarza. Wybiorę specjalistę, który przyjmuje tylko w powiatowej przychodni. Nie lubię kłamać, ale odkąd poznałam Filipa, jakoś nie mogę się bez tego obyć.

Rozdział piąty

Umówiłam się na środę. To jedyny dzień, kiedy babcia może mnie wyręczyć. Dobrze się składa, bo w środy odbywa się w Piszczacu targ rolny, na którym sprzedaje się i skupuje zwierzęta gospodarskie. Może złodziej przyprowadzi tu swoją zdobycz? Mało prawdopodobne, bo jak mawia Józio, któremu w przekręcaniu przysłów nikt nie dorówna: nadzieja umiera w człowieku ostatnio. Jeśli nawet klaczy nie będzie, nic nie stracę, odwiedzając targowisko. Kto wie, czy nie usłyszę od stałych bywalców czegoś, co pomoże mi wpaść na trop gniadej ulubienicy Wujka? Zawsze powtarzał, że gdyby przyparto go do muru i kazano wybierać, to pozbyłby się jej na samym końcu, po wszystkich innych koniach. Tymczasem los spletał mu brzydkiego figla, zabierając ją pierwszą. Pożyczając, poprawiłam się niezwłocznie.

Na miejsce dotarłam wcześniej rano. Pamiętałam z dawnych wypraw z dziadkiem, że po dziesiątej na targowisku nie ma już czego szukać. Zwierząt sprzedawało się kiedyś bardzo dużo. Zwłaszcza koni, które najbardziej mnie interesowały. To były zupełnie inne czasy. Rol-

47

nicy nie mieli tyle traktorów, a ziemia nie leżała odłogiem, jak ta po kostomłockim pegeerze. Wujek do dziś nie pogodził się z przymusem zlikwidowania prosperującego gospodarstwa państwowego. Na szczęście przynajmniej zostały mu konie.

Kilka pociągowych grubasów i dziś rolnicy przyprowadzili na targ. Zaraz przy wejściu, przytroczony do burty samochodu, stał zapasiony ogier. W sierści miał resztki słomy

ze stajni. Walił kopytami w udeptaną ziemię i rżał głośno, czując bliskość dwóch kobyłek zaprzęgniętych do wymoszczonej sianem furmanki. Leżała na niej parka prosiaków przeznaczonych na sprzedaż. A właściwie chyba już sprzedanych, bo dwaj gospodarze pili wódkę pod zimną zakąskę, jak po zawarciu transakcji. Ich dobry humor ośmielił mnie do nawiązania rozmowy. Niestety, nie umieli pomóc.

- Ja tu, dziecko, dawno nie byłem, ale Władek co tydzień przyjeżdża. Powiedz no, Władziu, kręcił się tu kto obcy ostatnio?

- Nikogutko nie było. Jak panią kocham - zapewnił podchmielony towarzysz, zwracając w moim kierunku twarz ozdobioną szczerym szczerbatym uśmiechem. -No, chyba że jaki Włoch czy inny żabojad. Ale takie to konie kupują, a nie sprzedają. Na kiełbasę. Tfu! - spluń; z obrzydzeniem. - Czego te ludzie nie wymyślą. U pań konina dobra dla psów, a u nich pański przysmak.

- Ha, ha! - zaśmiał się ten drugi i klepnął pana Władka po plecach. Widać, że mu nie pożałował, bo adresat czulego gestu aż oparł się ramieniem o drabinkę wozu, żeby nie stracić do końca równowagi.

- No, to zdrowie koni! - zaproponował, zerkając z cie-

48

kawością na świeżo zakupiony towar, który pokwikiwał tu w okolicy łokcia.

_ I niech się dobrze chowają - dodał od serca były właściciel, który widocznie nie tracił na tym interesie i któremu z tej nagłej radości warchlaki zaczęły się już mylić z innymi czworonogami.

Zostawiłam ich samych sobie i szukałam dalej. Koni było naprawdę mało, a w dodatku żaden z towarzyszących im mężczyzn nie wyglądał na handlarza. Taki to by na pewno coś wiedział.

Na końcu targowiska, przy prowizorycznym ogrodzeniu, stał chudy chłopak. Na postronku trzymał smukłego wałacha szlachetnej półkrwi. Postawny mężczyzna około sześćdziesiątki podnosił nogi konia, oglądał kopyta, macał pęciny. Po czym strzelił z bata. Zwierzę drgnęło, lecz nie uskoczyło w bok.

- Widzi pan, że nie bity - triumfował chłopak i kusił dalej: - Bez narowów, do bryczki jak znalazł. A i pod siodło układany, pokazać?

- E, mnie wierzchówki nie trzeba. Do zaprzęgu szukam, dla gości.

- Toż mówię, że się nada - niecierpliwiał się sprzedający.

- Zobaczymy, zobaczymy. Nie ma pośpiechu - zamruczał bez przekonania niedoszły nabywca i oddalił się, przeciskając między stosami klatek z królikami. Tych najwyraźniej nie brakło w okolicy.

Chłopak wzruszył ramionami. Kary wałach nawet mi się podobał, jak większość koni tej maści. Choć ja też nie byłam całkowicie przekonana co do jego braku nerwowości.

Parskał i kręcił się w miejscu, usiłując obgryzać, co

49

tylko się da. Trzeba było uważać, żeby nie znaleźć się w zasięgu zadnich kopyt.

Chłopak sprawiał sympatyczne wrażenie i nawet chciałam jego zapytać, czy nie widział Lolity, jednak zrażona poprzednim niepowodzeniem, zrezygnowałam.

Pojawiłam się w ośrodku kwadrans wcześniej, niż powinnam. Wykombinowałam, że asystując przy czyszczeniu i siodłaniu wierzchowca, szybciej nawiążę rozmowę z właścicielem i skłonię go do zwierzeń.

Nie doceniłam go. Koń czekał już na mnie, gotowy do jazdy. Gospodarz, zobaczywszy, że się zbliżam, zarzucił mu siodło na grzbiet i zapiął pod brzuchem popręg. Zostało mi dopasować strzemiona do długości nóg i mogliśmy zacząć lekcję.

- Jak długo pani jeździ? - zadał typowe w takich okolicznościach pytanie. Miał lekko siewiące włosy i nosił prawdziwie szlacheckie wąsy. Pewnie dlatego wydał mi się tak podobny do Wujka, chociaż był od niego znacznie wyższy.

- Dwa lata.

To prawda. Choć marzyłam o tym od dawna, oszczędna i praktyczna babcia skutecznie wybijała mi z głowy te „głupoty i fanaberie”. Dopiero Filip przekonał mnie, że mam prawo robić coś wyłącznie dla przyjemności. Zaczęłam jeździć, ale za każdym razem towarzyszyło mi poczucie winy, że trwonię pieniądze na coś, bez czego mogłabym się obyć.

- Fajnie, powinna się już pani trochę orientować. Proszę pojeździć stępa z dziesięć minut, potem przejdziemy do trudniejszych ćwiczeń.

50

Człap, człap - niechętnie ruszyło konisko. Teraz albo nigdy. Muszę wykorzystać szansę, zanim każe mi robić wolty i inne figury w kłusie i galopie, które będą wymagały większej koncentracji. Ale jak tu zagaądać o Irenę? Najlepiej wprost. Oczywiście, o ile sam nie bierze udziału w porwaniu. Bo jeżeli tak, stanie się czujny albo nawet celowo wprowadzi mnie w błąd. Żabiousta dowie się, że ją podejrzewam i zrobi się jeszcze ostrożniejsza, a wtedy stracę szansę, by ją rozszyfrować. Postanowiłam zacząć dyplomatycznie. Znów trzeba kłamać, a niech to!

- To znaczy regularnie od dwóch lat, ale pasją zaraziłam się sporo wcześniej. W podstawówce miałam nauczycielkę zakochaną w koniach. Irena Kwiatkowska, zna pan?

- Ircię? - ucieszył się. - Oczywiście. Konia, na którym pani siedzi, to właśnie ona mi załatwiła.

No, jasne, że poznałam Plinta. To przecież na niego Wujek z Filipem posadzili mnie pierwszy raz, gdy uczyłam się angielzować. Na nim mogłam do bólu ćwiczyć unoszenie się w siodle co drugi takt. Był tak opanowany, że nic nie wyprowadzało go z równowagi. I tak leniwy, że musiałam dwa razy ciężiej niż w przypadku innych koni pracować dosiadem i nogami, aby zechciał się ruszyć. To ostatnie akurat mu zostało, o czym zdążyłam się już przekonać.

- Naprawdę? - udałam zdziwienie. Lepiej na tym wyjdę, jeżeli nie przyznam się do kontaktu ze stadniną Wujka.

- Taaak... - Potarł brodę ręką, jakby coś rozważał. - Naprawdę uczyła panią w podstawówce?

Zawahałam się. Co jest nie tak z tą historyjką?

- Może to jednak była inna osoba, nazwisko się tylko pani pomyliło. Albo jakaś zbieżność... Ircia pracuje

51

w szkole od ubiegłego roku. Uczy polskiego. Wcześniej była w „Słowie Podlasia”. Aha, dziennikarka. To dlatego ma ten odruch wkładania papierosa za ucho. Że też ja na to nie wpadłam! Ale niby jak, przecież wszystkim przedstawiała się jako pedagog z powołania, do głowy by mi nie przyszło, że kiedyś mogło być inaczej.

- Niezła posada - wyrwało mi się. - W najpopularniejszym regionalnym tygodniku... Dlaczego z niej zrezygnowała?

Oj, to chyba za wiele. Przeholowałam z tą ciekawością, jak na początek. Zerknęłam z obawą na instruktora, ale widać lubił plotkować o znajomych.

- Wie pani, sama nie odeszła. Nie lubili jej w redakcji, bo na wszystkich donosiła naczelnemu. Kryli się przed nią z różnymi drobnymi grzeszkami, lecz ona i tak zawsze je wypatrzyła i zaraz biegła podzielić się spostrzeżeniami.

- Za to ją wylali?

- Skąd! Naraziła się administraq'i, walcząc o ujawnienie jakichś machlojek. Podobno przesadziła w oczernianiu pracowników pewnej instytucji samorządowej i nie zamierzała się z tego wycofać. Chcieli ją podać do sądu za zniesławienie. W końcu darowali, ale w redakcji nie, dlatego zajęła się nauczaniem.

- Rzeczywiście musiało mi się coś pomylić - przyznałam rację panu z wąsami, kryjąc zadowolenie. Hm, to, co usłyszałam, stawiało Irenę w zupełnie innym świetle. Cień podejrzeń przesunął się w stronę poczciwego Józia. Kiedy podglądałam tych dwoje nad rzeką, ona pewnie pracowała jeszcze w redakcji. Zbierała materiały do

52

artykułu. Czyżby wiedziała coś, czego nie zdradziła nam wtedy na werandzie? Może dzięki swojej przenikliwości i umiejętności doszukiwania się ciemnych stron w poczynaniach bliźnich pierwsza zwietrzyła, że Józio coś planuje i próbowała go namówić... Do czego? Żeby wziął ją do spółki? Jedyne to przychodzi mi na myśl. Albo, jeśli za kradzieżą Lolity stoi jakaś grubsza afera innego rodzaju, to może pragnęła nakłonić go do zwierzeń na łamach prasy? Wszelkie „reality show” jest takie modne. Zrobiłaby z nim wywiad o tym, na przykład, jak za pomocą kradzieży cennego konia odwrócić uwagę mieszkańców od granicy państwa i w ten sposób ułatwić słynnemu szpiegowi NATO przedostanie się do byłego ZSRR w celu... No nie, co ja plotę! Wszystkiemu winne to nałogowe oglądanie kryminalów i nieustanne myślenie o kradzieży. Co za dużo, to niezdrowo. Jaki znowu szpieg? James Bond, część któraś tam z kolei, czy inny diabeł wcielony? A nawet jeśli założyć taką wersję wydarzeń, to tajemnicze zniknięcie konia tylko by całą akcję utrudniło. Wszyscy przecież zaczęli interesować się ścieżkami wiodącymi wzdłuż Bugu w obie strony - do Terespoła i do Kodnia. To na nic. Nawet genialny Bond wolałby działać bez zbędnego zamieszania, a co dopiero przeciętny wywiadowca. Zresztą Józio, który muchy by nie skrzywdził, miałby mieć powiązania z takimi twardzielami? W życiu!

Ochłonęłam z przedziwnych wizji dopiero wtedy, gdy usłyszałam polecenie instruktora:

- Spróbuje pani zakłusować. Na razie anglezowanym.

Lekko wypchnęłam Plinta kolanami. To znaczy tak, że mny koń zerwałby się do galopu.

53

- A teraz klus ćwiczebny.

Przestałam unosić się i opadać rytmicznie w siodło. Przywarłam do niego, amortyzując kołysanie biegnącego żwawo wierzchowca.

- Bardzo dobrze - pochwalił mnie. - Na następny-narożniku wolta w prawo.

Zatoczyłam koło o średnicy sześciu metrów. Ko strzygł uszami. Zaczął żuć wędzidło.

- Taaak... - wyraźnie ucieszył się instruktor. Mniej się po mnie spodziewał.

- Gdzie pani do tej pory jeździła? Już nic nie stało na przeszkodzie, żeby się przyznać.

- W Kostomłotach. U pana... Sacharuka.

Z trudem przypominałam sobie nazwisko człowieka, którego doskonale znałam, a o którym mówiło się nie inaczej jak dyrektor - chociaż pegeer od paru lat nie istniał - albo po prostu Wujek. Prawdziwym wujkiem był tylko dla Filipa. Bratem jego matki, która zmarła na raka. To dla siostrzeńca pobudował ten piękny, duży drewniany dom, który służy dziś letnikom. Przy okazji muszę zapytać Filipa, dlaczego w końcu w nim nie zamieszkał. Nie musiałby dojeżdżać do pracy.

- Tak myślałam, że u Wujka.

A więc i on znał to przezwisko! Ciekawe, czy od Ireny? Ją chyba da się lubić, jeśli ktoś nie ma uprzedzeń. Dlaczego akurat mnie tak się nie podoba od samego początku?

- Konia mu ostatnio ukradli, tak? Tę kobyłę w prostej linii po Bandosie?

Zesztywniałam w siodle, co natychmiast wpłynęło na moją zdolność amortyzowania wstrząsów i wybiło mnie prawie na końską szyję. Skąd on wie?!

54

- Czytałem w gazecie. Wczoraj wyszło nowe „Słowo”. Dzisiaj dopiero kupiłem, do kiosku stąd daleko.

Faktycznie, Wujek wspominał, że dał ogłoszenie. Wyjątkowo szybko się ukazało.

- Ja bym chyba coś wiedział. Zastrzygłam uszami nie gorzej od Plinta.
- To nic pewnego i proszę panu Sacharakowi za bardzo nie robić nadziei - zastrzegł się od razu. - No, może akurat... Zeszłej środy nie byłem na targu, ale sąsiad mówił, że Wasyl, ten Ruski, co mieszka na kolonii, sprzedawał jakąś wierzchówkę. Mała była i chyba nawet gnia-da, to wyglądał by się zgadzał. Podobno miał ją całkiem niedługo. Kupił do bryczki, letników chce wozić po okolicy. A tutaj jest co pokazywać, przyroda piękna, lasów pełno, rzeczka płynie, bocianów tyle co w Warszawie gołębi, cisza, spokój, żyć nie umierać. Ale nie w tym rzecz. Otóż Wasyl - jak wielu innych - przerabia swoje gospodarstwo na agroturystyczne. Chyba tylko na tym da się jeszcze trochę zarobić. No i potrzebuje konia. Jakiś czas temu jednego sobie kupił. Tyle że kobyła ciągnąć nie chciała, widocznie nienauczona chodzić w zaprzęgu. A że młódka nie była, tak sąsiad mówił, to nie zapowiadało się, że da się łatwo przysposobić. Mnie by może sprzedał pod wierzch, ale nie rozmawiamy ze sobą od ostatniego wesela, na którym się przypadkowo spotkaliśmy i jakoś tak niefortunnie poróżnili. Sam nie pamiętam, o co poszło. Mówili mi potem... ale co ja będę panią zanudzał. Dość, że ten cały Wasyl konno nie jeździ. Przyprowadził więc kobyłę na targ. A nerwowa podobno była, tylko uszy po sobie kładła i zębami wciąż kłapała na prawo i lewo, że ludzie bali się podejść i po-

55

patrzyć z bliska. W przyczepie stała, nawet jej nie wy puszczał.

Jakoś mi to niespecjalnie pasowało do charakteru Loli ty. Chociaż kto wie? Jeżeli stratowała Chińczyka, to może być ona. Uchwyciłam się tej myśli ze wszystkich sił.

- I co, ktoś ją w końcu zechciał? - Wstrzymałam od dech, czekając jak na wyrok.

- Tego nie wiem. Trzeba pytać Wasyla. On jest, wbre~ pozorom, rozmowny i wcale nie odludek. A młode, ładne kobiety to już na pewno lubi.

Roześmiał się, zadowolony z własnego dowcipu. Te~ uśmiechnęłam się z grzeczności.

Kombinowałam już, ja" to załatwię. Samej nie chciało mi się drałować pieszo tyle kilometrów w jedną stronę i to w dodatku do obcego faceta, który chyba mieszkał sam i lubił damskie towarzystwo. Poczekam na Filipa. Złapię go pod komórką, niećl po pracy wykręci na Piszczac. To nie powinno długo potrwać.

Najtańsze noclegi, zdrowa żywność, ogniska, imprezy zlecone, przejazdy bryczką - zachwalało ogłoszenie na tabliczce przymocowanej do płotu ze sztachet. Niemalowane deski pociemniały od deszczu, ale ogrodzenie było w dobrym stanie. Uwagę przyciągała oryginalna brama wejściowa, ozdobiona chomątem wmontowanym w rozpięty ponad nią drewniany łuk. Ciekawie prezentował się wóz drabiniasty na zarośniętym trawniku.

- To musi być tu - ocenił Filip i zgasił silnik.

Gospodarstwo agroturystyczne położone w takim zakątku rzeczywiście miało raqę bytu. Wokół same lasy i dziczące łąki, których od dawna nikt nie uprawiał.

56

Do najbliższego domostwa ze trzy kilometry. Jeśli tylko Wasyl dostarczał swoim letnikom zdrową żywność, jak obiecywała reklama przy wjeździe, było to wymarzone miejsce do wypoczynku dla starszych osób.

Jakby na potwierdzenie tych przypuszczeń, w przydomowym sadzie dostrzegłam kobietę w wieku mojej babci. Malowała obraz z natury. Zapach farby olejnej dolatywał do nas razem z wonią lawendy bujnie porastającej ganek. Żeby tak choć jedną sadzonkę dla babci, pomyślałam odruchowo, jak zwykle, gdy dostrzegłam coś ładnego w czyimś ogródku.

Nie było nigdzie psa, który by ujadaniem obwieścił nasze przybycie, a malarka przebywała w świecie bawiących się pomiędzy żdźbłami traw kotów i motyli. Na

szcęście gospodarz usłyszał hałas i wyszedł przed dom.

- Ja go znam!... - szepnęłam do Filipa, intensywnie zastanawiając się skąd. Wiem, był dzisiaj na targu! Oglądał karego konia. A swoją drogą zwierzę miało naprawdę ładną maść. Wujek nie posiadał w swojej stadninie ani jednego czarnego diabła, nad czym ubolewałam. Za to po sąsiedzku Borek miał czarną jak smoła kobyłę, której czasem zanosila cukier na pastwisko. W ten sposób poznałam jego córkę. Fajna dziewczyna, tylko strasznie nieśmiała.

- Podobno sprzedaje pan konia? - zagadnął Filip.

- Już nie, spóźnili się państwo - Wasyl uśmiechnął się przepraszająco.

Wyobrażałam sobie, że będzie mówił po rosyjsku. Tymczasem nawet akcent go nie zdradzał. Później dowiedziałam się, że mieszka w Polsce od czasu ostatniej wojny. Zrobił na mnie sympatyczne wrażenie.

57

- Letnicy zabraniają mi kosić - tłumaczył się, widząc, że zerkamy na duży trawnik przed domem, zastępujący ogródek. Wyglądał niczym kawałek dzikiej łąki. - U nich na Śląsku to nawet trawy porządnej nie ma. Jeden taki, to jak tu przyjedzie, w nocy w piżamie wychodzi, żeby po rosie polatać.

Rozgadał się na dobre, zachwalając uroki podlaskiej wsi, jakbyśmy przyjechali wynaję u niego pokój. Przedstawił nam swoją głuchoniemą żonę, którą wzięłam za letniczkę. Podobno wielokrotnie nagradzano ją na konkursach twórczości ludowej. I wciąż prawił mi komplementy. Wobec jego gadatliwości nie tylko ja, ale i Filip był całkowicie bezradny. Wreszcie wspólnymi siłami udało nam się naprowadzić go na upragniony temat.

- Tak, chyba była rasowa - zmrużył oczy, jakby pomagało mu to przywołać obraz z niedalekiej w końcu przeszłości. - Ale że arab, to głowy nie dam. Sucha, zgrabna.

- Gniada? - wtrącałam.

- A tak, nawet gwiazdkę miała na czole, taką śmieszna, nieregularna...

- To ona! - nie wytrzymałam.

- Tyle że zła była jak czort. O byle co gniewała się, podrzucała łeb do góry, uszy kładła po sobie i tylko żółtymi zębiskami kłapała jak jaki wściekły pies. Najpierw pomyślałam, że coś ją napadło. Ale widocznie miała tak od dawna. Ktoś ją bił czy co, bo w ogóle nie dała do siebie podejść. A nie daj Boże, wypiwszy. I zaprzac też się nie pozwoliła, hołoble mi połamała przy wozie.

To z kolei zupełnie nie pasowało do wypieszczonej przez Wujka Lolity, która nigdy nie widziała podniesio-

58

nego na siebie bata. W to, że zabiła Chińczyka, też coraz mniej wierzyłam. Może i nie lubiła, gdy ktoś obcy się koło niej kręcił, jednak nie miała zwyczaju tego okazywać. A już na pewno nie gryzła ludzi.

- Chciałem ją odzwyczaić, ale gdzie tam! Może jeszcze dla siebie to bym popróbował, lecz mieszcuchów chcę bryczką wozic. A z takim koniem to nigdy nic nie wiadomo. Można narobić więcej szkody, niż to wszystko warte. Nic dziwnego, że ten, co ją wcześniej trzymał, oddał na skup.

- Jak to? - przeraziłam się. - Na rzeź?

- Przecież mówię. Dużo na niej nie straciłem, bo z transportu kupiona, po sześć złotych za kilogram. Facet jeden ciężarówką wiozł, kobyła mu w wozie cyrki wyprawiała, jakiegoś konia zatratowała na śmierć prawie, to się zatrzymał i chciał dać jej szkołę. Kij miał w ręku, drąg taki wielki! - tu Wasyl rozłożył szeroko ramiona, żeby dać nam wyobrażenie o jego długości. - Już drzwi otwierał, chciał kobyłę prac po pysku, żeby się uspokoiła. Akurat przejeżdżałem tamtędy, cielaka na skup wozilem, ale nie przyjęli, bo teraz te wściekle krowy, wszyscy się ich boją, wołowiny nie jedzą, to i

brać na skupie nie chcą. Chociaż moje by było żadnej tam jakiejś mączki na oczy w życiu nie widziało i nie zobaczy.

- To co z tym koniem? - zniecierpliwił się Filip.
- Przecież mówię - obruszył się Rosjanin. - Żal mi się zrobiło. Takie oczy miała ładne, duże, i tak patrzyła jak człowiek, gdy go co boli na duszy. Widzę, że facet jedzie z tym wszystkim za granicę, droga długa i nie wiadomo, czy kobyła w ogóle przeżyje. Jak się człowiek napatrzy, nasłucha, to lepiej, żeby nie wiedział, jak to tam wy-

59

gląda. Mnie konia trzeba, myślę sobie, a on pewnie dużo nie zechce i z kłopotu go wybawię za jednym zamachem. Po drodze dokupi sobie jakąś starą szkapę w to miejsce, a co gorąca krew, to gorąca krew. Co mi szkodzi, zapytam.

- Zgodził się od razu? - wyrwało mi się.
- A co się miał nie zgodzić? Jeszcze mi dziękował. Uczepiłem z tyłu do ciągnika, to jest do przyczepy, którą wiozłem jałówkę. Szła grzecznie jak piesek. Dopiero w stajni zaczęła wyprawiać te swoje harce, dęba stawać, brykać.
- Kiedy to było? - dociekał Filip.
- Zaraz, jak tylko się najadła. Siły jej widać wróciły.
- Nie o to mi chodzi. Kiedy pan ją kupił?
- Niech pomyślę... Skup w Zalesiu jest w soboty. To] było w sobotę rano, ale nie w tę ostatnią, tylko wcześniej.
- Ile wcześniej? - Filip w dalszym ciągu był opanowany, jak to on, ale widziałam, z jakim trudem mu to przy- i chodzi. - Tydzień? Dwa?

Wasył podrapał się po głowie.

- Tydzień temu. To była ostatnia sobota czerwca, pamiętam. Tak jak myślałam. Tego samego dnia rano Wujek odkrył brak Lolity. Wniosek nasuwał się sam. Chciałam się tylko upewnić.
- Gdzie pan natknął się na ciężarówkę?
- Na krzyżówkach. To znaczy, przed Zalesiem, gdzie drogę do skupu przecina autostrada.

Autostradą nazwał trasę Berlin-Moskwa, zgodnie ze zwyczajem miejscowych. Filip codziennie jeździ nią do pracy.

60

_ Wjeżdżała na skup, kiedy pan już wracał do domu, tak? Czy już z niego wyjechała?

- Ani jedno, ani drugie, proszę pani. Ciężarówka jechała autostradą, a ja drogą z Zalesia do Piszcząca. Kierowca zatrzymał się w pobliżu skrzyżowania, ja musiałem zwolnić, bo nie miałem pierwszeństwa przejazdu. Dlatego zobaczyłem, co się dzieje. To był dziwny samochód. Na plandecce napisane „Dojrzewalnia bananów”, czy jakoś tak, a w środku konie.

Filip głęboko odetchnął.

- W którą stronę jechał? Do Terespoli czy do Białej? - spytał nienaturalnym głosem.
- Chyba do Białej... Tak, na zachód. Nagle Wasył się zreflektował.
- Dlaczego tak to państwa ciekawi? - zagadnął, patrząc mi prosto w oczy.

Zrobiło mi się głupio. Wypytujemy go, a sami nic mu jeszcze o sobie nie powiedzieliśmy. Do Filipa też dotarł ten nietakt. Już opanowany, wyjaśnił:

- Tę klacz - o ile mówimy o tej samej - ukradziono naszemu przyjacielowi. Chcemy ją odzyskać.

Mężczyzna nie zdołał ukryć zmieszania.

- Nie miałem pojęcia, że to kradziony koń - zaczął się tłumaczyć. - Myślałem, że jak facet wiezie na rzeź, znaczy, że legalnie kupił. Pewnie sam nie wiedział, że bierze od złodzieja. Zastanawia mnie jednak, co skłoniło rabusia do oddania arabki handlarzowi

koniną... - dodał, jakby mnie podpuszczał. - Założę się, że nie w tym celu ją uprowadził.

- Może przstraszył się, że go złapią i wszystko się wyda - odpowiedziałam, obserwując z ukosa kamienną

61

twarz Filipa. Przez chwilę wydał mi się obcy. - Uznał, że gra niewarta świeczki...

- Ja bym jej wcale nie brał, gdybym wiedział - zapewniał Wasyl gorliwie.

Chyba wydało mu się, że nas przejrzał. Że jesteśmy parą policjantów w cywilu i prowadzimy dochodzenie. Filip pasowałby do tego zadania nadzwyczajnie. Więcej niż średniego wzrostu, wysportowany dwudziestoparo-latek. Troszkę przy kości, ale na tyle, że sprawiało to wrażenie dobrze rozwiniętych mięśni. Opanowana twarz, równo przycięte na jeża włosy i okulary w granatowych oprawkach. Ładnie by mu było w mundurze.

- Wierzę - odparł Filip. - Może pan przynajmniej pamięta, czy ta klacz miała numer wytatuowany na grzbiecie? I jaki?

Wasyl wpadł w panikę. Miotał się, chcąc nam jak najszybciej pomóc.

- Mieć to miała, ale go nie pamiętam - wydusił wreszcie z rozpaczą. - Chyba jakieś trzy cyfry, ale nie wiem, jakie. Naprawdę.

Wyraźnie bał się, że zaraz w rękę Filipa zabrzęczą nie kluczyki samochodowe, tylko kajdanki. A nam ani w głowie było podejrzewać kręctwo. W ten sposób znakuje się wszystkie janowskie araby. Numer nie rzuca się w oczy i mało kto zwraca na niego uwagę. Dlatego nie zdziwiło mnie, że Wasyl nie pamięta kombinacji cyfr. Sama jej nie znałam, choć tyle razy odwiedzałam Lolitę. Szkoda, że nie mógł nam nic konkretnego powiedzieć. To dałoby pewność co do tożsamości gniadej. Pozostał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać: zobaczyć.

62

_ Mówił pan, że już ją sprzedał - przechwyciłam pałeczkę. - Pewnie na targu w Piszczacu tydzień temu?

Starszy pan skinął głową. Odetchnął z ulgą, że wreszcie bez problemu może odpowiedzieć na pytanie.

- Cztery dni ją tylko miałem, a stajni do dziś nie mogę doprowadzić do porządku.

Żłób mi prawie przez okno wypchnęła. Pani chce, to ja pokażę.

- Nie ma potrzeby - odparłam, wczuwając się w rolę.

Nieduży murowany budynek gospodarczy stał naprzeciw nas. Wszystkie cztery pary drzwi otwarto na oścież i w obie strony fruwały przez nie jaskółki. Pierwsze pomieszczenie z całą pewnością zajmował koń. Miało wymiary klasycznego boksu dla jednego zwierzęcia. Na pobielonej wapnem ścianie znać było ślady kopyt. Niżej wisiało połamane plastikowe poidło i nietknięta bryła soli do lizania. Szkoda czasu na dokładne oględziny.

Zadałam najważniejsze pytanie:

- Kto ją od pana kupił?

- Jakiś Włoch. Przyjechał raniutko ciężarówką, tyle że większą od tamtej. Wziął wszystkie konie z jarmarku, załadował i pojechał. Tylko nie wiem, co z gniadą, bo okropnie kopała. Ostatnia weszła, stała najbliżej rampy. Jak samochód ruszył, to aż iskry sypały się z desek. A kwiczała, jakby ją piłą rżnęli. Chyba wiedziała, co ją czeka. Zwierzęta, tak jak ludzie, czują, kiedy jadą na śmierć.

Nie mogłam tego dłużej słuchać. Filip też, bo pożegnał się i odjechaliśmy. W drodze żadne z nas nie odezwało się ani słowem.

Rozdział szósty

Bez uzgadniania wiedzieliśmy, że jedziemy do Kosto-i młotów. Po raz pierwszy zupełnie bez entuzjazmu. Kradzież Lolity nie przygnębiła nas tak, jak wiadomość, że

prawdopodobnie trafiła na rzeź. Ktoś musiał powiedzieć o tym Wujkowi, a razem będzie nam łatwiej.

Zastaliśmy go przy lonżowaniu ogiera. Koń posłusznie biegał po okręgu, lecz spoglądał gniewnie i czatował na odpowiednią chwilę, aby skorzystać z nieuwagi prześladowcy i zgnieść go kopytami. Nudziły go te codzienne treningi. Wujek miał na nie więcej czasu, odkąd zaczął nocować w domu dla letników. Rozwazał nawet przeprowadzkę na stałe. Pilnował koni.

- Mielicie rację, ostrzegając mnie przed Ireną - zwię->| rzył się na powitanie konspiracyjnym szeptem. - Ona ma coś na sumieniu. Mówię wam, przyjechała tu z godzinę temu. Akurat wdrapałem się na stryszek po słomę, więc mnie nie widziała. Za to ja ją z góry bardzo dobrze mogłem obserwować. Kręciła się po całym obejściu, ale z daleka od koni, pewnie dla niepoznaki. Parę razy zerknęła na zegarek. Zobaczyła, że Ania Borków maluje

64

obrodzenie wokół stajni ogiera; on się jej słucha, wyobrażacie sobie? Podeszła do niej i chwilę rozmawiała. Spytałem później Anię o czym. Pytała o ciebie, Filip. Właściwe o was oboje, o to, czy dzisiaj jeździliście. Widać domyśla się, że coś o niej wiecie. Chyba przy tym sądzi, że więcej/ niż wiecie naprawdę. Nie mam pojęcia, może ona planuje spróbować jeszcze raz? - Tu Wujek wymownie zerknął na kłusującego wytrwale ogiera. - Boi się, że jej przeszkodzie. Ale już ja ją upilnuję! Na razie pojechała w teren. Wzięła konia na dwie godziny.

Biedny Wujek! Niepotrzebnie podzieliliśmy się z nim wtedy naszymi domysłami. Uznał je za pewnik i desperacko się ich uczepił. Dawały złudzenie, że wcześniej czy później dotrze tym tropem do prawdy o Lolicie. Jak mieliśmy mu powiedzieć, co faktycznie się z nią stało? A jednak trzeba było to zrobić. Filip tymczasem brnął w różne inne tematy. No nie, ja mu coś zaraz powiem do słuchu, to w końcu jego rodzina i to on jest mężczyzną! Ja raczej poszukam Ani, bo dawno z nią nie gawędziłam. Spotykałyśmy się, gdy zarabiała na lekcje jazdy konnej, odnawiając Wujkowi płoty. Ostatnio pogoda nie dopisywała i Ania nie pojawiała się przez dłuższy czas. Stęskniłam się za nią. Ogrodzenie wokół wybiegu ogiera całe lśniło świeżutką bielą. Tylko na najdalszym pastwisku, zasłoniętym od stajni kępą drzew, zostało coś do pomalowania. Tam zastałam przyjaciółkę.

Jedynaczka sąsiadów zdzieriała właśnie z drewnianych słupków grzyby, które wyrastały po wiosennych wylewach Bugu. Na trawie stało plastikowe wiaderko z farbą emulsyjną i wapnem.

65

- Cześć! - krzyknęłam z daleka. - Jak tam egzamin? Pomachała przyjaźnie ręką w roboczej rękawicy.

- Super! Dostałam się do tego liceum! Uściskałam ją ze wszystkich sił. Mocno trzymałam

kciuki za ten sukces. Chciałam, żeby Ania uczyła się w Warszawie, gdzie ma ciotkę. Ja właśnie zdałam maturę i dostałam się na uniwersytet. Obu będzie nam różnie.

Zwłaszcza że Edyta oblała egzamin dojrzałości i wyjechała do Włoch popracować. Niedługo wróci do Polski na kilka tygodni, to wszystko opowie. Już nie mogę się doczekać.

Pożyczyłam sobie jedną z wielkich rękawic i, mimo protestów właścicielki, zabrałam się rażno do pracy. Przewalkowałyśmy temat szkoły, mężczyzn i odchudzania, docierając - jak zwykle - do jeszcze jednego żelaznego punktu naszych rozmów. Koni oczywiście. Ania nie miała pieniędzy, ale umiała marzyć. I te marzenia wprowadzała kolejno w czyn. Ona jedna z całej klasy bez ko-repetyq'i i znajomości dostała się do upragnionego prestiżowego liceum. Marzyła o własnym wierzchowcu. Wiedziałam, że

kiedyś go zdobędzie.

- To musi być arab! - egzaltowała się, a ja zazdrościłam jej, że wie, czego chce od życia. - Ja tak kocham tę rasę.

Ania uchodziła za małomówną, ale na temat arabów potrafiła rozgadać się jak mało kto. Zwłaszcza że we mnie znajdowała idealnego słuchacza. Wiedziała o nich prawie wszystko. Kiedy ona się tego nauczyła?

- Wiesz, najfajniej byłoby wychować takiego konika od małego - rozmarzyła się. - Jak Wujek siwka. Ten ogier jest śliczny, prawda?

•i-

66

_ Powiedziałeś mi w końcu czy nie? - spytałam Filipa w samochodzie.

_ Przecież musiałem.

Odetchnęłam. No to sprawa zamknięta. Szkoda mi Lo-lity, to prawda, ale co mogę zrobić? W życiu nie wszystko kończy się happy endem, choć z reguły nie lubię o tym pamiętać.

Nie przypuszczałam, że los szykuje mi stokroć bardziej przykrą niespodziankę.

Rozdział siódmy

Tydzień mijał spokojnie. Opiekowałam się Cinką i robiłam przetwory na zimę. Oba zajęcia cudownie absorbowały uwagę. Można było prawie zapomnieć o kradzieży Lolity. Staralam się nie myśleć o tym, że do czempionatu w Janowie pozostały niecałe trzy tygodnie, a jedną z kandydatek do nagrody Best in show przerobiono na kielbasę. Ani o tym, jaki los czeka stadninę Wujka i gdzie wtedy będę spotykać się z Filipem. Bo niby dlaczego miałabym o tym myśleć?

Pogoda dopisywała. Pochmurne dni i burzliwe noce ustąpiły miejsca upałom - tym bardziej dokuczliwym, że nagłym. Słońce od rana do wieczora nie kryło się za najmniejszą chmurką. Tylko telewizja wciąż nadawała relacje z powodzi - to na północy, to na południu Polski. A Terespol kapał się w słońcu.

- Tak gorąco, szkoda, że nie można go plawić, bo panicznie boi się wody - powiedziała, idąc na łąkę po Maćka, wałacha dziadków. - A do Bugu nie jest wcale daleko.

Cinka podskakiwała radośnie obok mnie, wymachując

68

skakanką. Dziewczynka zadomowiła się u nas. Nie rozumiałam braku zainteresowania ciotki Bronki i jej męża własnym dzieckiem. Żadne z nich nie zadzwoniło ani razu, tak zajmowało ich rujnowanie wspólnego życia.

- Hooop! - zawołałam, podrzucając małą w górę i ostrożnie sadzając na grzbiecie konia. Był tak szeroki, a ona taka drobniutka, że wyglądała jak woltyżerka ćwicząca szpagat. I tak spokojny, jak wierzchowce używane w tych zawodach. Może kiedyś brał w nich udział? Nie znałam jego przeszłości. Dziadkowie mieli go od trzech lat, a nie był już młody. Pojawił się pewnej nocy późną jesienią. Obudziło nas wtedy ujadanie psa. Dziadek wyszedł z mieszkania. Okazało się, że po podwórzu biega koń.

Niemilosiernie ubłocony, z nogi sączyła mu się krew. Na głowie miał kantar z kawałkiem powrozu. Pomyśleliśmy, że uciekł komuś, przestraszony odgłosami burzy, która niedawno przeszła nad okolicą. Później dziadek rozpytywał ludzi, a gdy to nic nie dało, zawiadomił policję. Jednak właściciel Maćka nigdy się nie zgłosił i wałach został u nas. Raz tylko zjawił się jakiś człowiek, który upierał się, że to jego zguba. Wtedy dziadek spytał o bliznę na piersi konia. Nieznajomy zmieszał się, bo nie umiał jej określić. Odjechał i więcej nie wrócił.

Cinka często prosi, żeby opowiedzieć jej tę historię na dobranoc. Śpi potem spokojnie, a mnie męczą koszmary. Uciekam w nich przed skośnookim trupem, który ożył i chce mnie zamordować. Wołam we śnie Filipa, ale on odwraca się, udając, że nie słyszy.

- Słuchaj lepiej, co mi się przydarzyło pierwszego dnia w pracy - przerwała mi Edyta w pół słowa. Wróci-

69

ła z Włoch i od razu chciała się ze mną zobaczyć. Siedziałyśmy na kanapie zarzuconej zdjęciami z ostatnich dwóch miesięcy jej życia i popijałyśmy wino, które ze sobą przywiozła.

- Co takiego? - zainteresowałam się.

- Wiesz, sprzątałam u takiej jednej babki i akurat przyszła do niej przyjaciółka. Myję schody i czuję, że chyba o mnie rozmawiają, bo patrzą w moją stronę. Ale gadają po włosku i nic nie rozumiem. Moja powtarza: Bene, bene. Znaczący „brudno”, myślę sobie, i dawaj, znowu napięprzam te schody, rozumiesz, aż zaczęły błyszczeć jak psu jaja, za przeproszeniem oczywiście, bo ty nie lubisz takich określeń. Później zagadałam po angielsku do tej drugiej. Fajna taka, nosi się jak nastolatka. Mówi, że moja nie może się mnie nachwalić. Powtarza mi, rozumiesz: Polki to takie porządne dziewczyny, po dwa razy schody myją, chociaż i tak czyste. Bo, rozumiesz, bene po włosku znaczący „dobrze”, a nie „brudno”!

Edyta zawsze umie mnie rozbawić. Poważne rozmowy też nam się zdarzają. Tylko jej i Ani Borek zdradziłam, co tak naprawdę łączy mnie z Filipem. Ania i tak by się domyśliła, bo siedząc całymi dniami przy tych swoich płotach, mogła nas bez trudu obserwować i, chcąc nie chcąc, wyciągać wnioski. Zapewne od początku podejrzewała, że albo już jesteśmy kochankami, albo blisko nam do tego. W obecności rodziców, którzy przywozili swoje pociechy na lekcje jazdy konnej, dbaliśmy o pozory. Żadnego przytulania się, trzymania za ręce i spacerów w objęciach. Ale długo w ten sposób nie umieliśmy wytrzymać. W końcu stadnina Wujka była jedynym miejscem, w którym mogliśmy się spotykać.

70

Edycie pierwszej powiedziałam, że jesteśmy parą. Wiele razy kryła mnie przed dziadkami. Zresztą nie tylko przed nimi. Oboje z Filipem nie chcieliśmy dawać powodów do plotek, nieuniknionych w małej miejscowości, gdy młoda dziewczyna prowadzi się z mężczyzną, któremu blisko do trzydziestki. Poza tym nie chciałam zapeszać. Z Pawłem, moim byłym chłopakiem, spotykałam się od podstawówki. Rzucił mnie po trzech latach. Właśnie wtedy, gdy zaczęłam wierzyć, że już zawsze będziemy razem, mimo dzielącej nas odległości po moim wyjeździe do Warszawy. On jednak znalazł sobie inną dziewczynę. Nawet nie raczył mi o tym powiedzieć, ale kiedyś ktoś zobaczył ich razem i mi doniósł. A Paweł się jej nie wyparł. Wolał zerwać ze mną. I to na początku wakacji. Aż do września musiałam znosić współczujące spojrzenia i komentarze całego miasteczka. Ile osób, tyle teorii na temat przyczyny naszego rozstania. Dziękuję za taką przyjemność!

- Wiesz, moja siostra wprowadziła się wreszcie do nowego domu. Zaprasza nas na weekend. Mamy wybrać, który nam odpowiada. Jedziesz ze mną, prawda?

- No pewnie!

Tylko niepotrzebnie wspomniała o tym, że we Włoszech polubiła salami. Od razu pomyślałam o Lolicie, która - według wszelkich znaków na niebie - nie chodzi już po ziemi. Filip jeszcze raz odwiedził Wasyla i ten przypomniał sobie trzecią z wytatuowanych na jej grzbiecie cyfr. Zgadzała się z numerem klaczy Wujka.

Wiedziałam więc, że nie żyje, ale nie chciałam w to uwierzyć. Wbrew logice marzyłam, że wróci do swego domu nad Bugiem. Kiedyś tak samo pragnęłam ocalić Maćka przed

71

nieznanym, a zapewne okrutnym właścicielem. Wtedy się udało, a teraz?

Przekreśliłam klucz w drzwiach ostrożnie, żeby nie narobić hałasu. Jak zwykle zasiedziałam się u Edyty do późna i odwiozła mnie swoim maluchem. Ledwie zrobiłam

kilka kroków w stronę mojego pokoju, drogę zastąpiła mi babcia.

- Znów był jakiś głuchy telefon, musi do ciebie. Przyznaj no się, jakiego to masz kawalera w tej Warszawie, że tak żyć bez ciebie nie może, co?

Roześmiałam się, nie wyczuwając w jej głosie niczego podejrzanego. Dziadkowie często droczyli się ze mną na temat moich domniemanych podbojów miłosnych.

Sąsiadka twierdziła przecież, że uparłam się jechać do szkoły w Warszawie po to, żeby złapać lepszego męża.

- Kiedyś ci go przedstawię, babciu. Na pewno.

Cmoknęłam ją w policzek na dobranoc i zabrałam telefon do siebie. Starannie zamknęłam drzwi. Nie musiałam długo czekać na upragniony sygnał.

- Filip, to ja - szepnęłam.

Zachichotałam, czując w sobie nadmiar musującego wina Edyty, i opowiedziałam mu o babcinej dociekliwości.

- Wiesz, mam pewną propozycję - wymruczał mi do ucha. Chyba był w łazience. W tle szumiała lejąca się z kranu woda. - Co ty na to, żebyśmy powtórzyli jutro scenę z niedawnego sobotniego wieczoru?

Zakryłam usta poduszką, żeby nie roześmiać się głośno.

- Ty świntuchu!... - pisnęłam zachwycona. - Oczywiście, że chcę.

Już miałam się rozłączyć, lecz coś mnie powstrzymało.

72

- Przypomniałam sobie o czymś - rzekłam z największą powagą, na jaką było mnie stać.

_ O czym?

W głosie Filipa wyczułam niepokój.

- Chciałam ci powiedzieć, żebyś... Nie zapomnij zakręcić kranu, kiedy będziesz wychodził!

I szybko odłożyłam słuchawkę.

Nawet nie musiałam specjalnie babci prosić, żeby zajęła się Cinką. Kitera nie wzięłam, bo kiedy Wujek przeprowadził się na dobre do domu dla letników, zabrał ze sobą dwa własne wilczury. Nie miałam ochoty sędziować walkom psów.

Udałam, że wybieram się autobusem do Edyty. Na krzyżówkach za lasem czekał Filip.

- Ślicznie wyglądasz, kotku - szepnął, gdy wśliznęłam się do auta.

Tak bardzo chciałam to od niego usłyszeć.

- Ale jesteś miły. - Rozpromieniłam się. Po raz pierwszy, wyjeżdżając do Kostomłotów, nie miałam na sobie džinsów ani dresu do biegania. Strój do jazdy konnej trzymałam w siodłami Wujka, więc mogłam sobie pozwolić na włożenie sukienki mamy. Aktualna moda naśladowała styl lat osiemdziesiątych, a malinowa czerwień harmonizowała z jasnym kolorem moich długich włosów.

- Przez Michałków? - upewnił się Filip. Kiwnęłam głową. Dopóki istniała szansa, że minie nas

ktoś znajomy, trzymaliśmy się z dala od siebie. Wdychałam subtelną woń niebieskiego „Maklera” i patrzyłam na dłonie oparte na kierownicy. Jak one cudownie potrafią pieścić...

73

Na międzynarodówce z daleka rzucała się w oczy kolejka do przejścia granicznego.

Jak zwykle przed weekendem, panował tłok. Większość oczekujących aut miała numery Wspólnoty Niepodległych Państw. To handlarze wracający ze Stadionu Dziesięciolecia lub sprowadzający samochody z Europy Zachodniej.

Za zakrętem krajobraz zmienił się radykalnie. Odsunęłam szybę, aby wpuścić zapach dojrzewającego w polu żyta. Choć nie było wiatru, listki przydrożnych topoli uderzały

o siebie i w powietrzu rozbrzmiewały podobne do cmoknięć kłaśnięcia. Łąka na piaskach calutka w kwiatkach. Fiolet ostów, biel dzikiej marchwi, żółć dziewanny. Oświetlona letnim słońcem łąka wyglądała niczym obraz impresjonisty i mimowolnie przypomniła mi się żona Wasyla, a zaraz potem Lolita. Ale nie chciałam już o tym myśleć. Wujek poradzi sobie jakoś, biorąc kredyt, a później Filip coś wymyśli. W końcu dostanie to gospodarstwo, bo Wujek nie ma innej rodziny. Chciał przepisać je na siostrzeńca już wcześniej, lecz chyba się rozmyślił - bo nie wierzę, że to Filip nie chciał - i zaczął hodować araby. Stale powtarza, że pozbędzie się ziemi dopiero wtedy, gdy zniedołęż-nieje.

- Kochanie?... - zamruczał Filip tuż przy moim karku, zwolniwszy rozpędzonego volkswagena.

- Najpierw konie.

Byłam nieugięta. Niech sobie poczeka! Jednak gdy droga zagłębiła się w las, przez współprzymknięte okno wleciał ostry zapach sosen. Popatrzyliśmy na siebie, po czym Filip bez słowa skręcił w brukowaną drogę Świrusa, zjechał z wału, a po chwili jeszcze raz skręcił w leśną

74

ścieżkę, wijącą się między drzewami aż do małej polanki, ukrytej w gęstwinie.

Silnik zgasł, a ja poczułam na policzku tak dobrze znane łaskotanie pięciu biegnących pajęczków. Wyrwał mi się jęk rozkoszy i zarazem lęku, wywołanego osobliwym skojarzeniem.

- Chodź - powiedział Filip i podał mi rękę. Wyciągnął mnie z samochodu. Las przyglądał się nam, wstrzymawszy oddech. Nie odezwał się ani jeden ptak. Kładąc się na mchu, zdążyłam pomyśleć, że tak przecież musi wyglądać niebo. I nawet mogą w nim rosnać zielone drzewa...

Otworzyłam oczy, zdumiona zachowaniem Filipa. Przed chwilą niecierpliwie wyluskiwał mnie z sukienki. Teraz klęczał bez koszuli i wpatrywał się w dal jak zahipnotyzowany.

- Zobaczyłeś Pamelę Anderson czy Jennifer Lopez? - spytałam kąśliwie.

- Ciii... - Położył mi palec na ustach.

Ostrożnie uniosłam się na łokciach. Teraz i ja słyszałam. Ktoś bardzo szybko biegł przez las, lecz za krzakami nie było go widać. Mimo woli przypomniłam mi się martwy Chińczyk. Tupot nóg stawał się coraz wyraźniejszy i wiedziałam, że za moment ktoś wpadnie na polankę, gdzie stał nasz samochód.

Po chwili ją zobaczyliśmy. Ania przecięła skraj polany i zniknęła w zaroślach. Uciekała w panice. Nawet się na nas nie obejrzała.

Dłuższą chwilę czekaliśmy na tego, kto ją tak przestraszył. Nikt się jednak nie pojawił.

75

Pierwszy oprzytomniał Filip. Wyprostował się, otrzepując kolana z igliwia. Wciąż drżałam, więc pomógł mi się podnieść.

- Jedźmy do domu - błagałam, szcękając zębami. Nie mam ochoty na konie ani na nic innego.

Przed oczyma wciąż miałam obraz nieżywego Chin czyka, który niedawno wpatrywał się we mnie rozszerzonymi strachem martwymi źrenicami.

Rozdział ósmy

Filip przekonał mnie, że to bezpodstawne obawy.

- Przecież nikt jej nie gonił - powtarzał do znudzenia.

- Może masz rację - poddałam się w końcu sile jego perswazji. - Jestem przewrażliwiona, za dużo o tym wszystkim myślę. Tylko zepsułam nastrój.

- Nie ty, aniołku. Sam jestem sobie winien. Dziewczyna się czegoś przestraszyła, a ja

zareagowałem tak, że i ty niepotrzebnie się zlekąłeś. Ta jej niby-ucieczka to jeszcze nie takiego. Ty się boisz pajaków, a ona może myszy? Niewykluczone, że po prostu przypomniała sobie o włączonym żelazku.

- Albo Świrus kapał się nago... Filip roześmiał się na całe gardło.

- Widzę, że humor już ci się poprawił. W takim razie może dasz się namówić na konie jutro z samego rana? Moglibyśmy w siodle obejrzeć wschód słońca. W formie rekompensaty za dzisiaj. Co ty na to?

Wyraziłam wielkie zdziwienie.

- Czy ty wiesz, że pierwszy raz proponujesz mi spotkanie w weekend? Nie liczę tego, kiedy ukradli Lolitę.

77

Wykonał teatralny gest udawanej rozpacz.

- Naprawdę? - zagrał zdumienie z wprawą zawodowego klauna i, chwytając się za klatkę piersiową w po-, zorowanym ataku serca, zawołał: - O, bogowie! Co ta Broszka wyprawia z uczciwym człowiekiem!

Zaśmialiśmy się oboje. Tak naprawdę humor wcale mi się nie poprawił, ale nie chciałam tego okazywać. Filip niepotrzebnie by się zamartwiał. Praca weterynarza jest i tak stresująca. A teraz jeszcze ta afera z Lolitą. Nie wiem czemu byłam przekonana, że Ani grozi niebezpieczeństwo. Tylko po to, żeby ją zobaczyć i z nią porozmawiać, zgoniłam się na jutrzejszy wypad.

Filipa wezwano do nagłego przypadku. Koń z ostrą kolką wymagał kilku godzin żmudnego płukania żołądka i w rezultacie przyjechaliśmy do Kostomłotów po jedenastej.

Konie wylegiwały się na piachu przed wiatą w promieniach lipcowego słońca. Ogier stał przed stajnią wyprężony jak cięciwa, z głową wyciągniętą w kierunku domostwa Borków i zwróconymi w tę stronę uszami. Dobiegało stamtąd pełne pasji rzenie Kukły. Buntowała się przeciw zamknięciu w ciemnej, niskiej stajni.

Wapno na ogrodzeniach Wujka bielilo się tak mocno, że jego blask raził oczy. Jednak Ani nigdzie nie dostrzegłam. Dziwne. Zawsze, gdy nie padał deszcz i ogrodzenia były suche, zjawiała się wcześniej rano i malowała, a po południu jeździła. Czyżby jednak faktycznie coś jej wczoraj groziło? Może tylko zasnęła?

- Broszka, śpisz?

Filip przyprowadził już oba konie i uwiązał przed staj-

78

nią. Wzięłam od niego szczotkę oraz zgrzebło i zaczęliśmy czyścić nasze wierzchowce.

- Można by je kiedy wykapać, nie sądzisz? - zagadnął, postukując zgrzebłem o stojącą w pobliżu drabinę, aby wytrząsnąć kurz spomiędzy metalowych zębów.

- O nie, jeśli masz na myśli pławienie w Bugu. Pamiętasz, jak ostatnim razem ta stara kłacz przepłynęła prawie na drugi brzeg, a całe stado za nią? Gdyby Irena jej w porę nie zawróciła, uganiałoby się za końmi wspólnie z białoruskimi strażnikami.

Filipa ubawiła wizja bezkrywawych łowów na nasze mustangi.

- Muszę cię rozczarować, słonko. Dużo by ci Białorusini nam nie pomogli, bo wcale nie ma ich tak wielu. Budki straży granicznej stoją co kilkadziesiąt kilometrów. Po naszej stronie tak samo.

- Jak ty wszystko wiesz - westchnęłam z podziwem i odrobiną zazdrości.

Schylałam się właśnie, aby wyczyścić Plastyce kopyta, kiedy usłyszałam zawodzenie Borkowej. Biegła do nas wprost z podwórza, ubrana jak do obrządku: w chustce, starym fartuchu i rozdeptanych pantoflach.

- Moje dziecko! - łkała. - Ratujcie moje dziecko! Niech ktoś zadzwoni po pogotowie, u mnie nie ma telefonu!

Rozplakała się i z jej bezładnych słów nic więcej nie zrozumieliśmy. Wiedziałam tylko,

że z Anią jest naprawdę źle i że coś złego zrobił jej nie człowiek, lecz koń. Piękna kara klaczy, mokra od potu, zdychała powoli. Bez czucia, z łbem znieruchomiałym na słomie. Tylko jeszcze w przewodzie pokarmowym coś jej dziwnie war-

79

czało, a sygnały z nerwów biegly do drgających jak pod napięciem mięśni. Po chwili ogromne cielsko zrobiło się zupełnie bezwładne i w przerażającej ciszy słyszeliśmy jedynie urywany szloch matki Ani.

- Żyje - oznajmił z ulgą Filip, wstając z kłeczek. Ciężki korpus klaczy przygniatał nogi nieprzytomnej.

dziewczyny. Leżała skulona i schowana pod kamiennym żłobem na tyle, na ile zdołała się tam wcisnąć. Na głowie miała brzydkiego siniaka od uderzenia szerokim, niepodkutym kopytem, a prawą rękę najpewniej złamaną. Ale oddychała i to było najważniejsze.

- O Jezu, za coś mnie tak pokarał - jęczała Borkowa,, ocierając łzy skrajem poplamionego trawą fartucha. - Toż to spokojne cielę było, nie kobyła, a tu takie nieszczęście! Ja tam w głupie przesady nie wierzę, ale ktoś chyba urok jaki na nią rzucił. Albo wściekła się czy co.

Pomieszczenie nosiło wyraźne ślady walki. Blaszone wiadro, w którym Ania przyniosła wodę, całe pogięte, utkwilo w najdalszym kącie stajni. Ściółka była stratowana, a na pobielonych wapnem ścianach raz koło razu widniały ślady kopyt, brudnych od gnoju. W kilku miejscach wykruszył się tynk, odsłaniając ciemnoszary mur. Ze środka sufitu, nad ciałem konia, zwisały smętnie połamane siłą uderzenia deski. Długa drzazga wystawała zwierzęciu ze skóry pomiędzy uszami.

- Chyba od tego upału się wściekła. Albo kot przywłókł skądś choróbsko, bo i psy takie osowiały od rana siedzą.

Rzeczywiście, żaden nie szczeknął, choć kręciliśmy się po ich terenie. Zwykle zaczynały ujadać już wtedy, gdy zwalnialiśmy przed zjazdem z szosy.

80

Borkowa przeniosła zatroskane spojrzenie z klaczy na Dnie, która wciąż miała zamknięte oczy, i znów się roz-kleiała.

- Żeby chociaż wyszła z tego do jesieni - usłyszeliśmy przez łzy i siąkanie nosem. - Uczyć się chce. Żebym ja wiedziała, co się stanie, sama bym poszła kobyłę napoić.

Przy żniwach byliśmy, żyto już dojrzałe, myślím, nie ma co czekać, aż znowu deszcz się rozpada. Na kombajn jeszcze za wcześnie, to wyciągnęli my ze Stachem kosiarkę i konia zaprzęgli. Ania mówi: pomogę wam, no i odnosiła słomę, a myśmy kosili.

Kobyła się zmachała, bo odzwyczajona od roboty. Ania ją pasie słodkościami i siedzi u niej po nocy nieraz. Przyjechali do domu, znaczy mąż z córką, a ja na ogrodzie zostałam przy krzakach, kapustę zimową oplewić, bo strasznie zielskiem zarasta, teraz wciąż mokro, to rośnie. Stacho obiecał dyrektorowi wyciąć parę brzózek i ogrodzenie naprawić przy Bugu, bo już parę tygodni, jak żerdź się złamała, próchno to już było co prawda, i konie prawie luzem chodzą, z przyzwyczajenia tylko nie uciekają. Razem poszli, Ani widać Kukłę kazał napoić, jak ostygnie, bo jak raz z pół godziny minęło, nim do stajni weszła. Żeby tak mnie co tknęło i wcześniej bym z pola wróciła, to może... A tak, nic nie słyszałam. No, że koń rży, ale czy to pierwszy raz? Myślałam, że do ogiera się pali.

No tak, my też słyszeliśmy to rzenie i żadne z nas nie podejrzewało, co naprawdę ono oznacza. Ale przecież Filip jest weterynarzem. Powinien szybciej zorientować się, że coś jest nie tak - szukałam dla siebie usprawiedliwienia.

- Przybiegłam i słyszę, że kobyła kopytami wali, aż

81

ściany chodzą - ciągnęła swoje Borkowa, jak gdyby też chciała się wytłumaczyć. - Córki nigdzie nie widać, wiaJ dra przy studni ani śladu. Jak zrozumiałam, co się święci, to palce tak mi latały, że kłódki z drzwi odemknąć nie mogłam. Jezu, jak tę Anię tak sponiewieraną zobaczyłam, to pomyślałam, że już po niej...

Wreszcie doczekaliśmy się ciężarówki z dźwigiem, który podniósł bezwładne ciało Kukły. Lekarz i sanitariusz wyskoczyli z karetki z noszami.

Filip pobrał krew konia do analizy. Chciał wziąć próbkę od psów, a ja zamierzałam mu przy tym asystować. Nie potrafiłam patrzeć na łzy Borkowej i na moją przyjaciółkę w takim stanie, żeby też się nie rozkleić. A to nie pomogłoby żadnej z nas.

Opuściliśmy stajnię przygnębieni. Psy wciąż leżały osowiałe. Nagle drgnęłam.

Gwałtownie chwyciłam Filipa z łokieć.

- Widziałeś?! Skinieniem głowy wskazałam na stóg siana, stojący z dala od zabudowań.

- Nie, co takiego?

- Przed chwilą wychylił się stamtąd jakiś facet - wyszeptałam trwożliwie. - Miał azjatyckie rysy twarzy.

Filip w gnieniu oka uwolnił się od mojego uścisku i popędził we wskazanym kierunku. Ledwie zrobił kilka kroków, od stogu oderwała się niska, szczupła postać. Chińczyk błyskawicznie przebiegł ściernisko i ze zwierzęcą zręcznością zanurzył się w zaroślach. Ciągnęły się aż do rzeki. Filip deptał mu po piętach, ale tamten był szybszy i wkrótce zmylił pogoń. Filip wrócił z niczym.

82

Cała dygotałam. To był chyba ten sam człowiek, którego zwłoki widziałam w lesie.

Nie mogłam dojść do siebie. Filip na wszelkie sposoby próbował mnie uspokoić.

Zaprowadził na podwórko Wujka i posadził na ławce przy domu. Mówił coś, a ja wciąż szlochałam, chociaż bardzo chciałam przestać. Odszedł na chwilę i zajął się końmi, które wciąż stały uwiązane. Zapomnieliśmy o nich, biegnąc do samochodu po telefon komórkowy, a potem do sąsiadów. Kiedy je odczepił, Plastyka i Berberys, smukłe gniade angloaraby, powędrowały w stronę cienia, który rzuciła drewniana wiata.

Filip wrócił ze szklanką wody prosto z pompy. Upiłam łyk, ale nie zrobiło mi się od niej lepiej. Kłula w język zimnymi igiełkami, co mnie tylko rozdrażniło.

Resztę Filip wychlapał mi na twarz. Znow zaniósłam się płaczem.

- Kochanie, przestań. Proszę cię... - powtarzał bezradnie.

Przytulił mnie i wziął na ręce. A potem wniósł po schodach na werandę. Zapasowym kluczem, który zawsze nosił przy sobie, otworzył oszklone drzwi do salonu. Chwycił mnie za rękę i powiedział tylko:

- Chodź ze mną.

Posłusznie przekroczyłam próg, a wtedy on zamknął za nami drzwi i cicho przekręcił klucz od wewnątrz.

- Już dobrze?

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się. Pewnie mam oczy czerwone od płaczu i spuchnięte powieki. No cóż,

83

jeśli nawet w takim stanie nie odstraszałam Filipa, to widocznie on naprawdę mnie kocha. Nie wiem, jak to zrobił, ale przestałam histeryzować. Aha, zaprowadził mnie do naszej kanapy. A potem zaczął powtarzać wszystko to, co robiliśmy tu kiedyś przy czerwonym winie z piwnicy Wujka. Jak przez mgłę przypominałam sobie tamten cudowny pierwszy raz. Powoli poddawałam się pieszczotom jego dłoni, jak gdyby naciskał palcami kolejno odpowiednie klawisze. Mógł ze mną zrobić, co tylko chciał i dobrze o tym wiedział.

Kiedy podniósł się, by wyjść do łazienki, coś jasnego mignęło mi za oknem. Jakiś niewyraźny kształt. Filip otworzył drzwi na korytarz, nakładając bez pośpiechu koszulę.

- Dzień dobry - usłyszałam i natychmiast zeskoczyłam z kanapy. Jednym ruchem ręki wygładziłam pomietą narzutę.

Zgadłam, Irena. To chyba odbicie słonecznego blasku na jej krótkich, farbowanych na blond włosach na chwilę dosłownie mnie oślepiło, gdy spojrzałam przez szybę w drzwiach. Z bliska wydawały się matowe. Żabie usta zacisnęły się w grymasie, którego znaczenia nie umiałam odgadnąć. Złośliwa satysfakcja? Coś jakby triumf? Ale z jakiego powodu?

Zapewne domyśliła się, co przed chwilą robiliśmy, i nie: ma już wątpliwości, kim dla siebie jesteśmy. Co z tego, nie wolno nam? A może to zwyczajna zazdrość? W końcu Irena jest samotna i też mieszka w Białej. Czyżby miała wobec Filipa ukryte zamiary? A może on o tym wie?

84

W samochodzie wróciliśmy do sprawy wypadku Ani, którą zabrano do szpitala. Na podwórzu Borków Zbyszek parkował właśnie służbowy wóz.

- Chyba nie sądzisz, że to rzeczywiście atak wścieklizny? — odezwał się Filip, gdy tylko wykręciliśmy na jezdnię. Opony lepiły się do gorącej nawierzchni. Podrzucało nas trochę, bo w miękkim asfalcie odcisnęły się ślady jakiegoś tira albo samochodu z mleczarni, który przejeżdżał tędy codziennie rano i zabierał konwie wystawione przez gospodarzy.

Zaskoczył mnie.

- Skąd mam wiedzieć? - Wzruszyłam ramionami. - Ty jesteś weterynarzem.

- W dodatku, co zapewne chcesz przypomnieć, interesuję się szczególnie leczeniem koni. Otóż wiedz, że chodzi tu o coś innego. Na razie mogę tylko podejrzewać, ale badania w laboratorium wszystko wykażą. Trzeba je zrobić jak najszybciej. Jeśli mam rację, muszę zdążyć w ciągu sześciu godzin. Inaczej substancja zawarta we krwi się ulotni.

Zaintrygował mnie mocno.

- Co podejrzewasz? - Wstrzymałam oddech.

- Ktoś podał kłaczy izobutrazyn etylowy. Tego nie wolno robić.

Filip często serwował mi różne naukowe terminy, ale tego nie umiałam jakoś zapamiętać.

- Izo... co?

- Izobutrazyn etylowy. Taki środek uspokajający. Zawierają go tabletki zapobiegające wymiotom podczas jazdy samochodem. Psy też go dostały, dlatego siedziały tak cicho.

85

- Misiu, nie rozumiem...

- Środek ten powstrzymuje psy od szczekania, ale ko-Я nie pod jego wpływem wpadają w niekontrolowany szal i nawet najspokojniejsze zaczynają dosłownie chodzić po ścianach.

- Tak jak Kukła?

- Właśnie. Dlatego wszystkie poradniki weterynaryj- i ne ostrzegają przed podawaniem go koniom. Nie wierzę, i że nakarmiono ją tym przypadkowo. Ktoś, kto to zrobił, musiał wiedzieć, co spowoduje. Według jego planu Ania jj powinna już nie żyć.

Wzdrygnęłam się na samą myśl o śmierci przyjaciółki. I Filip obserwował mnie we wstecznym lusterku, na co nie | zwróciłam wtedy uwagi.

- Myślę, że możesz mieć rację - zgodziłam się po chwili-1 li zastanowienia. - Pamiętasz słowa Borkowej? O tym, że trzęsły się jej ręce i nie mogła zdjąć kłódki z drzwi stajni. I

Ania była przecież w środku, nie mogła jej sama założyć. Zrobił to ten, kto wcześniej podał lek psom i koniowi. Potem czekał, aż Borek pojedzie z Wujkiem do lasu po drzewo, a jego córka wejdzie do stajni. Musiał się orientować, że to ona zajmuje się Kuklą.

Wszystko zaczynało się układać w logiczną całość. I Brnęłam dalej, czując, że jestem bliska rozwiązania nie tylko tej zagadki, ale także wyjaśnienia okoliczności tajemniczego zniknięcia Lolity. Wciąż przy tym wierzyłam, że klacz żyje. Wiemy już, że Wasyl zabrał ją z ciężarówki i rzeźnika. Trzeba wykryć, w jaki sposób na nią trafiła i za czyją przyczyną.

- Ten ktoś był w pobliżu, kiedy przyjechalśmy do ośrodka - kombinowałam z uporem. - Nie widziałam |

86

Ani na podwórku, tylko słyszałam rzenie, więc musiał już ją zamknąć.

Filip zastanawiał się na głos:

- To wysokie rzenie i ryk, jaki klacz wydała z siebie na końcu, spowodował ból po zażyciu izobutrazynu. Że też od razu na to nie wpadłem! Cóż, do tej pory znałem działanie tego środka tylko z podręcznikowych opisów.

- Kto to mógł zrobić?

Filip zerknął na mnie, niepewny, czy dzieląc się swymi domysłami, nie wywoła kolejnej historycznej reakcji z mojej strony.

- Wał śmiało - zachęciłam go niezbyt elegancko. I tak wiedziałam, co chce powiedzieć.

- Ten Chińczyk?

- Mylisz się. - Tylko czekałam na to, żeby popisać się przed nim swoją przenikliwością. - Jeśli nawet on podał ten izo-coś-tam i zamknął Anię z szalejącym koniem, to tylko wykonywał polecenia kogoś, kto doskonale zna się na koniach i jest teraz w pobliżu. Jak myślisz, kto to może być? - dałam mu ostatnią szansę na rehabilitację.

- Przecież nie Wujek... Przewróciłam wymownie oczyma.

- Irena, mój drogi. To musi być Irena!

Jak zwykle wyszedł mnie na krzyżówkach za lasem. Popołudnie dopiero się zaczynało. Nikt nie przejeżdżał ulicą. Na pożegnanie szybko pocałowałam go w gładko ogolony policzek i już chciałam wysiąść, kiedy przytrzymał mnie za rękę. Gdy chciał, jego palce z delikatnych pajęczków zmieniały się w żelazne kleszcze, mimo że były pokryte aksamitną skórą.

87

Przyciągnął mnie do siebie.

- Nie tak. - Uśmiechnął się. - Przecież nikt nas tu ni zobaczy.

Całowaliśmy się długo i namiętnie. W podnieceni wprawiał nas fakt, że musieliśmy jednocześnie uważać na drogę przed sobą i zerkać we wsteczne lusterko.

- No, zmykaj - szepnął z czułością Filip, gdy zabrakło mi tchu.

- Zadzwoń do mnie, gdy będziesz miał wyniki tej analizy - poprosiłam. I zagłębiłam się w młody sosnowy las.

Drzewa w lipcu pachną jakoś inaczej niż zwykle, dawno to zauważyłam. Podobno o tej porze roku nabierają mocy terapeutycznej. Olejki eteryczne krążące wokół nich mają teraz bardzo dużo fitoncydów o szczególnych właściwościach: zabijają bakterie i jonizują powietrze. Szłam więc nieomal tanecznym krokiem, głęboko oddychając, i najchętniej śpiewałabym z radości. W tej chwili nie obchodziło mnie absolutnie nic.

Nagle ktoś złapał mnie z tyłu za ubranie.

Zamarłam z przerażenia. Kątem oka obserwowałam na leśnym poszyciu cień podnoszonej ręki. To dlatego Chińczyk miał takie straszne spojrzenie... Czekałam na

cios. Oczywiście wyobraźni zobaczyłam siebie martwą i zrobiło mi się strasznie żal, że to już koniec. Nie zdążyłam nawet się skulić, kiedy wymierzono mi policzek. Na szczęście nie był zbyt mocny.

- Babcia? Co ty tu robisz? - spytałam głupio.

Stała przede mną, sapiąc ze złości, a jej zaciśnięte usta nie wróżyły dziś spokojnego rodzinnego wieczoru. W rękę ścisnęła koszyk z kilkoma grzybami w środku.

88

- No, ładnie - wycedziła ironicznie. - Moja wnuczka się puszcza.

Zabolalo bardziej niż cios, którego tak się bałam. Co najgorsze, z jej perspektywy tak to wyglądało. Choć ja nigdy nie pomyślałam o tym, co robię, w taki sposób... Skłamać, że to platoniczna znajomość? Przyznać się do wszystkiego, żeby zabroniła nam się spotykać? Milczeć dyplomatycznie?

Wybrałam ostatnie. Ruszyłam w kierunku domu, nieznacznie przyspieszając. Babcia spodziewała się raczej, że będę się tłumaczyć, więc zbiłam ją z tropu. Ale tylko na moment. Wiedziała, że musi wykorzystać ten kwadrans, zanim znajdziemy się w mieszkaniu, gdzie są dziadek i Cinka. Nie traciła czasu.

- Wstydu nie masz! Boga się nie boisz! - zaatakowała.

No dobrze, nie jestem święta. Ale żeby od razu wyzywać mnie od puszczalskich?

Przecież to tylko formalność, to całe małżeństwo. Przed czy po ślubie, co za różnica, jeśli ludzie się kochają?

- Zamierzamy się pobrać - powiedziałam, żeby przerwać potok jej słów. Udało mi się. Zaskoczona umilkła, a potem spojrzała na mnie nieco przychylniej.

- Oświadczył ci się?

W jej głosie brzmiała nuta niedowierzania. Weterynarz z własną prywatną lecznicą to nie byle jaka partia. Nie to co Paweł: matka handluje z Ruskimi spirytusem, ojciec siedzi w Niemczech. Niby pracuje, ale kto go tam wie, co to za kryminalista. Babcia miała na ten temat własną teorię i nie dawała się przekonać. Dlatego wciąż powtarzała, że Paweł to nie jest chłopak dla mnie i że na pewno wcześniej czy później mnie rzuci. No i wykrakała.

89

- Tak wprost to jeszcze nie, ale sugerował - wybrnęłam bez uciekania się do kłamstwa. Uświadomiłam sobie równocześnie, że Filip nigdy nie poruszał tego tematu. Tylko ja w marzeniach widziałam nas na ślubnym kobiercu, a potem w otoczeniu naszych dzieci. Jakoś dziwnie przypominały Cinkę, dlatego tak lubiłam się nią zajmować. Postanowiłam przy najbliższej okazji wybadać jego zamiary w tej kwestii i czy w ogóle traktuje mnie poważnie.

W domu babcia nie wytrzymała i, kiedy tylko dziadek zasiadł przed telewizorem, a Cinka poszła spać, udzieliła mi w kuchni kilku wskazówek na temat postępowania z mężczyznami. Mówiła konspiracyjnym szeptem, ale dziecko miało płytki sen i co nieco z tej rozmowy usłyszało.

Właśnie kładłam się do łóżka, ostrożnie, żeby jej nie obudzić. Spałyśmy na jednym tapczanie, bo tak chciała. W pewnej chwili otworzyła oczy i usiadła, całkiem roz-e budzona. Minę miała przy tym niewesołą.

- Wiesz co, Broszka?

- Co, malutka?

- Cinka jest nieszczęśliwa. Jak stąd do mamy albo jeszcze więcej.

Oho, myślę sobie, zaczyna się tęsknota za domem. Coj robić?

- Dlaczego jesteś taka nieszczęśliwa? - spytałam, hamując ziewanie. Dzień był strasznie długi i wyczerpujący.

- Bo nie pójdę do Pierwszej Komunii, jak inne dzieci. Popęłiłam cudzołóstwo. Senność przeszła mi jak ręką odjął.

- Bo wiesz, ja śpię teraz w twoim łóżku. A to jest cudze łóżko, prawda? Nie mogłam się nie roześmiać. Zwłaszcza że do tej pory nie miałam dziś powodów do radości. Moja przyjaciółka walczy o życie w szpitalu, Chińczyk cudem zmartwychwstał i biega po Kostomłotach, tak że za Chiny Ludowe nie wybiorę się sama na spacer po ulubionej okolicy, a babcia odkryła mój sekret. Jedyne plus tej sytuacji: nie muszę ukrywać się już przed dziadkami i Filip może dzwonić do mojego domu, ile i kiedy chce. Trzeba go tylko powiadomić, że babcia już o nas wie. To przy okazji...

Rozdział dziewiąty

Okazja nadarzyła się nieprędko. Filip był wciąż zajęty i znów dzień w dzień zaraz po pracy pędził do Białej. Nie dzwoniłam. Niech nie myśli, że nie wytrzymam bez niego kilku dni. Oczywiście, że to potrafię. Biegam z Kilerem do utraty sił. Bokser, cały szczęśliwy, rozciąga w zdyszonym uśmiechu swoją najsympatyczniejszą mordę na świecie i znów pakuje się w przydrożne krzaki.

Nie wiedziałam dokładnie, do czego Filip tak się spieszy. Mówił coś o zobowiązaniach, braku czasu, jakichś zleceniach. Czyżby przymierzał się do zrobienia doktoratu i zbierał materiały do pracy? Bo chyba nie siedzi tyle w laboratorium nad tymi próbkami krwi pobranymi od konia i psów?

Zawsze bardzo przeprasza, gdy zdarzy mu się dłużej nie mieć dla mnie czasu, i mętnie się tłumaczy. Zupełnie jak mąż, który wyrwa się z domu do kochanki pod byle pretekstem. Chyba nie znudziłam mu się do tego stopnia?... A może on jednak ma żonę i gromadę dzieci? To by wyjaśniało wiele dziwnych zachowań i otoczkę tajemniczości wokół powrotów do domu.

Właściwie to co ja o nim wiem? Niewiele, jak na roczną znajomość. I co to za badania, których potrzebuje do doktoratu? Marzy o tym, aby odkryć jakiś sposób ingerowania w życie płodu czy coś takiego, nie pamiętam dokładnie. Aha, musi mi wreszcie powiedzieć, gdzie mieszka. W książce telefonicznej niestety nie figuruje i znam tylko numer na komórkę. Chyba że ukrywa na balkonie Lolitę. To byłby przynajmniej sensowny powód jego tajemniczości. No, ale dosyć głupich żartów.

Nie minął tydzień, kiedy znów zadzwonił. Rano. Babcia ubiegła mnie i podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się z nadzieją w głosie. Po drugiej stronie zapadła cisza.

- Halo? - powtórzyła i zanim zdążyłam ją powstrzymać, dorzuciła poufale: - Może pan mówić, panie doktorze, my już wszystko wiemy i cieszymy się, że...

Ze zwinnością Kilera rzuciłam się na aparat, przerywając to żenujące przymilanie się. Uciekłam do sypialni i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Miałam nadzieję, że zdążę się wytłumaczyć, zanim Filip odłoży słuchawkę.

- Ja ci wszystko wyjaśnię...

Własne słowa docierały do mnie jak z ekranu telewizora. Brzmiały jak w kiepskiej telenoweli.

Zaczęłam opowiadać Filipowi o tym, jak babcia nas podejrzwała i co się działo potem. Przerwał mi bez zniecierpliwienia, choć stanowczo:

- Nie teraz, kochanie, opowiesz mi w samochodzie. Wujek właśnie dzwonił. Borkowa była u niego i pytała o ciebie.

- Co się stało?

- Ania odzyskała przytomność, ale bardzo słabo się czuje. Prosiła, żebyś przyjechała jak najprędzej. Chce ci coś powiedzieć.

Odkąd Filip podzielił się ze mną przypuszczeniami na temat przyczyny wypadku,

byłam przekonana, że Ania ma coś wspólnego z kradzieżą konia. Na pewno wie za dużo, dlatego miała zginąć. Nie udało się jej usunąć w lesie, jak tego Chińczyka, który zresztą zniknął później w niezrozumiały sposób. Uciekła swemu prześladowcy. Może nawet my z Filipem niechcący go wypłoszyliśmy. Ale sprawę widać uznano za ważną i pilną, skoro morderca nie czekał dłużej niż do następnego przedpołudnia. Kiedy wreszcie dowiem się, o co chodzi?

- Zawiozę cię na Terebelską. Za ile będziesz gotowa? Ania w każdej chwili może znów zapaść w śpiączkę.

- Za pięć minut będę tam, gdzie zwykle - obiecałam. Babcia zrozumiała mój pośpiech zupełnie opacznie.

Nie wierzyła, że jadę do szpitala odwiedzić koleżankę.

- Leć do niego - zamachała ręką, jakby opędzała się od moich kłamstw, choć tym razem była to najszczerza prawda. - Tylko nie wracaj zbyt późno.

Kiedy wybiegłam z domu, babcia wciąż się uśmiechała. Myślała już o tym, którą z gospodyń wynajmie do pomocy przy urządzeniu weselnego przyjęcia.

Mimo podekscytowania obudzeniem się Ani z narkozy i tym, co miałam nadzieję od niej usłyszeć, uświadamiałam sobie, że po raz pierwszy jestem z Filipem w Białej Podlaskiej. Może wreszcie zaprosi mnie do siebie?

Często bywałam w tym mieście na zakupach, czasem u ciotki Bronki lub u lekarza.

Przypomniałam sobie nie-

94

fortunną wymówkę, jakiej użyłam, chcąc wyrwać się do piszcząca. Powiedziałam babci, że jadę do ginekologa. Zapomniałam, że według niej kobieta odwiedza tego specjalistę tylko wtedy, gdy jest w ciąży. Nic dziwnego, że zainteresowała się, co robię, gdy tak często i na długo znikam w lesie! Zaczęła mnie śledzić i w końcu jej się udało. Ale w ciąży nie jestem! A o tym tropieniu Ireny po całym mieście, co też silnie mi się z Białą kojarzy, nie wspomniałam Filipowi ani słowa. Uznałby to za dziecinadę. Sama przed sobą się wstydziłam.

Prowadził auto szybko i pewnie. Jak zwykle nie włączył radia, bo muzyka w samochodzie go drażniła. A ja lubiłam słuchać Zetki, gdy wiatr rozwiewał nasze włosy, wpadając przez uchylone szyby.

Zjechał z obwodnicy i za chwilę znaleźliśmy się przed szpitalem. Budowlę w surowym, socrealistycznym stylu oddzielał od ulicy ładnie utrzymany skwerek. Ścieżka ułożona z płytek i obramowana rabatkami z niskich, kwitnących obficie petunii wiodła pomiędzy dwoma długimi trawnikami.

Ania leżała na intensywnej terapii. Filip przywitał się i natychmiast ulotnił pod pretekstem, że musi zapalić. Robił to bardzo rzadko, bo nie znoszę dymu z papierosów, nawet markowych. Podejrzywałam, że w domu daje upust swemu nałogowi, gdyż często przyjeżdżał przesiąknięty dymem. Tym razem najwyraźniej po prostu uciekał. Nie dbałam jednak o to. Ania chciała zobaczyć się ze mną, jego nie zatrzymywała.

Zal było patrzeć na tę dziewczynę, której do niedawna zazdrościłam smukłej, zwinnej sylwetki. Leżała teraz w zastygłej masie gipsu, z którego wystawała tylko głó-

95

wa, unieruchomiona ortopedycznym kołnierzem. Lewa ręka była wolna. Ania wyciągnęła ją do mnie w geście powitania i tak już trzymała. Jej czoło szpecił nabiegły krwią siniak w kształcie końskiego kopyta. Uśmiechem zatuszowałam wrażenie, jakie zrobił na mnie ten widok.

- Zabawiam się zgadywaniem, ile mam połamanych kości - starała się rozładować atmosferę. - Doktor obiecał, że jutro mi powie. Najwyraźniej sam nie umie policzyć.

Podziwiam tę dziewczynę. Wszystko ją boli, a mimo to myśli o mnie. Nie chce, żebym

się martwiła. Ją niełatwo pokonać. Ten, kto próbował, powinien to zrozumieć. Wciąż przecież żyje...

Nagle Ania spowaźniała.

- Pewnie zastanawiasz się, po co chciałam się z tobą widzieć?

Chociaż niecierpliwość paliła mnie żywym ogniem, podsycanym przez całą drogę do szpitala, starałam się nie pokazać tego po sobie.

- Może chodziło ci o kwiaty? - dostroiłam się do jej wcześniejszego żartobliwego tonu. Skinieniem głowy wskazałam na okazały bukiet róż, zdobiący szafkę przy jej łóżku. Że też Filip o wszystkim pomyślał!

Zaśmiała się z trudem. Ból musiał jej mocno dokuczać.

- Coś ci powiem - zaczęła cicho. - Chodzi o siwka. O tę noc, kiedy zniknęła Lolita. O te otwarte drzwi i urwany sznurek.

Oczy Ani płonęły nawet wtedy, gdy skończyła opowiadać. Nie wiem, czy z gorączki, czy może znów poniosła ją fantazja, jak gdyby miała dopiero wszystko realizować

96

i jakby te plany nie zostały zdruzgotane wraz ze śmiercią Kukły. Teraz i ja zaczynałam wierzyć, że gdyby nie ten wypadek, jej marzenie by się spełniło. Ania pragnęła mieć własnego konia pod siodło, bo Kukła, choć najbardziej kochana, nie znosiła ugniatania delikatnego grzbietu i bębniących po jej bokach ludzkich nóg. Ale poza tym była niebrzydka i prawidłowo zbudowana, w typie konia małopolskiego, nieco cięższego od araba. Ania kochała przede wszystkim czystą krew, ale miała świadomość, że przez najbliższych kilka lat pozostanie uzależniona finansowo od rodziców. A ich nie stać ani na utrzymanie kosztownego i wymagającego wierzchowca, ani nawet na pokrycie własnej klaczy dobrym reproduktorem, żeby otrzymać podrasowaną krzyżówkę - pod siodło i do pługa. Może i córka Borków była trochę dziecinna, ale postanowiła, że sama się tym zajmie. Na ojca źrebaka wybrała ulubionego siwka z sąsiedztwa.

Wstydziła się prosić Wujka o przysługę i uciekła się do podstęp.

- Jak to zrobiłaś? - zacięły mnie szczegóły. Chyba nie zamierzała wykraść Wujkowi ogiera i ukrywać go przez kilka tygodni?!

- Prowadzałam Kukłę do siwego. W nocy. Udawałam, że idę posiedzieć u niej w stajni. Rodzice wierzyli, bo od małego miałam hopla na punkcie koni. Pierwszy raz przyszłam parę tygodni przed zniknięciem Lolity. Nie udało mi się nawet zbliżyć do zagrody, tak się bałam, że ktoś mnie zobaczy albo usłyszy rzenie i się zainteresuje. Na przykład mój ojciec.

Ania przez chwilę odpoczywała. Łatwo się męczyła.

- Wróciłam dwie noce później. Było wtedy bardzo

97

ciemno. Wprowadziłam klacz przez bramkę, którą starannie za sobą zamknęłam. Przywiązałam Kukłę do ogrodzenia i wypuściłam ogiera ze stajni. Bałam się, że nie uda mi się go zachęcić do skoku albo że ona będzie kopać i go okaleczy. W końcu jest od niego potężniejsza. Ale wszystko poszło lepiej, niż się spodziewałam. Jednak nie miałam pewności, z jakim skutkiem. Nie mogłam jej zaprowadzić na USG, bo wszystko by się wydało.

- Ośmielona powodzeniem, postanowiłaś spróbować na wszelki wypadek jeszcze raz - domyśliłam się bez trudu.

- Okazja sama pchała mi się w ręce. Rodzice pojechali na chrzciny kuzyna w Góry Świętokrzyskie, w dodatku padał deszcz i zacierał ślady.

- W taką ulewę wyszłaś w nocy z koniem?!

- No, tak strasznie to znowu nie lało, z przerwami. A noc nie była aż taka ciemna.

- To wtedy zniknęła Lolita?

- Nie, ukradli ją, kiedy zakradłam się po raz trzeci. Prawie mi się udało, ale burza rozszała się na dobre i popsuła mi szyki. Piorun uderzył w dom dla letników i rozszedł się po antenie.

No tak, dzięki temu nie siedzieliśmy z Filipem przed telewizorem następnej nocy.

- Kukła się spłoszyła. Wspięła się na tylne nogi, przeraźliwie kwicząc, jak to ona. Byłam pewna, że słyhać ją w całych Kostomłotach. Spanikowałam. Ktoś mógł odkryć moją obecność, w najgorszym wypadku sam właściciel. Pomyślałby, że coś kradnę - taki wstyd! A klacz, jak na złość, szarpała się na sznurku, aż go zerwała. Oba konie zaczęły biegać wokół padoku. Błyskało raz za ra-

98
zem, ledwie widziałam, bo deszcz zalewał mi oczy. Rozłożyłam ramiona i starałam się uspokoić zwierzęta, ale nie zwracały na mnie uwagi. Ogier próbował mnie kopnąć za każdym razem, gdy się do niego zbliżałam. Przestraszyłam się, że w końcu mi się dostanie.

- Schowałaś się więc w stajni i czekałaś, aż przestaną galopować - podpowiedziała mi wyobraźnia.

- No właśnie. - Ania wykonała gest, jakby chciała kiwnąć głową, co jej się oczywiście nie udało. Tylko skrzywiła się boleśnie. - Wtedy złapałam Kukłę za resztę sznurka i wyprowadziłam. Starannie zamknęłam za sobą bramkę, choć klacz kręciła się i usiłowała odwrócić na tyle, by dosięgnąć mnie tylnymi kopytami. Modliłam się, żeby zaciągnąć ją bezpiecznie do domu. Jakoś poszła. Miałam później wrócić, żeby zamknąć ogiera w stajni i zabrać sznurek, ale grzmiało tak strasznie, że bałam się wyjść. Zresztą rodzice przyjechali - mój brat cioteczny odwiózł ich samochodem - i zastałam matkę z zapaloną gromnicą w ręku. Wiesz, żeby chronić nas od uderzeń piorunów i tak dalej. A skakać przez okno nie miałam ochoty. W końcu usnęłam ze zmęczenia i ocknęłam się dopiero, gdy przyjechał Wujek. Byłam pewna, że wszystkiego się domyślił. Zamierzałam go unikać tak długo, jak się da.

- Ale odwiedził was, pytając o klacz, i zorientowałaś się, że wcale ciebie nie podejrzewa.

- Znów zgadłaś.

Coś mi tu jeszcze nie pasowało.

- A odciski palców? Zbyszek twierdzi, że poliqa żadnych nie znalazła na tym kawałku sznurka, który został na płocie...

99

- Bo włożyłam nowe rękawice, żeby sobie rąk nie po-obcierać. Takie robocze, do malowania.

Jeżeli wszystko przebiegało tak, jak to przedstawiła Ania - a nie podejrzewałam jej o kłamstwo - to ona nie ma nic wspólnego z kradzieżą Lolity. Może jednak coś zauważyła i za to pokutuje na szpitalnym łóżku?

- Nawet nie miałam pojęcia, że coś się dzieje. Nie słuchałam odgłosów z pastwiska klaczy. Chciałam jak najszybciej wrócić do domu.

- Może złodziej zakradł się później, po tobie. O której tam byłaś?

- Dokładnie nie pamiętam, ale raczej przed północą.

Zanotowałam to sobie w pamięci, chociaż na razie niczego nie wyjaśniało. I jeszcze to niedoszłe morderstwo! To był wyreżyserowany z zimną krwią spektakl, a nie zwykły wypadek. Zaraz, a może wtedy w lesie Ania wcale nie uciekała przed kimś, kto już wcześniej jej groził, tylko po prostu tam wszystko się zaczęło? Może zobaczyła coś, czego nie powinna była zauważyć, i stąd ta zemsta? Albo przypadkiem stała się świadkiem rozmowy? Żeby się nie wygadała, ktoś postanowił się jej pozbyć. Ktoś, kto bardzo dobrze zna się na koniach. Świrus mieszka najbliżej, ale nonsensem jest go

oskarżać. Nie potrafię wyobrazić sobie motywacji, którą mógłby się kierować. Co on może ukrywać przed ludźmi? Chyba tylko swoją wrażliwość.

Podzieliłam się z Anią wynikami badań laboratoryjnych, które potwierdziły diagnozę Filipa. Nie sądziła, by ktoś umyślnie podał klaczy izobutrazyn.

- Dlaczego tak myślisz? - nie ukrywałam zaskoczenia.

- Sama ją pewnie tym nakarmiłam - przyznała nie-

100

chętnie. - Kupiłam go sobie, bo cierpię na chorobę loko-rriocyjną. W tej samej szafce trzymam witaminy i prepa-raty dla ciężarnych klaczy. Tabletki wyglądają podobnie. Musiałam się pomylić.

Nie przekonała mnie. Za dobrze pamiętałam scenę w lesie.

- W takim razie powiedz mi, co cię tak wystraszyło wtedy w lasku Świrusa.

Przebiegłaś obok samochodu Filipa i nawet nas nie zauważyłaś. To zdarzyło się w przeddzień wypadku i nie wmówisz mi, że tak pędziłaś, bo o tej porze zaczyna się twój ulubiony serial.

- Och, to. - Ania usiłowała się roześmiać, ale wszystko ją bolało, więc wypadło to niezbyt przekonująco.

- Czekam. - Nie zamierzałam jej pobłażać nawet w tych warunkach. Dla jej własnego dobra. Kiedy się dowiem, co tu się dzieje, wspólnymi siłami może zdołamy zapobiec kolejnym próbom pozbawienia jej życia. Podejrzywałam, że to dopiero początek.

- Pszczoły - wydusiła wreszcie. - Szukałam grzybów i trafiłam na dziką barć w sośnie. Chyba je niechcący rozdrażniłam, bo zaczęły podejrzanie koło mnie krążyć. Rzuciłam koszyk i uciekłam. A was nie zaatakowały?

Starannie ukryłam rozczarowanie. Pszczoły? A ja miałam nadzieję, że coś, co naprowadzi mnie na trop Lolity...

- Nie widziałam tam żadnych pszczół - odparłam zniechęcona.

Rozdział dziesiąty

Filipa znalazłam w szatni na dole. Nie palił. Powtórzyłam mu naszą rozmowę.

Wspólnie łatwiej wyciągnąć wnioski.

- Jedno jest pewne - oznajmiłam, wsiadając do samochodu. Prosto ze szpitala wybieraliśmy się do Wujka. Ania opowiedziała mi całą tę historię, abym ją przed nim wytłumaczyła. Sama nie śmiała spojrzeć Wujkowi w oczy, a gryzły ją wyrzuty sumienia. - Przynajmniej jedna osoba oczyściła się z podejrzeń. Bo przyznam ci się, że ostatnio skłonna byłam uznać jej skrytość za przebiegłość. Teraz wiem, że tajemniczy sznurek i wypuszczenie ogiera ze stajni nie mają nic wspólnego z zaginięciem klaczy.

- Nie wiem tylko, czy całkowicie się oczyściła z tych podejrzeń - dodał Filip tonem wcale nie optymistycznym. - Mnie się zdaje, że w tym lesie były nie tylko pszczoły.

Słyszałem tupot więcej niż jednej pary nóg.

Znów przypomniał mi się nieszczęsny Chińczyk. Spróbowałam zmienić temat.

- Swoją drogą to niepojęte, co koń może zrobić z człowiekiem - zaczęłam filozoficznie.

- Nie koń, tylko człowiek. To on zawinił.

102

Głos Filipa stał się wręcz nieprzyjemny. Usłyszałam y/ nim hamowany wybuch gniewu. Żółć i nerwy. Sam Filip wydawał się jakiś roztrzęsiony, jak wtedy, gdy ukradziono Lolitę. Tamtego dnia także jechaliśmy razem do Wujka i Filip tak samo postukiwał opuszkami palców o krawędź kierownicy. A ja tak samo nie mogłam oderwać oczu od jego dłoni.

W takich chwilach czuję, że wcale go nie znam. Milczałam, nie mając pojęcia, co odpowiedzieć. Zauważył tę przydługą ciszę i skrzywił się, przedrzeźniając moją minę

załęcznionego dziecka.

- Wąsy do góry, kołeczku. W domu czeka na ciebie spodeczek pysznej śmietanki.
- Od śmietanki utyję i mnie rzucisz - odrzekłam, naśladując z kolei jego wesołkowaty ton.

- A nieprawda, bo i tak będę cię kochał. I co ty na to?

Nadarzała się okazja, aby zejść na temat naszej wspólnej przyszłości. Zaczęłam bawić się moim złotym pierścieniem, obracając go w ten sposób, że oczko znalazło się po wewnętrznej stronie dłoni. Gdy zacisnęłam pięść, wyglądał jak obrączka.

- A czy ty wiesz, panie weterynarzu, jak kosztowne jest utrzymanie takiego arystokratycznego zwierzaka? Kot musi mieć ogień na kominku, żeby w jego blasku pięknie lśniły kocie oczy, ulubioną kanapę... No i ukochanego pana na własność, bo koty są bardzo zaborcze, mój drogi, i nieszczęśliwe, kiedy się je zostawia na długo same...

Wyraźniej już nie potrafiłam dać mu tego do zrozumienia. W lot pojął, o co chodzi, ale sprytnie wybrnął z zastawionej na siebie pułapki.

103

- Uroczycie obiecuję, że od dziś zacznę pilnie edukować się w kierunku kocich potrzeb. - Wzniósł w górę dwa palce złożone jak do przysięgi, po czym musnął moje odsłonięte ramię. - Na razie wiem tylko, że one bardzo lubią głaskanie.

Babcia miała rację, że on chce mnie jedynie wykorzystać. Nie pomyliła się przecież co do Pawła. Zawsze powtarzała, że to chłopak nie dla mnie, że poleci za pierwszą lepszą spódniczką, gdy przyjdzie mu na to ochota, zupełnie jak wiele razy robił to jego ojciec. No i doczekałam się. Rzucił mnie bez słowa wyjaśnienia. Bolało, ale było nawet trochę romantyczne, dopóki Edyta nie natknęła się przypadkiem na tę tajemniczą nieznajomą, gdy pracowała w wakacje jako kelnerka w najelegantszej białskiej restauracji. Zamówili w rogu stół dla dwojga. Okazało się, że Paweł zostawił mnie dla trzydziestoletniej baby przy kości o prezencji nuworyszki. Podobno pod ciężarem biżuterii, którą była obwieszona, ugięła się jak bożonarodzeniowe drzewko, przystrojone hojną ręką Cinki. A on bawił się drogim zegarkiem, który od niej dostał. Paweł w eleganckiej restauracji! Gdyby nie powiedziała mi o tym najlepsza przyjaciółka, nie uwierzyłabym. Ze mną nie chciał pójść nawet do kina, a ja nie nalegałam, bo nie opływał w gotówkę. Ale żeby w ten sposób? Zwyczajnie go kupiła. Im dłużej rozmyślałam o Filipie, tym dziwniejsze wnioski lęgną się w mojej zbolejącej głowie. Babcia nie rozgłosiła jeszcze wieści o tym, jaka to wspaniała partia trafiła się jej wnuczce, będącej dotąd obiektem powszechnego współczucia, wyłącznie dlatego, ażeby owej partii

104

przypadkiem nie zapeszyć. No i nie chciała uprzedzać faktów - w końcu nikt się tu nikomu jeszcze nie oświadczył- Babcia pocieszała się, że już niedługo z nawiązką odbije sobie tę przymusową dyskreję. Przecież to nie może długo potrwać.

Tymczasem obchodziła się ze mną iak z trafionym kuponem totolotka, który wkrótce zostanie zrealizowany.

Nie uważałam za stosowne wyprowadzać jej z błędu. Co prawda nie spieszyło mi się do zmiany stanu cywilnego, ale miło byłoby wiedzieć, że ukochany mężczyzna jest pewien swoich uczuć do tego stopnia, aby zaproponować małżeństwo. W końcu znamy się już rok, choć tak rzadko się spotykamy. Może w Białej też zwodzi jakąś dziewczynę i stąd ta tajemnica wokół naszego związku? Ja kryłam się z tym dlatego, że nauczyło mnie tak postępować to całe gadanie o mnie i Pawle. No i trochę w obawie, jak zareagują dziadkowie. A on? Czyżby tak bardzo przejmował się opinią paru miejscowych plotkarek? Nie chce mi się w to wierzyć. Raczej ma tam u siebie narzeczoną, może nawet z nią mieszka, i nie chce, aby się o mnie dowiedziała. Dlatego

nie zaprasza mnie do siebie. Nagle wydało mi się to zupełnie oczywiste. To znaczy mojemu analitycznemu umysłowi, ale nie sercu, które za wszelką cenę starało się nie dopuścić takiej możliwości. Wszystko, tylko nie kolejna „ta druga”...

A może jestem mu potrzebna jako przykrywka dla jakichś niecznych celów? Uczępiłam się tej myśli ze wszystkich sił. Bo kiedy go poznałam, długo nie jeździł konno. Ostatni raz siedział w siodle jeszcze za czasów technikum hodowli koni, gdy przyjeżdżał do Wujka na lato. Na studiach jeździectwo wywietrzało mu z głowy. Fakt,

105

że z Lublina miał do Kostomłotów kawał drogi, a pierwszą pracę dostał w Białej Podlaskiej i pewnie niezbyt mu się chciało specjalnie dojeżdżać, ale do innych ośrodków też nie zaglądał. Gdy zaczynaliśmy u Wujka, trzymał się w siodle prawie tak marnie jak ja, nowicjuszka, bo wiele rzeczy zdążył zapomnieć.

No właśnie, poznał mnie i raptem zaczął przesiadywać po pracy w ośrodku. Niby ze względu na mnie, bo bardzo chciałam nauczyć się jeździć konno. A później zginęła najlepsza klacz Wujka. Za tym coś się musi kryć! Zaraz, przecież Wujek miał mu przekazać gospodarstwo już w tym roku. W ostatniej chwili się rozmyślił. Sam mówił. Może Filip już coś komuś obiecał, wszedł w jakieś umowy? Zabrnął tak daleko, że nie mógł (bo nie wierzę, że nie chciał!) się wycofać. A Kukła... To też on?! Wyjaśnił, jak to z nią było, jeszcze przed wynikami analiz, bo i tak badania w Białej by to wykazały, nie robił ich sam. A wtedy podejrzenia padłyby na niego. Jako weterynarz najlepiej zna się na działaniu różnych specyfików. To dlatego po raz pierwszy poświęcił mi sobotę. A ja myślałam, że robi to dla mnie! Teraz ma wyrzuty sumienia i dlatego tak się denerwował w szpitalu. Może Anię też wykorzystał do swoich interesów, tylko boi się przyznać? Sam napuścił na nią w lesie Chińczyka, który wcale nie był martwy, gdy go wcześniej oglądałam. Nie dogonił jej na tych swoich krótkich nogach, w końcu ona zdobywa nagrody w szkolnych zawodach lekkoatletycznych. Wobec tego załatwili ją inaczej. Od pewnego czasu rzeczywiście była trochę nieswoja, jeszcze bardziej niż zwykle zamknięta w sobie. Jakby wciąż się czegoś obawiała. To więcej niż jej wrodzona nieśmiałość. Strach

106

przed Filipem? Zmuszał ją do czegoś albo niechcący o czymś się dowiedziała. Szkoda, że nie chce mi powiedzieć.

A ten Chińczyk, który mu pomaga... Ciekawe, skąd go wytrzasnął? Przecież Filip od razu uwierzył, że go widziałam. I potem, gdy żadnego ciała nie znaleźliśmy, on jeden we mnie nie zwątpił. A ja sądziłam, że to z miłości! Potem u Borków, gdy za nim pobiegł, też podejrzenie szybko wrócił. Wcale nie chciał go złapać!

Ten, komu najbardziej ufałam, okazał się najmniej tego godny. Pomyśleć, że dzieliłam się z nim wszystkimi przemyśleniami, planami i zdradzałam każde swoje posunięcie. Już nie będę tak naiwna, o nie. Ale największą głupotą byłoby teraz przyznać się, że go rozszyfrowałam. Udając, że niczego się nie domyślam, podstępem zyskam więcej niż w otwartej walce. Kto wie, do czego by się wtedy posunął? Może zagryzłby mnie mój własny pies? A może on i tak do tego zmierza?! Przecież to właśnie Filip zaproponował imię dla Kilera.

Popatrzyłam na psa, zwiniętego w kłębek obok krzesła, na którym siedziałam. Ciepły łeb dotykał moich stóp. Bokser pochrapywał przez sen. Kukła też chrapała z zadowolenia, gdy Ania kciukami gładziła wewnątrz jej uszu. To znaczy, tak nazywałyśmy jej parskanie.

Psisko ziewnęło, ukazując wewnątrz ogromnej paszczę-ki, uzbrojonej w ostre zęby rasy używanej dawniej do szczucia byków. Tyle razy zagłębiałam w niej pięść, gdy udawaliśmy walkę na śmierć i życie. Wyobraziłam sobie, że nagle rzuca się na mnie na serio, a drzwi od pokoju nie dają się otworzyć.

Chociaż Kiler wciąż ogrzewał moje stopy, zrobiło mi

107

się zimno jak wtedy gdy zobaczyłam za stogiem twarz Chińczyka...

Pilnowanie Cinki było dla mnie wygodne, bo pozwalało unikać Filipa bez wzbudzania podejrzeń. Nie chciałam go widywać nawet nie dlatego, że się go bałam. To raczej niechęć i ból. Do tej pory wierzyłam, że wreszcie spotkałam prawdziwą miłość. Uczucie do niego pojawiło się nagle w chwili totalnego zwątpienia. Po tym, jak zawiodłam się na Pawle, nie wierzyłam, że jeszcze mogę się kimś zainteresować. Wtedy zjawiał się Filip. Spodobał mi się obłudnie i niewytłumaczalnie. Na próżno przekonywałam siebie, że on nigdy nie zwróci na mnie uwagi. Wywalczyłam zgodę na psa, z którym trzeba było chodzić do weterynarza. A potem Filip zaproponował naukę jazdy konnej. Bez wyrzutów sumienia urywałam się na wagary i pędziłam do Kostomłotów, żeby tylko być bliżej niego. Z każdym spotkaniem odkrywałam w Filipie nowe zalety. Był poważniejszy od moich rówieśników. Wierzył w moje możliwości jak nikt i zachęcał do rozwijania zainteresowań. Ufał mi - zupełnie inaczej niż Paweł. Nie był małostkowy ani zazdrosny o kolegów ze szkoły. Nic dziwnego, przecież wcale mu na mnie nie zależało!

Przy Cince próbowałam zapomnieć o swoich kłopotach. Nie pomagała w tym jej rodząca się pod moim wpływem pasja jeździecka. Kiedy Maciek wracał wieczorem z pastwiska, trzeba było ją na niego wsadzać i oprowadzać po podwórku. Czułam się w takich chwilach bardzo stara. A przecież nie tak dawno sama w ten sposób zaczynałam. Równie przejęta dosiadałam Kasztana...

108

Z poprzednim koniem dziadków wiąże się rodzinna anegdota o chłopcu, który spędzał wakacje w pobliskich Neplach i codziennie przyjeżdżał do niego na rowerze. Babcia widziała parę razy jak karmi czymś konia i długo przy nim stoi. Głaskał go i z nim rozmawiał. Podeszła raz cicho, żeby chłopca nie spłoszyć, jeśli okaże się nieśmiały, i zagadnęła. Przedstawił się grzecznie i zapytał, czy może nadal odwiedzać swego przyjaciela.

- Ale dlaczego akurat jego? - zdziwiła się babcia. - Dalej pasą się konie sąsiadów, niektóre na pewno ładniejsze.

- Przypomina mi Karino - zaczerwienił się chłopiec. - Ma takie same oczy.

To były czasy serialu o dzielnym rumaku i jego opiekunach. Jako mała dziewczynka marzyłam, żeby spotkać tego chłopczyka. Niestety, więcej się nie pojawił.

Aż do czasu, gdy wezwaliśmy pomoc do chorego Maćka. Zamiast miejscowego specjalisty odwiedził nas praktykant. Kiedy odjechał, babcia powiedziała:

- Głowy sobie nie dam uciąć, ale to chyba ten chłopak, który przychodził do Kasztana. Dlatego gdy pierwszy raz odwiedziłam jego lecznicę, zwróciłam uwagę na kalendarz ścienny. Ogromna fotografia przedstawiała roześmianą długowłosą blondynkę. Galopowała na niesiodłanym koniu barwy ognia. I ten koń miał na głowie szeroką strzałkę, zupełnie jak nasz.

Gdy poznaliśmy się z Filipem trochę lepiej, spytałam, czy to rzeczywiście był on.

Potwierdził. A potem opowiedział mi o swoich marzeniach. Od dziecka chciał pracować z końmi, ale na studiach zmienił plany.

- Zrozumiałem, że specjalizowanie się w tym kierun-

109

ku nie ma sensu. W naszym kraju tylko nielicznym udaje się utrzymać z leczenia koni. Na ogół trzeba przy tym zamieszkać w stadninie.

Widocznie coś mu w tym przeszkodziło. Ciekawe co? Przecież mógł przeprowadzić się do Wujka. Umówiliśmy się wtedy na przejażdżkę, potem drugą i trzecią...

Trudno uwierzyć po tym wszystkim, że chciał mnie tylko wykorzystać. Nie, on mnie

kocha. I - jakie to banalne, a jednocześnie prawdziwe - ja bez niego nie mogę żyć. Moje podejrzenia to skutek wybujałej wyobraźni i nerwów, nadwątłych ostatnimi wypadkami. Tak jak histeria na widok zmartwychwstałego Chińczyka. Faktycznie, to był szok, ale przecież ja nigdy dotąd nie wykazywałam takich skłonności.

Będę ostrożna, owszem, bo może ktoś zmusił Filipa do kradzieży konia. Nie wiem, gdzie wtedy spędził noc. Do tej pory uważałam za oczywiste, że we własnym mieszkaniu, lecz kto wie? Może ktoś go szantażuje? Albo ma długi?

A jeśli zagraża mu niebezpieczeństwo? Nic dziwnego, że nie pali się do planowania przyszłości! I - najważniejsze - to ten ktoś próbował zabić Anię! Filipa tak to zbulwersowało, że nie mógł znaleźć sobie miejsca. Odetchnęłam z ulgą. Znow mogłam myśleć o nim jak o mężczyźnie, którego znam i Kocham za wszystkie jego wady i zalety.

Udowodnię mu, że może mi zaufać, i skłonię go do szczerości. Musimy sobie wierzyć. Właśnie! Dopadły mnie wyrzuty sumienia. Jak mogłam posądzić go o cynizm?

Powinam być teraz przy nim i podnosić go na

110

duchu, bez względu na to, w co się wplątał. A ja ostatnio nie chcę się nawet z nim widywać.

- Trzeba to nadrobić - zwierzyłam się Kilerowi i poszłam zadzwonić. Dopóki będziemy razem, Filipowi nie może przydarzyć się nic złego.

Zanim odebrał, zgadywałam, gdzie zastanie go mój telefon. Był wczesny wieczór. Wyobraziłam go sobie w czyjejs oborze, zajętego pacjentem, na przykład okulawioną krową. Skupionego tak, jakby nie istniał dla niego nikt inny. W pracy z pewnością właśnie tak się czuje. I nagle komórka zaczęła mu wibrować i dzwonić w prawej kieszeni spodni, zawsze ją tam nosi. Odbierze, zastanawiając się, dokąd skieruje go następne wezwanie...

- Tak, słucham.

Zdyszany jak po długim biegu. Co on, u licha, robi? Znow łapie prosiaki? Opowiadał mi kiedyś, jak przyjechał do jakiegoś gospodarstwa na szczepienie. Zwierzęta chodziły luzem po ogromnym podwórzu, a gospodarz był stary i w dodatku najwyraźniej w świecie kulawy. Filip w całej swojej praktyce zawodowej nie spociał się tak, jak podczas godzinowego uganiania się za energicznymi wieprzkami, zanim wpędził je do zagrody. Może teraz ma ten sam problem z bykami? Tylko kto tu kogo goni, trzeba by się zastanowić.

- Słuchaj, mam propozycję... - zaczęłam nieśmiało. -Co byś powiedział na konną przejażdżkę? Na przykład tą samą trasą, której nie udało nam się zrealizować w sobotę?

- Jutro?

- Tak.

111

- Sądzę, że da się załatwić.

Jego głos zabrzmiał dosyć oficjalnie. Pewnie jest trochę urażony po moich ostatnich odmowach. To nic, rozchmurzy się, myśląc o jutrze.

Marzyłam o nim, kładąc się spać. Choć deszcz spływał po rynnie, miałam nadzieję, że w Kostomłotach nie pada. A przynajmniej, że jutro będzie sucho. Nie przypuszczałam nawet, jakie konsekwencje pociągnie za sobą ta wyprawa nad rzekę.

Rozdział jedenasty

Jak dobrze jest znow jechać konno przez las, cały lśniący od rosy. Czuć pod sobą tę kochaną, wielką Plastykę o wspaniałym, tłustym karku. Wujek nie żałuje koniom paszy, a w tym roku nie pracują za wiele, ponieważ deszczowe lato odstrasza chętnych do jazdy.

Tak daleko jest z jej grzbietu do ziemi. Klacz idzie grzecznie, chociaż jest żywa i byle co ją płoszy. Uwielbia galopować. Biegnie wtedy tak równo, łatwo daje sobą powodować, tak stara się dobrze mnie zrozumieć. W kłusie także jest bardzo wygodna, ale dzisiaj możemy pozwolić sobie jedynie na spokojny stęp. Na ścieżkach zrobiło się straszliwe błoto po burzy, która szalała przez pół nocy.

Filip zaproponował zmianę trasy. Mielśmy pojechać wzdłuż rzeki do polany Świrusa i wrócić środkiem lasu, lecz Wujek był tam rano. Podobno od uderzenia pioruna zwałił się w poprzek drogi gruby konar i trudno przeprowadzić tamtędy konie.

Skierowaliśmy się więc w przeciwną stronę, w kierunku opuszczonej stodoły Borków. Teren był tu bardziej grząski niż na tamtej piaszczystej

113

ścieżce. Doświadczona Plastyka ostrożnie stawiała nogi i z dołu dobiegały moich uszu regularne plaśnięcia jej kopyt. Berberys, którego rzadziej zabierano na przejażdżki w teren, buntował się i miotał pod Filipem, starając się wyprzedzić towarzyszkę. Co chwila potykał się na wystających korzeniach drzew albo ślizgał na mokrej leśnej ściółce, co denerwowało go jeszcze bardziej.

- Berek, ty kozi synu! - wyklinał go Filip. - Wściekłeś się czy co?! Może lepiej zawróćmy na ścierniska?

Domyślając się, że ostatnia kwestia skierowana jest raczej do mnie niż do wierzchowca, poprosiłam:

- Jeszcze kawaleczek, misiu. Tylko do tych drzew.

Przed nami rozciągał się stary przydomowy sad. Zdżiczał, ale wiosną drzewa były całe w kwiatkach. Teraz powinniśmy znaleźć na nich mnóstwo owoców.

Ostrożnie ominęliśmy resztki fundamentu małego domku i stos nadwęglonych desek. Chatka babci Borko-wej po jej śmierci posłużyła za opał do kaflowych pieców, którymi rodzice Ani ogrzewali zimą mieszkanie. Pod siekierę poszły także walące się kurniki. Nie rozebrano jedynie przestronnej stodoły. Mogła się jeszcze przydać. O, nawet ktoś załatał prześwity między deskami. Ciekawe, czy coś w niej trzymają? Kusilo mnie, żeby zajrzeć, lecz nie chciało mi się złazić z Plastyki. Zresztą po co? Kiedy Wujek szukał Lolity otwierał wrota. Klepisko i wiązka słomy, tak powiedział. Wątpię, by coś się od tej pory zmieniło.

Wiśni niestety nie znalazłam. Ani papierówek i pysznych jabłek z czerwonym rumieńcem. Pewnie Borkowa zrobiła z nich przetwory, że też wcześniej o tym nie pomyślałam! No tak, ale z niedojrzałych jabłek też?

114

Chwasty wokół pni drzew były połamane, a trawa wygnieciona. Ktoś często tutaj bywał. Zaintrygowało mnie to nawet, bo wizja matki Ani wspinającej się na drzewa wydawała się mało wiarygodna. A że ktoś skakał po gałęziach, żeby osiągnąć wysoko rosnących owoców, widać wyraźnie. Na dole w błocie pozostawił ślady drobnych bosych stóp. Dzieciaki ze wsi tu grasowały, one wszystko zwęszą. A już robiłam sobie nadzieję, że do czegoś dojdę. Za dużo myślę o tej sprawie z Lolitą.

Dziwiło mnie wprawdzie, że w dwudziestym pierwszym wieku dzieciaki nadal biegają na bosaka, ale przecież Cinka po ciepłym deszczu też skakała bez butów po kałużach.

- Wracajmy - zwróciłam się do Filipa. Komary dawały się we znaki i konie niecierpliwily się staniem w chaszczach. - Jakoś nie chce mi się jeździć po tych ugorach, które nazywasz ścierniskiem. Ostatnio Plastyka zapadła mi się tam jedną nogą w krecią jamę. Omal nie upadła.

- To pojedźmy wzdłuż rzeki do polany Świrusa, jak zamierzaliśmy. Tylko wrócimy tą samą trasą, a nie przez las. Pasuje ci, myszko?

- Może spotkamy Świrusa? - ożywiłam się. - Ciekawe, jak tam noga Żabci?

Na tej polance po raz pierwszy zmaterializował się przed moimi oczyma. Wcześniej

znałam go jako legendę. Miejscowego głupka. Wstyd się przyznać, ale sama tak o nim myślałam. Zresztą każda wieś ma „głupiego Jasia”, a on ze swoim stylem życia najbardziej nadawał się do tej roli.

Wtedy wywarł na mnie niesamowite wrażenie. Wybraliśmy się z Filipem na jesienną przejażdżkę. Popołu-

115

dniowe światło było łagodne, cienie powoli mroczniały. Drzewa straciły już część liści i poprzez prześwity, które porobiły się w lesie, z daleka dojrzeliliśmy polankę Świru-sa. Bez słowa wstrzymaliśmy konie. Stały spokojnie, nawet nie parskały. A my chłonęliśmy widok przed nami, niczym chciwi podglądacze rodem z „Big Brothera”. Na polanie znajdowało się spore stado starych, zmęczonych koni. Były ubłocone, łby zwiesiły nad ziemią ale nie jadły zeschniętej trawy. Wyglądały za to tak, jakby słuchały. Bo Świrus do nich mówił. Zwracał się właściwie tylko do jednego: ogromnego białoczarnego srokacza, tuląc jego łeb do swojej piersi. Ale słuchały wszystkie. Nie wiem, co im opowiadał, nie zdołałam odróżnić słów. Pamiętałam za to ton jego głosu!... W taki sposób opowiada się dzieciom baśnie na dobranoc.

Świrus nas nie widział. Z pewnością byłoby mu strasznie głupio, gdyby odkrył naszą obecność. Nam zresztą też. Dlatego po chwili wycofaliśmy się bez hałasu w stronę leśnej gęstwiny. Długo nic do siebie nie mówiliśmy, a ja odruchowo przeczesywałam palcami grzywę Plastyki. Zupełnie jak teraz, pomyślałam, przyłapawszy się zniechęca na tej zakazanej czynności. Szybko chwyciłam wodze w obie ręce. Filip nie znosił, gdy trzymałam je w jednej. Krzyczał, że spadnę, kiedy koń się spłoszy. A dzisiaj Filip miał wyjątkowo dobry humor - zgodził się, abym jechała pierwsza. Nie chciałam mu go popsuć. Dosiadać prowadzącego konia to niemała przyjemność i okazja do wykazania się jeździeckimi umiejętnościami. A poza tym wszystko widzi się odrobinę wcześniej. Jechaliśmy ścieżką, która wiała się tuż nad brzegiem nieuregulowanej, meandrującej rzeki, miejscami podmy-

116

jym przez nurt i dość wysokim, innym razem opadającym łagodnie i tworzącym wygodny wodopój dla zwierząt, pierwsza to zobaczyłam.

- Co tam jest? Nie widzisz, Filip? Tam w zaroślach, na wodzie. Nie, bardziej w lewo, przy naszym brzegu.

- Stos zbutwiałych desek? - spróbował zgadnąć. Przesłonił oczy ręką, bo słońce świeciło prosto na nas.

Promienie światła odbijały się w szklach okularów, chociaż miały powłokę antyrefleksyjną. Może dlatego nie widział dobrze. Ja też nie mogłam jeszcze rozpoznać dziwnego przedmiotu, ale kupą desek to nie było na pewno.

- Krowa? - strzelał dalej.

Ale co by tu robiła krowa? Świrus bydła nie hodował, a podejrzana rzecz zajmowała wodopój, z którego korzystały jego konie.

- Może to któryś z koni Świrusa? Leży na brzegu i trawy go zasłaniają.

Zaniepokojona, popędziłam Plastykę wyciągniętym klusem. Wybijała osoka wciąż nie pozwalając na właściwe rozpoznanie znaleziska. Nagle klacz odmówiła posłuszeństwa. Kręcąc się pode mną, usiłowała zawrócić do domu.

- Co, u licha? - zgałam ją. Nigdy tak się nie zachowywała. Pchnęłam Plastykę bardziej zdecydowanie. Zarżała ze złością i stanęła dęba.

- Nic ci się nie stało?

Najpierw miałam przed oczyma wierzgające kopyta Plastyki i fragment ubłoconego popręgu od siodła, a te-

117

raz pochylała się nade mną zatroskana twarz Filipa. Wystraszył się bardziej ode mnie.

Choć to mnie zrzucił koń. Ostrożnie poruszyłam palcami rąk i nóg, pokręciłam szyją we wszystkie strony. Przyciągnęłam podbródek do piersi, sprawdzając, czy nie mam wstrząsu mózgu. PO czym energicznie się podniosłam.

- Jak widzisz, żyję - rzekłam z ulgą. - A gdzie Plastyka?

- Tam się pasie.

Nie uciekła daleko, zaledwie kilka metrów dzieliło ją od miejsca wypadku. Teraz stała spokojnie. Cofnęła się tylko do granicy, za którą nie czuła ohydny smrodu zalatującego od rzeki. To on sprawił, że po raz pierwszy tak się zbuntowała. Myśmy też poczuli tę woń. Nie miałam wątpliwości, skąd pochodzi.

- Filip, złap ją i poluzuj jej popręg, bo zaraz naje się trawy i jeszcze się rozchoruje - poprosiłam, rozcierając obolałe ramię, którym uderzyłam się o kamień. - Przywiąż konie do drzewa i chodźmy zobaczyć, co tam leży.

Gdyby to był koń, chyba nie tkwiłby tak długo bez ruchu. A jednak. Kiedy dotarliśmy do celu, naszym oczom ukazał się okropny widok. W wysokich trawach, utkwione między rozgałęzionymi korzeniami wierzb, przyniesione tam z nurtem rzeki i częściowo zanurzone w wodzie, leżały końskie zwłoki. Odór padliny prawi nas zabijał i musieliśmy zakrywać twarze rękoma, ab się przed nim bronić. Dzięki temu Filip nie zobaczył m~ ich leż.

Natychmiast zatelefonował do Wujka. Chociaż tkwiąca w wodzie masa była pozbawiona naturalnej barwy

118

i kształtu, żadne z nas nie wątpiło, że znaleźliśmy Lolitę. Hauczeni doświadczeniem, czekaliśmy przy szczątkach. Tym razem nic nie ma prawa zniknąć.

Ciekawe, kto zazdrościł byłemu dyrektorowi tak bardzo, że postanowił pozbawić go najlepszego konia? I to w taki sposób!

Postępujący rozkład wskazywał na to, że Lolita nie żyła mniej więcej od tamtej burzliwej nocy, kiedy zaginęła. Pastwisko, co prawda, sąsiadowało z rzeką - wyłączając wąski pas państwowej strefy przygranicznej -i do niedawna ogrodzenie w jednym miejscu było raczej symboliczne, dopóki Borek go nie naprawił. Trudno jednak było uwierzyć, że klacz zgłupiała od pioruna, skoczyła do wody i przypląnęła pod prąd aż tutaj, by utopić się przed zakrętem. Zwłaszcza że przechodziłam tędy później i nic nie dostrzegłam. Nawet zakładając, że ciało nie wynurzyło się wtedy jeszcze na powierzchnię, to przecież po mnie wiele razy był tu Wujek, Świrus często poił swoje konie, może Józio wybrał się na ryby (wprawdzie dawno już go nie widziałam, w sklepie wciąż zastępowała go żona), a Irena urządziła sobie konne przejażdżki... Ktoś z nich musiałby je zauważyć. Wniosek z tego nasuwał się jeden: do dzisiaj nie było ich widać! No tak, przecież wiązyły je dwa korzenie, które nieco wyżej łączyły się w gruby pień powalonej na bok wierzby.

Zaraz, zaraz... Coś mi tu nie pasuje, tylko jeszcze nie wiem, co... Ta wierzba! Rosła po drugiej stronie rzeki, tam, gdzie widać tę wyrwę w piachu. Korzeniami tkwiła częściowo w wodzie. Były masywne i przygniatały szczątki od góry. Dlatego trup nie mógł wypłynąć. Sy-

119

tuacja zmieniła się dopiero wtedy, gdy wczorajsza burza wywaliła całe drzewo.

A więc śmierć klaczy to ani wypadek bez udziału człowieka, ani utopienie z premedytacją! Ktoś usiłował przeprowadzić się z nią na Białoruś. Może dalej. Dość, że wybrał tę drogę. Wiedział, że u wschodnich sąsiadów nikt jej nie będzie szukać. Nie wziął pod uwagę, że sama przeprawa może mu się nie powieść. Jednak miał dosyć przytomności umysłu, aby w chwili niepowodzenia nie zapomnieć o środkach ostrożności. Zabezpieczył ciało przed wynurzeniem się na powierzchnię i...

Już nabierałam powietrza, żeby podzielić się z Filipem moimi przypuszczeniami, ale w

porę ugryzłam się w język. Tak ochoczo zgodził się, abym jechała pierwsza. To wcale nie musi o niczym świadczyć, jednak powinnam zachować ostrożność, dopóki nie dowiem się, kto naprawdę kryje się za uprowadzeniem Lolity.

Wujek przedarł się przez krzaki na skróty. Chciał do nas dotrzeć jak najszybciej.

- Jestem pewien, że to nie mój koń - powtarzał, zbliżając się do rzeki. - To nie może być Lolita!

Biedny Wujek nie potrafił jeszcze uwierzyć. Sama z trudem godziłam się z faktem, że nie znajdziemy już klaczy żywej. Dla niego oznaczało to również ruinę finansową. Nie widziałam zatem nic dziwnego w zacięciu, z jakim upierał się przy swoim zdaniu.

Nie zważając na odór, podszedł bliżej. Patykiem odgarnął oblepiające bezkształtną masę wodorosty. Chwilę przyglądał się uważnie, zwłaszcza szczątkom głowy. Zdrapał skórę powyżej chrap, odsłaniając kość nosową.

120

_ Miałem rację - triumfował. - To nie Lolita. Spójrzcie na profil.

Przybliżyliśmy się. Z trudem pokonałam obrzydzenie. Zaraz zemdleję od tego smrodu, pomyślałam, zerkając z zazdrością na Filipa, którego wykonywany zawód uodpornił na tego typu atrakcję.

Wujek się nie mylił. To zwierzę miało najwyraźniej profil garbonosy jak konie zimnokrwiste, które widywałam u Świrusa. Arabcy mają głowy o profilu wklęsłym, czyli szczupaczym, jak to Ania fachowo nazywa. •

- Trzeba zawołać Świrusa, może on rozpozna w nim któregoś ze swoich - zarządził Wujek i dodał, odwracając się do siostrzeńca: - Zaraz przyjedzie Zbyszek, zawiadomiłem go od razu po twoim telefonie.

Ledwie Filip zdążył przyprowadzić Świrusa, pojawił się na motocyklu policjant. Zgasił silnik i podszedł do Wujka.

- Pewnie zdechła mu któraś z tych starych szkap i wrzucił ją do rzeki. Łatwiej niż zakopać - bąknął na stronie.

Świrus tego na szczęście nie słyszał. Nie wiem, czy w ogóle docierało do niego coś z tego, co mówiliśmy przez następnych kilka minut. Ledwie zobaczył konia, ukląkł przy nim. Głaskał jego cuchnące zwłoki, zupełnie jakby mogły coś jeszcze poczuć. A potem się rozplakał.

- A więc to zwierzę stanowiło pańską własność? - zapytał sierżant służbowym tonem. Świrus już się uspokoił. Skrępowany, przeproszał za swoje impulsywne zachowanie, a ja, pomimo całej sym-

121

patii, jaką do niego żywiłam, doszłam do wniosku, że rozumiem ludzi, którzy uważają go za odmienca.

Wszyscy cofnęliśmy się, żeby nie czuć obrzydliwej woni. Chciałam pogłaskać Plastykę, ale odskoczyła ode mnie, rozdymając chrapy i błyskając oczami w nagłej panice. Wciąż czuła ode mnie ten nienawistny zapach, a odziedziczony po przodkach instynkt ostrzegał ją że gdzie jest padlina, tam można spodziewać się wilków.

- Mieszkał u mnie najdłużej i najbardziej go lubiłem - mówił Świrus. - 1 chyba był najstarszy. Zaginął jakiś miesiąc temu. Podejrzywałem, że w końcu zdechł, ale nie mogłem go znaleźć. Nigdy bym nie pomyślał, że tutaj...

- Rzeczywiście - zadrwił Zbyszek. - Dziwne, że nie zgłosił pan do nas tego zaginięcia.

- Nie brałem pod uwagę kradzieży - tłumaczył poszkodowany. - Ten koń stanowił pewną wartość jedynie dla mnie. Nawet rzeźnik niewiele by za niego zapłacił. Jak mówiłem, spodziewałem się raczej naturalnej śmierci. Zresztą, wie pan, jacy są ludzie. Gdybym poszedł na policję, zaraz połowa wsi uznałaby że to właśnie ich posądzam o kradzież. I tak nie jestem tutaj mile widziany. Po co mi nowe problemy? Jak się należy

jakaś grzywna, to ja zapłacę, ale proszę mi wierzyć, że nie wrzuciłem konia umyślnie do rzeki. Ja nie chcę z nikim wojować. I żeby mnie nikt nie wchodził w drogę.

- Ale przyzna pan, że to podejrzane - nie dawał za wygraną funkcjonariusz. - Jakim cudem zwierzę mogło przebywać tyle czasu w wodzie? Jak w ogóle się tam znalazło? Świrus był cierpliwy

- Nie wiem - odparł głosem zdradzającym, że m~

122

wienie o śmierci przyjaciela sprawia mu ból. - Przypuszczam, że koń przywędrował ze stadem do wodopoju, ale wszedł za daleko i znalazł się na głębinie. Bug to dzika rzeka, pełna wirów. Pewnie prąd zniósł go dalej i srokacz nie dał rady wydostać się na brzeg. Stracił siły i utopił się, a padając na dno, zaczepił o sterczący pod wodą korzeń. Burza powaliła drzewo i ciało wypłynęło. Inaczej nie umiem sobie tego wytłumaczyć. Brzmiało zupełnie logicznie. Ciekawe, czy to ten wałach, do którego Świrus tak czule przemawiał, gdy go podglądaliśmy? Bo kiedy znów byliśmy u niego, nigdzie srokacza nie dostrzegłam...

Szkoda i konia, i człowieka. Ale dobrze, że to jednak nie Lolita. Choć to mało prawdopodobne, nadal mam nadzieję, że klacz żyje. Wierzę w to tak jak Wujek. Zerknęłam na niego. Trzymał się trochę na uboczu i miał nie-odgadniony wyraz twarzy.

Rozdział dwunasty

Siedziałam na werandzie z Wujkiem, który właśnie wrócił z Warszawy. Słońce zachodziło za domem Borków i cały świat kąpał się w przyjemnym złocistym blasku. Oni oboje ładowali ręcznie wiązane powrośłami snopy na wóz doczepiony do pożyczonego ciągnika. Po ściernisku kroczyło kilka młodych bocianów z gniazda na pobliskim słupie telegraficznym. Unosiły wysoko patykowate nogi, już wybarwione na czerwono. Wkrótce zaczną grupować się w sejmiki, a może już to robią? Świerszcze grały jak oszalałe, a poza tym wokół panowała cudowna cisza, jakiej dziś nie można doświadczyć nawet na wsi. Chyba że na takiej kolonii.

Filip stał na dole przy grillu i obracał karkówkę przyrządzoną na wymyślny, autorski sposób. Zapach roznosił się po okolicy, drażniąc podniebienia. Owczarki Wujka skamlały na swoich łańcuchach o resztki, mimo że właśnie zjadły obfitą kolację. Było mi dobrze. Dawno nie czułam się tak bezpieczna i rozleniwiona. Wydawało się, że od wyprawy do lasu upłynęły tygodnie, a nie jedna noc. Dziś niedziela, Cinką zajęli się dziadkowie. Miałam cały dzień dla siebie. Po-

124

stanowiłam spędzić go przyjemnie: pachnąca kąpiel, jazda konna, grillowanie.

Wyobrażałam sobie, że jesteśmy z Filipem małżeństwem i wybornie się bawiłam.

Wcale nie zamierzam go poganiać, żeby się zdecydował. I tak nie planuję wyjść za mąż przed obroną pracy magisterskiej, tak sobie kiedyś postanowiłam i słowa dotrzymam. Muszę nauczyć się od Ani konsekwencji w realizowaniu własnych planów.

Martwiłam się jedynie Cinką. Rodzice nie dbali o nią do tego stopnia, że nawet jej nie odwiedzali. Oboje dysponowali samochodami i trudno uwierzyć, że te trzydzieści sześć kilometrów to dla nich przeszkoda nie do pokonania. Że też musiałam przypomnieć sobie o małej w takiej chwili idealnego szczęścia! Skoro jednak już to zrobiłam, nie wytrzymałam, żeby nie podzielić się swoim rozgoryczeniem. Chciałam usłyszeć, jak obaj zgodnie stwierdzą, że przesadzam. To by mi sprawiło ulgę. Bo czy dzieciakowi nie jest u nas dobrze? Ale gdyby była moją córką, nigdy nie porzuciłabym jej na tak długo dla własnej wygody!

- Dziecko musi czuć, że ma matkę i ojca - oświadczyłam wojowniczo, choć nikt się ze mną nie kłócił. - Nie wmówicie mi, że rozwód ma jakiegokolwiek pozytywne strony. To nie jest żadne wyjście.

Czekałam na reakcję, lecz żaden nie kwapił się podnieść rzuconej rękawicy. To mnie trochę ostudziło.

- No dobrze, mogę zrozumieć, że kobieta odchodzi od męża alkoholika, gwałciciela, seryjnego mordercy, kleptomana, maniaka seksualnego czy jakiego tam chcecie pederasty, obsesyjnego zazdrośnika... - wyliczałam bez ładu i składu, nie dbając o hierarchię.

125

- Albo odwrotnie - wtrącił Filip, zręcznie obracając przyrumienione i posypane czymś mięso. Wiórki kokosowe to są czy co?

- Racja, może być i odwrotnie, ty męski szowinisto - zgodziłam się łaskawie. - Ale ciotka Bronka, w niczym jej nie uwłaczając, podobno puściła się z jakimś małym. Jej mąż zwierzał się dziadkowi. I tak się jej spodobało, że wcale nie zamierza wracać do domu. Dzieciaka zostawiła na pastwę losu, bo przecież młódka taka się z niej zrobiła, że ho ho! Z pięcioletnią córką już jej nie do twarzy.

Wreszcie mogłam odreagować i robiłam to z pasją. Wujek przezornie usunął przygotowane do kolacji sztuce z zasięgu moich gwałtownie poruszających się kończyn.

Filip zaoponował:

- Ej, chyba się zagalopowałaś, kochanie. Po pierwsze, nie jest to taki znów mały, skoro chcą się pobrać. Pewnie trochę od niej młodszy, a to się zdarza. A Cinki nie zostawiła na pastwę losu, lecz przywiozła na parę tygodni do dziadków na wieś, żeby ochronić dziecko przed burzą, jaka się tam u nich rozpętała. Nie mam na myśli atmosfery za oknem, tylko w domu.

Zaśmiał się z własnego dowcipu, ale mnie nie zdołał rozbawić.

- Niech ci będzie - przyznałam z niechęcią.

Jego zdanie pocieszyło mnie trochę. Czyżbym rzeczywiście oceniała ciotkę zbyt surowo jedynie dlatego, że nie darzę jej sympatią?

- Ale w tę jej wielką miłość, którą tłumaczy się przed mężem, i tak nie uwierzę - dodałam buńczucznie.

Wujek popatrzył znacząco na Filipa. Nie zabierał gło-

126

sU w dyskusji, tylko skubał wąsy w zadumie. Za to mojego męczyznę temat wyraźnie wciągnął.

- A ja, owszem, potrafię zrozumieć, że nowe uczucie przyczynia się do rozpadu małżeństwa czy też innego stałego związku. Rozstanie w tym wypadku to zło konieczne.

- Widzisz, jednak zło - wtrąciłam z satysfakcją. - Moje na wierzchu.

- Poczekaj, jeszcze nie skończyłem. Nie zaprzeczam: to jest niewątpliwie zło, ale mniejsze. Czy naprawdę uważasz, że ciągnięcie na siłę tego, co już i tak nie istnieje, jest lepsze niż ułożenie sobie życia zgodnie z rzeczywistymi pragnieniami?

Wpatrywał się we mnie ze śmiertelną powagą, ściskając w dłoni szczypce do mięsa, z których skapywał na trawę gorący tłuszcz. Wzruszyłam ramionami, wcale nieprzekonana do jego teorii. Nie wziął pod uwagę dzieci, lecz już nie chciało mi się go czepiać.

- Uważaj, przypala ci się - rzekłam bezlitośnie.

Filip złapał butelkę z wodą i ugasił ogień, który buchnął na karkówce całkiem efektownym płomieniem. Dopiero teraz zauważyłam, że na dworze zrobiło się już prawie ciemno.

Przestałam już podejrzewać go o współudział w kradzieży Lolity. Pomysł był niedorzeczny i bezpodstawny. Tych kilka naciąganych poszlak to zwykły zbieg okoliczności, ubarwiony moim bujnym fantazjowaniem. Na główną podejrzaną nadal

typowałam Irenę. Dawno jej nie widziałam. W ogóle do tej pory rzadko i krótko z nią rozmawiałam, jakoś nie miałam ku temu okazji. Ciężko mi było rozszyfrować ją do końca. Nie umiałam wyobra-

127

zić sobie, co myśli, ani jakie motywy kierują jej postępowaniem.

Co innego Józio, którego długa nieobecność w pracy wydawała się godna zbadania.

Chłopak szczery i nieskomplikowany. A już na pewno dobroduszny. Trudno wprawdzie uwierzyć, że gwizdnął konia uwielbianemu chlebodawcy, jeśli to jednak zrobił, powodowały nim szlachetne pobudki. I na pewno sam tego nie wymyślił. Ktoś musiał się nim posłużyć. Może Irena zagrała na jego wrodzonej poczciwości?

Wmówiła mu, że w ten sposób komuś bardzo pomoże, albo coś w tym stylu.

Bo Józio był podejrzany, bez dwóch zdań, mimo alibi w postaci wyprawy do stolicy po towar. Raz, że trudnił się jeszcze całkiem niedawno handlem końmi. A wiadomo, że ci, co mają koncesję, przeważnie zajmują się po cichu handlem kradzionymi zwierzętami. Przecież taki człowiek ma przygotowany do tego samochód, jak choćby ten żuk Józia. Jeździ sobie taki handlarz po pięćdziesiąt, sto kilometrów od miejsca zamieszkania.

Zna teren, wie, kto co ma, czy chce sprzedać. Wujek nie chciał, to sprawę trzeba było załatwić inaczej. Jak to dziadek mówi o takich ludziach? „Pojedzie tu, pojedzie tam, znajdzie, jak nie kupi, to ukradnie, ale zamówienie wykona”. A poliś'a, jeśli nie złapie na gorącym uczynku, to nic później nie udowodni. Bo niby jak, jeśli statystyczny funkcjonariusz nie umie nawet określić końskich maści ani nie rozpozna wieku po zębach. Dobrze, jeśli klacz od wałacha odróżni. No, chyba że taki chłopak ze wsi, jak na przykład Zbyszek. Ten to nawet nieźle orientuje się w końskich rasach. Sama byłam świadkiem, jak któregoś razu szkolił dzieciaki, które na ujeżdżalni czekały na

128

swoją kolejkę. Wujek lonżował Plastykę, jedno z dzieci pojękiwało, objijając się o siodło w rytm żwawego klusa, a reszta na wyścigi odpowiadała panu policjantowi, po czym odróżni araba od folbluta.

No więc Józio. Podejrzany numer dwa. Także i z tego względu, że przed zniknięciem Lolity tyle razy kręcił się w pobliżu pastwisk Wujka, godzinami łowiąc ryby i maniakcko wręcz rysując mapki łowisk. Kto wie, czy nie opracowywał wtedy dogodnej trasy wpływ przez Bug na białoruską stronę?

Oczywiście wyobraźni już widziałam Józia płynącego ciemną nocą na grzbiecie klaczy, która dopiero co zatłukła kopytami Chińczyka, głównego organizatora tego porwania.

No tak, Chiny leżą na wschodzie i w tym kierunku się udali. Że też od razu uznałam za oczywiste, iż ten mały człowieczek pełnił jedynie skromną rolę pomocnika! Tak więc Józio płynie i płynie niestrudzenie, uczepiony mokrej grzywy, a pioruny biją po bokach w wysokie drzewa po obu stronach rzeki. No i trafia na ten przeklęty wir na wodzie.

Tu wizja rozpadła mi się z hukiem równym owym wyobrażonym grzmotom, bo przypomniałam sobie, że to wcale nie Lolitę znaleźliśmy wczoraj martwą w rzece, tylko jednego z koni Świrusa. To już znowu nie wiem, co o tym wszystkim sądzić.

Poddałam się i przestałam myśleć na ten temat.

Mięso przyrumieniło się tymczasem należycie i wylądowało na talerzach, rozłożonych na stoliku pod gruszą przy południowej ścianie domu. Tu Wujek urządził kącik do grillowania, a niezbędne przybory i produkty usłużnie wyrzucało się przez kuchenne okno, żeby się zbytnio nie nabiegać. Tą metodą dostarczyłam w ekspre-

129

sowym tempie serwetki, o których zapomnieliśmy, nakrywając stół do kolacji. Po czym równie prędko wróciłam na taras, chwyciłam tacę ze sztućcami i runęłam schodami w dół, żeby nie przegapić najważniejszego: Filip otwierał właśnie butelkę musującego wina.

- To powie nam Wujek wreszcie, co to za okazja? -dociekał.
- Oboje wyłaziliśmy z siebie z ciekawości. Wujek sięgał po alkohol tylko w dwóch wypadkach. Po pierwsze, gdy spadł z konia któryś z jego podopiecznych. Wówczas czynił sobie potężne wyrzuty, że nie potrafi zadbać o bezpieczeństwo na ujeżdżalni, co oczywiście nie było prawdą. Tej okazji służyła wódka pita polskim obyczajem. Drugą czciło się szampanem lub winem - racząc się nimi w określonej, podniosłej oprawie. To jakiś wyjątkowy powód do radości, najczęściej także związany z końmi. W ubiegłym roku cieszyliśmy się w ten sposób z przybycia Lolity zza oceanu. Czyżby dzisiejsza uroczystość także miała z nią coś wspólnego?
- Skoro obiecałem, muszę wam powiedzieć... - przeciągał słowa, bacznie obserwując, jakie robią na nas wrażenie: - Wiem, gdzie jest Lolita.
 - Gdzie?! - ryknęliśmy oboje równocześnie, pochylając się w stronę Wujka.
 - Tylko nie obiecujcie sobie za dużo, to jeszcze nic pewnego - ostrzegł lojalnie, studząc z lekka nasze emocje. - Pamiętajcie Wasyla, prawda?
- Kiwnęliśmy energicznie głowami. To pytanie było zbędne.
- Nie chciałem wcześniej mówić, żeby nie zapeszyć.

130

po waszej wizycie u niego pojechaliśmy tam ze Zbyszkiem. Wydało się wam, że wziął was za policjantów w cywilu i to go zaniepokoiło. Domyśliłem się, że ma coś na sumieniu. Sądziłem, że ukrywa, co naprawdę stało się z koniem. Nie o to jednak chodziło. Zbyszek w mundurze skłonił go do zwierzeń. Wasyl wyznał jak na spowiedzi, że handluje z Ruskimi spirytusem, ale z tym skończy i błaga, żeby go nie zamykać. Ani nam to było w głowie, choć nie musiał tego wiedzieć. Swoją drogą, to mnie tak bardzo nie zdziwiło, teraz tylu ludzi z tego żyje. A dla niego rosyjskojęzyczni to w końcu swojacy, kto się z nimi lepiej dogada niż rodak? Czyn społeczny o szkodliwości, owszem, znacznej. Ale czy to on jeden? Gdyby tak wszystkich za to karać, to tam u was w Terespolu co drugi buduje się z przemytu, samochodu się dorabia...

- O, nieprawda - broniłam honoru mieszkańców rodzinnej miejscowości, święcie oburzona podobną kalumnią, i od razu sprostowałam: - Najwyżej co trzeci...
- A niech tam i co czwarty - zgodził się łaskawie Wujek. - Gdzie przy takim tłumie karać jednego człowieka? Na kolonii żyje sobie spokojniutko, w agroturystykę się bawi i piękno Podlasia gościom pokazuje. A że jest przy tym hojny, jak nakazuje polska gościnność, to na odjezd-nym skrzyneczkę czy dwie podaruje za „Bóg zapłać, gospodarzu!” i coś tam jeszcze, no i jedzie wódeczka na Śląsk ludzkie serca rozgrzewać i umysły. On zarabia i oni nie tracą, symbioza doskonała. Po co nam, władzy, ingerować w to naturalne środowisko? - pyta go grzecznie Zbyszek. Wasyl przyznał, że i jemu wydaje się to jakby niezbyt konieczne. No to nam szybkoitko powiedz, co się stało z kobyłą, proszę kulturalnie. Kto ją kupił, jak wy-

131

glądał i dokąd pojechał. Rozumiecie, pomyślałem, że skoro Wasyl ją odkupił, niewykluczone, że ktoś inny też się na niej pozna i zrobi to samo. Dlatego go potrzebowałem. Sam nie dowiedziałbym się, czy coś takiego w ogóle się wydarzyło, ani też nie miałbym czasu uganiać się za jakimś zagranicznym przewoźnikiem, którego nawet na oczy nigdy nie oglądałem.

- Powiedział coś jeszcze? - chciałam wiedzieć.
- Wtedy nie. Tylko że taki jeden czarny był i po polsku niewiele umiał, ale liczyć to owszem, bardzo dobrze. Że chyba Włoch i na Warszawę pojechał. Tyle wiedział. No to się dowiedz, kochaniutki, proszę go dalej, bo się pogniewamy i handelek skończy się na amen. Obiecał, że zrobi, co się da.
- I co? - niecierpliwiłam się. - Dowiedział się, gdzie ona jest, tak?

- Mniej więcej, przecież świętujemy. Zdrowie Lolity!
- Wujek podniósł kieliszek w górę i trącił z nami. Krztusząc się z niecierpliwości, spełniał posłusznie toast. Ja tu zaraz zejść w tak młodym wieku, że aż szkoda, ale tak się to skończy, skoro Wujek wciąż się z nami droczy.
- Czyli ktoś ją znowu odkupił? - wtrącił z kolei Filip.
 - A tak. Tego Włocha to Wasyl nawet szybko dorwał, zaraz w następną środę i także na targu w Piszczacu. Poszedł tam z nauczycielem z Zabrze, który u niego akurat wypoczywał. Co prawda nie umiał po włosku, ale dogadali się po...
 - Angielsku? - zakończyłam, wpadając znów w słowo. I zaraz ugryzłam się w język, bo Wujek spojrzał na mnie z ojcowską naganą. Już nie zapytałam, co też takiego Włoch zdołał im przekazać.

132

- Kierowca bardzo dobrze zapamiętał Lolitę, bo miotła się przez pół drogi do Warszawy, zanim całkiem osłabła. W Trzebieszowie dopakował jeszcze dwa konie. Rozumował, że jak będzie jej ciaśniej, to się uspokoi. A ona przeciwnie, jakby się wściekła.
 - Bił ją czymś? - przestraszyłam się. Jeśli tak, to po źrebaku.
 - Też kazałem o to spytać. Południowiec zeznał podobno, że wcale jej nie tknął. Jego w ogóle nie obchodzi, co się dzieje w transporcie, żyją te zwierzęta czy już zdechły. Wcześniej cegły woził i tak mu zostało... No więc pod Warszawą już się uspokoiła. Skierował się na południe, do przejścia granicznego w Zebrzydowicach, jak większość przewoźników. Kobyła ucichła. Nie rzucała się w oczy ani w ogóle nijak. Ale kiedy przyspieszył, znów wpadła w szał i zaczęła harcować. Aż wyłamała deskę w rampie. Drzazgi sypały się za ciężarówką, ludzie się oglądali, po policję chcieli dzwonić albo do Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Jeden taki podobno z samochodu wyskoczył, auto całkiem zgrabne miał, japońskie, toyotę albo hondę, Włoch nie pamięta, nowiutką, czarną i wypucowaną, jak dawniej oficerki się czyściło. Cudo. Wyskoczył więc z tego auta i krzyczy do niego, że chce tego konia od razu, zaraz, natychmiast. Zapłaci, ile potrzeba.
- Ludzie patrzą, słuchają, co miał robić? Zatrzymał się, opuścił rampę. Klacz momentalnie się uspokoiła i tylko jeszcze zębami kłapała dla zasady, ale nie gryzła. Wyszła potulnie. Nieznajomy nawet się nie targował. Włoch zaraz po transakcji odjechał, żeby nie ściągać na siebie uwagi narodu i mundurowych. Usłyszał tylko, że świe-

133

- żo upieczony właściciel dzwoni z telefonu komórkowego, pewnie po koniowóz. Dokąd później się udał, to on nie wie, ale przypuszcza, że w kierunku Warszawy, bo taki miał przedtem zamiar. Jeszcze zdołał zobaczyć we wstecznym lusterku, że ludzie podsuwają mu kartki i długopisy, a on coś im na nich pisze, ale krótko. Chyba autografy rozdawał. Bohater. Ktoś jeden to nawet sobie z nim zdjęcie zrobił...
- Też bym sobie zrobiła i jeszcze nad łóżkiem bym sobie powiesiła, i gdzie tylko chcecie. Cudowny człowiek, naprawdę. Tylko gdzie on mieszka? Warszawa to nie Terespol, a zresztą może tylko przyjechał do stolicy w odwiedziny do kogoś albo w interesach.
- Oczywiście Włoch nie zwrócił uwagi na numery rejestracyjne - domyśliłam się.
 - Nie zwrócił - przyświadczył smętnie Wujek. - Dlatego mówiłem, żebyście nie obiecywali sobie za wiele. Najważniejsze, że klacz żyje i znajduje się prawdopodobnie w okolicach Warszawy.
- Coś mi nie pasowało.
- Skąd pewność, że to Lolita?
 - Kiedy wybierałem się do Wasyla, zrobiłem coś, o czym wy nie mogliście pomyśleć, jadąc tam bez przygotowania. Zabrałem ze sobą album.

Rzeczywiście, zdjęcia z ubiegłorocznego Hubertusa! Lolita prezentowała się na nich bardzo ładnie i często, bo chcąc zrobić Wujkowi przyjemność, wszyscy kierowaliśmy na jego ulubienicę obiektywy aparatów fotograficznych. Ania wtedy na niej siedziała i nawet w gonitwie zdobyła lisią kitę. W „Słowie Podlasia” ukazał się obszerny artykuł, podpisany pseudonimem. Nikt się do nie-

134

go nie przyznał. Cieszyłam się zwycięstwem Ani, choć jej niesłychane podejście do arabsów czasem kłuło mnie igielką zazdrości. Sama bym tak chciała. Konie mnie lubią, ale to kwestia nabytych umiejętności, a nie zdolności wrodzonych, jak u niej.

Wujek pokazał Wasyłowi zdjęcia. Ten z łatwością rozpoznał gniadą klacz, którą trzymał przez tydzień w swojej stajni. Mając teraz całkowitą pewność, że to była Lolita, tym bardziej nie potrafiłam uwierzyć w nagłą przemianę jej charakteru. Co się za tym kryje?

- Dzisiaj wybrałem się z tymi zdjęciami do Warszawy - ciągnął Wujek. - Wywiesiłem ogłoszenia w kilku dzielnicach. Odwiedziłem redakcję „Konia Polskiego” i największe dzienniki. Ten człowiek, jego sąsiedzi i znajomi muszą przecież coś czytać. Na razie to jedyny sposób, aby się z nim skontaktować. Zobaczmy, co z tego wyniknie.

To już coś. Nadzieja wielkim głosem odezwała się w naszych duszach. Oby tylko nie okazała się złudna!

- Założmy, że Lolita znajduje się na Mazowszu - odezwał się Filip. - Nadal odzyskać klacz wcale nie jest łatwo, a czempionat konia arabskiego już za niecałe dwa tygodnie.

- Westchnął, obracając w dłoni szklaną nóżkę pustego kieliszka.

Obudził we mnie przekorę.

- Może jeszcze uda się ją wystawić?

Pokręcił głową z powątpiewaniem. Wiedział swoje.

- Żyje, więc mamy szansę. - Nie zdołał pozbawić mnie optymizmu. Tylko czy wykorzystamy tę szansę jak należy? Odpowiedź na to pytanie kryła się w przyszłości.

- Zdrowie Lolity! - ponowił toast Wujek, rozlawszy następną kolejkę.

135

Wznieśliśmy kieliszki. Brzęknęły głośno w wieczornej ciszy. Jeszcze nikt tu nie spełniał toastu z takim zapalem, jak nasza trójka połączona miłością do konia.

Borkowie dawno skończyli pracę i pole opustoszało. Miałam wrażenie, że w całych Kostomłotach nie śpimy tylko my. Myliłam się.

W gęstniejącym mroku dojrzałam cień jakiejś postaci, ledwie widocznej między drzewami przy padoku ogiera. Od razu pomyślałam o Chińczyku. Starając się nie dać nic po sobie poznać, zerkałam ukradkiem w tamtym kierunku. Teraz z kolei nabrałam pewności, że widzę Józia. Trąciłam łokciem Filipa i powiedziałam ściszym głosem:

- Patrz. Tam!... Na lewo od ogrodzenia. Przy tym dużym buku.

Wujek też spojrzał.

- Józio... - szepnął zdumiony. - Tak późno na rybach?

Żadne z nas w to nie wierzyło. Mężczyzna cicho zanurzył się w zarośla. Chwilę później zaczęliśmy tłumaczyć sobie, że to było przywidzenie. Po prostu wypiliśmy trochę za dużo wina.

Zza zamkniętej na klucz stajni ogiera dobiegło pełne protestu rzenie.

Rozdział trzynasty

Obudziłam się i dłuższą chwilę nie mogłam zrozumieć, gdzie się znajduję i dlaczego akurat w tym miejscu. Poranne słońce padało na przeciwległą ścianę, oświetlając meble z jasnej sosny. Drzwi szafek zdobiły przyklejone bezbarwną taśmą fotografie koni ze ściennego kalendarza. Aha, pokój na piętrze domu Wujka, przygotowany dla letników, których teraz nie ma. Położyłam się tu, bo wczoraj za dużo wypiałam i nie chciałam

wracać w takim stanie do domu. Zadzwoiłam do dziadków, że nocuję u Edyty. Nie chciałam przyznawać się, że tutaj spędzę noc. Od razu podejrzewaliby, że jestem z Filipem. Tym razem musiał wrócić na noc do Białej. Trudno.

W głowie wciąż szumi, nie chce się wstawać. Wujek wie, co dobre. To delikatne martini wybrał ze względu na mnie. Chociaż miało zaledwie kilkanaście procent, te konie na szafkach galopują mi przed oczyma jak żywe. I wszystkie wyglądają zupełnie jak Lolita... A może to nie alkohol, tylko powidok? Bo właśnie ona dzisiaj mi się śniła. I to jak!

Odbywał się czempionat konia arabskiego w Janowie

137

Podlaskim i zjechało się mnóstwo VIP-ów z całego świata. Siedzieli po jednej stronie pokazowego ringu, pod białymi namiotami. A naprzeciw nich, na trybunie dla widzów, ja. Zewsząd otaczali mnie ludzie. Tłum liczny, dziki i pełen emocji. Filipa jakoś koło mnie we śnie nie było, ale to nie na nim koncentrowała się moja uwaga. Na zielonej murawie padoku płaśała w takt muzyki Lolita, otoczona wianuszkami fotoreporterów. Słońce padało wprost na jej wyszczotkowaną brązową sierść i krągłe połówki zadu lśniły niczym miedziane gałki. Pod cienką skórą rozpedzonej klaczy grały sprężyste mięśnie, przy hamowaniu drobniutkie kopytka tańczyły poleczkę. Długie włosy grzywy, wyczesanej i polakierowanej na tę spec'alną okazję, zwykle opadające poza linię szyi, teraz fruwały za nią, migocąc w słońcu niczym skrzydła kruka. Buńczucznie wzniesiony ogon rozkładał się w przepiękny bukiet. Prowadzący ją masztalerz biegł dookoła ringu wyciągniętym krokiem, to zbliżając się, to znów oddalając od mego miejsca na trybunie. Na zakrętach słyszałam pełne werwy parskanie rasowego konia. Lolita, podprowadzona następnie do komisji sędziowskiej, znieruchomiała jak posąg. Ustawiła się idealnie: przednie nogi równoległe, tylne lekko rozstawione, szyja cudnie wyciągnięta. Trzy osoby obejrzały ją dokładnie ze wszystkich stron i każda z nich zapisała coś na kartce. Czulałam, że wbijam sobie paznokcie w zaciśnięte dłonie i chyba rzeczywiście musiałam to robić przez sen. Za chwilę do grona sędziowskiego podeszła jedna z ubranych na ludowo dziewczynek, które pokazywały publiczności noty. Wkrótce „góralki” wysoko podniosły tekturki. Z głośnika popłynął komentarz:

138

- Oceny za typ: dziewiętnaście, dwadzieścia, dziewiętnaście. Type: nineteen, twenty, nineteen...

I szalona radość publiczności. Jest dwudziestka, najwyższa punktacja! To nie zdarza się często. Rozluźniam pięści, ale wciąż słucham uważnie, ile punktów przyznano za głowę i szyję, kłode, nogi. Na końcu padają oceny za ruch. Nie śmiem marzyć o drugiej dwudziestce, to byłoby za dużo szczęścia naraz. Ale Lolita porusza się cudnie. W klusie odbija się od podłoża z taką fantazją, jak gdyby to sama ziemia ją sprężynowała. Wyrzucane wysoko nogi nieruchomieją w najwyższym punkcie swego lotu na chwilę dłuższą niż u innych koni. Jakby ktoś zatrzymywał kadr po każdym taktcie. Klacz wzbudziła żywiołowy aplauz publiczności. Bogaci kupcy z naprzeciwna pochylają się do siebie nawzajem, by wymienić pełne uznania komentarze.

Zastanawiają się pewnie, czy klacz zostanie wystawiona na sprzedaż. Nie w tym roku, oczywiście, bo nie widać jej w ofercie, ale może w przyszłym. Albo chociaż jej potomstwo, które niewątpliwie dziedziczy cechy po matce. No właśnie, skoro oni tak zareagowali, komisja również mogłaby ją docenić... Kartoniki wędrują w górę, a wyraźnie ucieszony spiker przekazuje ich treść:

- Ruch: dziewiętnaście, dwadzieścia, dwadzieścia. Mo-vement: nineteen, twenty, twenty...

Publika eksploduje. Entuzjazm wybucha niczym elektrownia w niedalekim Czarnobylu. Noty stulecia! Pierwsze miejsce w grupie klaczy starszych murowane. A jak dobrze

pójdzie, to zwierzę zostanie najlepszym koniem największego i najstarszego na świecie pokazu arabów! Nagle wyrasta obok mnie Filip, za nim Wujek i Ania.

139

Obejmujemy się i śmiejemy na głos. Mówimy wszyscy naraz i nikt nikogo nie może w tym hałasie zrozumieć.

- Mam w bagażniku butelkę chardonnay! - przekrzykuje nas Wujek. A potem słyhać głośne ujadanie psów.

To mnie obudziło. Szczekanie okazało się całkiem realne i w dodatku wcale nie ustawało. Głos Wujka też słyszałam na jawie. Oprzytomniałam na tyle, by wygrzebać się spod koca i sprawdzić, co dzieje się za oknem.

Konie chodziły po podwórzu. Wujek zbijał nową budę dla wilczurów, które szalały na łańcuchach. Właściwie trzymał młotek w ręku i rozmawiał z kimś, kto stał za furtką na drodze, i nie mogłam go dojrzeć. Uzgadniali, kiedy i u kogo mają kosić, więc domyśliłam się, że to Józio. To on co roku w porze żniw jeździł na kombajnie Wujka. Wczoraj widziałam go, jak skradał się za stajnią ogiera. Dziś w pełnym świetle nabrałam pewności, że coś mi się wtedy przywidziało. Zdjęłam dzinsy z oparcia krzesła i zaczęłam się ubierać. Psy znudziły się widać szczekaniem albo Józio sobie poszedł, bo zrobiło się cicho. A potem wybuchły ze zdwojoną siłą.

- Do budy! - stanowczy głos Wujka rozległ się tym razem o wiele bliżej. Owczarki posłuchały. Mężczyźni usiedli na schodach, po których wchodzi się na werandę. Prawie pod moim oknem. Nie dostrzegłabym w ich zachowaniu nic dziwnego, gdyby nie zaczęli rozmawiać przyciszonymi głosami. Spróbowałam zorientować się, o czym, ale ze swego stanowiska za gęstą firanką nie potrafiłam rozróżnić słów. A trzeba przyznać, że się starałam. Z zasady nie podsłuchuję cudzych rozmów, ale w tym wypadku czułam, że mogę zrobić wyjątek z ko-

140

rzyścią dla sprawy. Byłam pewna, że rozmawiają o Loli-cie. Pewnie Wujek nie podzielił się z nami wszystkim, co wie. Za wszelką cenę chciałam się o tym przekonać. Ale jak to zrobić?

Salon! Na parterze pod moim pokojem jest przecież salon. A w nim zawsze otwarty przy pogodzie lufcik. Może i nie najlepszy to kanał komunikacyjny, ale bez wątpienia coś uda mi się usłyszeć.

Ostrożnie stąkam po drewnianych schodach. Skrzypi za każdym razem, gdy naciskam na stopień. Na dole cicho zamykam za sobą drzwi i przekręcam klucz w zamku, żeby nikt mnie nie zaskoczył. Po czym wczołguję się pod parapet. W oknach nie ma firanek, tylko złotawo-brązowe zasłony z prążkowanej, śliskiej materii wiszą po bokach. Nie zasłaniają szyby, co utrudnia podsłuchiwanie. Przywieram do drewnianej ściany tuż nad podłogą z klepek. Wyteżam słuch. Przytłumione głosy rozmawiających docierają wyraźniej.

- Nie chcę tego dalej ciągnąć - zwierza się właśnie Józio. - Znaczy się, od dnia, kiedy mój współnik zabił jednego takiego...

Czy aby na pewno wczorajsze wino mi nie zaszkodziło? Jeśli nie, to zgadłam, że Józio ukradł Lolitę. Jak trafiła do ciężarówki rzeźnika? Jeżeli za chwilę padnie nazwisko Ireny Kwiatkowskiej jako współniczki... Czy to ona zabiła Chińczyka?! Ślady na jego głowie tylko ja widziałam i chociaż wydały mi się końskimi kopytami, to nie znaczy, że faktycznie nimi były. Myśli cwałowały w mojej głowie szybciej niż słowa Józia. Choć w zupełnie innym kierunku, jak się miało okazać.

141

- Jak to się stało? - zapytał Wujek. Gdyby chodziło o Lolitę, nie zrobiłby tego tak spokojnie. A może nie chciał dać nic po sobie poznać?

- Powiem panu dyrektorowi jak na świętej spowiedzi. W tle charakterystyczne

dzwonienie breloczka - Józio

zawsze bawił się nim, gdy był zdenerwowany lub coś przerastało jego możliwości.

- Własnej babie wyżalić się nie mogę, bo o niczym nie wie.
- To zacznij po kolei. Jak dotąd, niewiele rozumiem z tego, co mówisz. - Wujek wyjął mi te słowa z ust. - Twierdzisz, że interes kwitnie jak nigdy dotąd. Natomiast Straż Graniczna zapewnia, że dostać się do nas ze wschodu przez zieloną granicę jest z roku na rok coraz trudniej.
- Znaczy się, że niby nie można wplaw przez Bug? - Józio zaśmiał się sarkastycznie. - Guzik prawda, mówię panu dyrektorowi. Ta granica jest dziurawa jak rzeszoto. A jeszcze jak ostatnio zaczęli gadać w telewizji, że Polska wkrótce do Unii Europejskiej ma wejść, to ludzie rzucili się przemycać nielegali jak nigdy. Toż to ostatnia szansa, potem granicę Unii przesuną do nas znad Nysy Łużyckiej i tak uszczelnia, że i złamanego grosza nie da się zarobić.
- Bezpłatna reklama.
- Że co proszę? - nie zaskoczył Józio.
- Mówię, że media wyświadczyły Straży Granicznej niedźwiedzią przysługę.
- Tak jakby - zgodził się kombajnista. Sam lubił komunikować się za pomocą wszelkich przysłów i potocznych związków frazeologicznych. Znał ich mnóstwo i z roz-

roz-

142

koszą nadużywał, często przy tym rozbawiając otoczenie, bo wciąż coś przekreślał.

- A ty jak się dostałeś do interesu?
- Wspólnik mnie namówił, kolega, znaczy się. Zeszli my się któregoś razu u mnie w sklepie, piwko wypili - jeszcze tej durnej ustawy nie było, co zabrania publicznie - i zaczęli ze sobą gadać. On mnie się żali, że odkąd pegeer zlikwidowany, roboty nijak nie może znaleźć. Ale ma coś na oku, tyle że dwóch do tego trzeba, a on nie ma z kim. Ty Józek, mówi, tożes sklep otworzył i jakoś wychodzisz na swoje, twoja baba do kościoła co rusz w innej kiece lata i na mszę daje przy byle okazji. A wcześniej toś się na handlu końmi dorobił. To ja jemu zaczął tłumaczyć jak tej krowie na rowie, że ja tu ledwo końce wiązę, a co Halinki, to za mleko i jaja. Na to on, że może bym se tak dodatkowo zyczył zarobić. Czemu nie, odpowiedziałem mu, tylko, chłopie, w jaki sposób? „A nad wodę nie zechciałbyś pójść?” - mówi on i czeka, co ja na to. A mnie dech zaparło w piersiach. Oho, myślę sobie, co to, to nie! W okolicy wszyscy wiedzą, co to znaczy iść nad wodę: Ruskich przemycać. Toż to zakazane i grzech jaki pewnie. Mówię mu, że spowiadać to ja się z tego nie zamierzam i że dzięki, nie skorzystam. A on do mnie: „Jaki grzech?! Ludziom będziesz pomagać. Toż oni tam głodem przymierają i nikt do nich pomocnej ręki nie wyciągnie. Na Zachód chcą. By tam mogli odżyć, pracę podłapać choćby na czarno. A tak - bieda. Widzisz, Józek, życie ludzkie będziem ratować, a ty o grzechu gadasz. Niby taki wierzący, a samolub. A to wszystko przecież nie za darmo. Sto złotych dają od jednego. Na początek”. Zapytałem, kto daje. „No, ruska mafia. Dla nich

143

robią tacy jak my biedacy, a nie żadni gangsterzy jak w telewizji”. Musiałem patrzeć na niego jak wół na malowane oczy, bo dodał: „Nie osobiście przecież dają. Przez polskiego pośrednika”. I wytłumaczył mi jak jakiemu głupiemu, że wcześniej to się takie konwoje przeprowadzało przez Terespol, znaczy się, był niezły punkt na Bugu koło przejścia granicznego. Ale potem, że tak powiem, miejsce się spaliło. To znaczy, granicę otoczyli metalową siatką, krzaki wycięli, ludzi więcej porozstawiali. Pilnują. Nie da się już tamtędy bezpiecznie przeprowiać. Trzeba było przetrzucić się z całym majdanem gdzieś dalej.

- Tutaj? - usłyszałam głos Wujka. Domyśliłam się, że wskazuje na rzekę.

- Tak to sobie umyślili - przytaknął Józio. - Tyle że zaufanych ludzi do tego nie mieli za bardzo. Bo najlepiej, jak taki przewodnik to swój jest, znaczy się, miejscowy. Tu u nas wszyscy znają łyse konie i jakby kto obcy się kręcił, a nie letnik, to zaraz by na policję donieśli, że złodziej. Przed wojną Cyganów pełno było, obóz zawsze rozbijali na tym zakręcie, gdzie to pastwisko panadyrek-torowe się kończy. Ludzie pamiętają.

- Zgodziłeś się, oczywiście? Znow zadzwoił breloczek Józia.

- A co miałem się nie godzić? Szef uczciwy był, nie powiem. Na początku żeśmy pracowali na pożyczonym pontonie i moim żukiem żółtków wozili, a jak zobaczył, że dobrze nam idzie, to od razu przed tymi białoruskimi mafiosami nas pochwalił. Komórki zaczęli nam dawać, noktowizory, radiostację i inny sprzęt. I płacili w dolarach. Tego dostawczego poloneza tom sobie za forszę od

144

nich kupił w pierwszej kolejności. Raz my taką premię dostali, że o mało nie zemdlął jak baba.

Józio konspiracyjnie zniżył głos do szeptu, więc nie poznałam tej sumy. Ale co wspólnego ma z tym Loli-ta? Uciekali na niej czy jak? Chociaż łokcie już mi porządnie zdrętwiały, bałam się zmienić pozycję, żeby nie usłyszeli trzeszczących klepek. Nie miałam pojęcia, jak dźwiękoszczelne są ściany, a bardzo chciałam wysłuchać Józia do końca. Na szczęście znow zaczął zwierzać się głośniej.

- Ale wtedy to myśmy piętnastu naraz przeprowadzili. A tak normalnie to się brało po kilku. W sumie ze dwustu już ich będzie przez te trzy lata na jednego.

Wujek cicho zagwizdał. Trudno wyczuć, co chciał przez to wyrazić.

- Teraz się nie dziwię, że tak często chodziłeś nad Bug.

- No, łowić ryby to ja i tak lubię sam z siebie, tyle że czasu nigdy na to nie starczało.

Jak kazali wziąć wędki, haczyki, podbieraki i nad wodą siedzieć, to i czas się znalazł.

Baba mi tylko stale zrzędzi, że pożytku z tego całego łowienia nie ma ani pieniędzy.

Żeby ona wiedziała!... Nie dziwota, że zła jak osa chodzi za każdym razem, jak nad Bug się wybieram. Często gęsto to i z pustym wiaderkiem wracam, ryba się w nim żadna nie łopoce. Ale jak którego razu dobrze poszło, to przez tydzień na obiad leszcze my tylko jedli, aż się i przejadły. Bo na samym początku to ja codziennie na te rybki chodził. Kazali obserwować okolicę. Robiłem w notatniku wędkarza niby to mapki łowiska, a tak po prawdzie to pisałem, jak chodzą patrole wopków, straży granicznej,

145

znaczy się. Od którego słupa do którego i ile im to czasu zajmuje. Ludzie gadają, że ich tu prawie nie ma, a gęsto stoją, nie powiem. Trzeba było zbadać wszystkie skróty i ścieżki w tym lasu - pobrzękiwanie metalowego breloczka sugerowało jakąś gestykulację - żeby było wiadomo, gdzie w razie czego uciekać i w których krzakach nad wodą będzie można schować łódkę. Oj, nachodził się człowiek, nie powiem! Ale to wszystko potrzebne. Znaczy się, dla bezpieczeństwa. Jak nie będę znał terenu, to wpadka gwarantowana. Tak pouczali ci z Warszawy, co do nich ludzi wozilem. Juzem się rozeznał co nieco, gdy dostałem cynk. Pierwszy przerzut. Denerwował się ja nie gorzej niż wtedy, co to prawo jazdy na kombajn robił. Ale dobrze poszło. Tyle tylko że wróciłem do domu tego ubłocony, bo parę godzin leżałem w zaroślach. Wopków ktoś chyba ostrzegł, kręcili się jak nigdy. Nic nie znaleźli, no i dali spokój. Tu dobre miejsce jest, bo nawet jak hałasu jakiego niechcący się narobi, zawsze konie w pobliżu stoją i niby to one. To myśmy tu się przenieśli, koło tamtego pastwiska.

Wyteżyłam słuch, przeczuwając, że teraz dowiem się czegoś o Lolicie.

- I co robiliście z imigrantami? Wieźliście do Warszawy?

- Różnie bywało. Najsamprzód tak właśnie. Tam przejmowali inni i wieźli dalej, za Odrę. Samochód się podstawiało na polanę Świrusa. Ciężko było potem wyjeżdżać, bo

tej swojej drogi z kocich łbów to on jeszcze wtenczas nie zbudował. Wszystko w nocy. Musiał ją jechać od razu i z towarem do sklepu wrócić, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Ludzie tu solidarne są, ale zawistne. Jakby się dowiedzieli, że dolarami mnie płacą, za-
146

raz by który poleciał do wopków. Dwieście złotych dają za dobrą informację o przemyśle ludzi. Z tego przejścia za pastwiskiem to my ledwie parę razy skorzystali. Jak sprowadził się tam Świrus, to wodopój se z niego zrobił. Może on i głupi, ale nocami co rusz z tymi swoimi szkapami łązi, jeszcze by co wyniuchał i poleciał z językiem. Takemu to nie wierzyć, on nietutejszy, kwoce spod ogona wypadł. Mimo woli uśmiechnęłam się na to określenie.

- Przenieśli my się z kilometr dalej, jak raz koło stodoły Borków. Starej, znaczy się. Jakoś tych nielegali to nie chcieli już tak od razu odbierać i czasem trzeba było z dzień czy dwa wstrzymać się z transportem. To się ich w stodole zamykało i kazało cicho siedzieć, bo jak nie, to z powrotem za Bug. Żaden nie pisał, choć im tam nieraz stopy przymarzały w zimie do klepiska. Szkoda mi ich było i nieraz stare buty im swoje nosiłem, ale współnik nie bardzo pozwalał. Żeby się nie wydało, jakby który zgubił i kto potem zajrzał. Ale oni to tych szłapci nie zostawiali, o nie! Co drugi tam na bosaka był. Mieli jakieś klapki z łyka, ale co to jest, a i tak przeważnie w drodze się zdarły. Przypomniałam sobie ślady stóp w sadzie babci Borko wej. Jacy ci ludzie musieli być wygłodzeni, jeśli rwali zupełnie zielone jabłka razem z gałęziami!

- Jednego nie rozumiem. - Założę się, że Wujek w tej chwili skubał wąsy. - Jak to się stało, że ten twój współnik, nie dociekam, kto to jest, zabił jednego z uchodźców? Józio głośno przełknął ślinę. Znowu odezwał się breloczek.

- To był wypadek. Oba my się tego dnia denerwowali

147

od początku akq'i, chociaż nie najgorzej nam szło. Chyba przez to ciśnienie: burza była. Na miejsce żeśmy dotarli, żeby nie skłamać, coś koło północy. Ciemno, choć oko wykol. Tylko błyskało raz za razem. Niby to i lepiej dla nas, ale jakoś człowiek bał się Pana Boga obrażać. Bo czy to znowuż taki dobry uczynek, skoro dla niego po nocy, jak złodziej, musisz się, człowieku, przemykać? Coś mi się to nie widziało. Zaświtało mi w głowie, że mnie zwyczajnie nabrali. Ale wycofać się nie mogłem, bo mafia zabija tych, co już wiedzą za dużo i na „emeryturze” mogą nabrać ochoty na pogawędkę ze smerfami, znaczy się poliqa. Albo z jaką gazetą. Już taka jedna, co u pana dyrektora konie ujeżdża, to mnie przejrzała. Razu jednego wiosną tak mnie jakoś koło stodoły starej Borkowej zdybała, akuratnie żółtków w niej nie było, i pyta się mnie, czybym jej czego nie zechciał naopowiadać. Że ona dużo zapłaci. Jej dużo to moje mało, ale nic nie powiedziałem. Zresztą, choćby i górę złota przyobiegała, tobym i tak nie dał się wyciągnąć na żadne wywiady. Anonimowo, ona tłumaczy, a mnie wszystko jedno. Mafia niegłupia, a życie człowiekowi najmiłsze. Wszystkiego zem się wyparł, a jakże. Babka się rozeźliła, na konia wsiadła i pognęła przed siebie. Więcej się nie czepiała, ale musi się trochę orientuje, bo wciąż się kręci po krzakach i tylko zdjęcia pstryka. Dziewczyna tam jeszcze za stodołą wtedy stała, ale pod wiatr, to może i nie słyszała. Ona też nie w ciemność bita i tak młodego pana doktora podług małego palca sobie owinęła...

Wstrzymałam oddech. Po plecach spływała mi kropla zimnego potu. Widział mnie! Mam nadzieję, że tylko on. Bo jeśli Irena...

148

- No, ale nie o to się rozchodzi. Na czym to ja skończyłem?

- Była ciemna noc...

- A, tak. I taka burza, że człowiek lękał się o dobytek i o własną duszę, a iść było trzeba. Zostawili my z kolegą auto na leśnej ścieżce, ze dwa kilometry od granicy.

Będzie ze dwieście metrów od tej głównej drogi, co przez Kostomłoty leci na przestrzał. On zabrał się za nadmuchiwanie pontonu, ja się rozglądałem. Szło jak po maśle, tylko deszcz oczy zalewał. Laź ja przez te chaszczce i pomimo burzy wiedział, gdzie iść. Trafiliby chyba z zawiązanymi oczami. W końcu godzinami rozpoznawał teren. Akuratnie jakżem się wygramolił nad rzekę, wopki dochodzili do słupa granicznego. Oho, myślę sobie, wpół do pierwszej wybiło jak nic. Chłopaki to solidna firma, zegarki można sobie regulować według ich spacerów lepiej niż z radiem. Nie wrócą do drugiej. Poszedłem po ponton. Razem my go przyciągnęli, bo ciężkie było cho-lerstwo, toż nie dla jednego pasażera robione. Wypłynął ja na wodę zaraz, jak trochę deszcz ustał. Wspólnika na brzegu zostawiłem, żeby miał baczenie na to, czy kto niepowołany nie idzie. Strzeżony Pana Boga strzeże.

- O tak... - westchnął Wujek, który na własnej skórze przekonał się, jak trzeba wszystkiego pilnować.

- Ciężko się płynęło, ale przynajmniej na pluskanie wiosł nie musiałem uważać, bo pioruny były jak kot ogonem, kiedy się złości. W końcu stanął ja na białoruskiej stronie. Ludzi mi zaraz podprowadzili, zebrał wszystkich i z powrotem na ponton. Mizerne jakieś byli, jeszcze gorzej niż poprzednim razem i nawet się nie wiercili tyle co inni. Jeden to ledwie zipał. Jak na brzeg

149

wylaź i w błocie się położył, tak i myślałem, że nie wstanie. A on tak tę ziemię całował... Raptem zerwał się na równe nogi, aż my obaj podskoczyli, tak się w pierwszej chwili przelękli. „Germania!” - zaczął krzyczeć, bo myślał nieborak, że już Odre przepłynął. Próbowali my mu wytłumaczyć, ale nie słuchał albo i niewiele po rusku rozumiał.

- A wy ze skóry wychodziliście ze strachu?

- Jakby wopki usłyszeli, to po nas. Wspólnik już brał się ręcznie go przekonywać, żeby się uspokoił, ale nie pozwoliłem. Takie chuchro bić? Toż to wstyd porządnemu chłopu i grzech przed Bogiem. Wietnamczyk - bo żółty to był - zamilkł i ruszyli my przez las. Kazali przywieźć żółtków jak najszybciej, to żeśmy ich nie prowadzili do stodoły, tylko od razu do auta. Wtem Azjata do reszty sfiksował. Oni tak czasem mają, bo też i nielekko czekać na przeprawę. Ruskie naród nie w ciemność bity i trzymają ich tam u siebie dłużej, niż potrzeba. Za wszystko każą sobie płacić: za zarcie, za wodę. Jak ich do reszty wydoją, puszczają dalej. Przeprawa też im na nerwy szkodzi. Ten widocznie mało odporny był. Zobaczył stodołę po drodze, pomyślał, że to dom i ludzie jakieś mieszkają. Znow zaczął tę Germanię wykrzykiwać i rękami machać. Coś tam jeszcze wołał w swoim języku i narobił okrutnego hałasu. Bali my się, że jeszcze psy zaczną szczeleć i Borki wylecą zobaczyć, co się dzieje. A ten żółty skacze z radości i wciąż pokrzykuje, choć taki wyczerpany. Wiedział ja, że kolegi ręka ciężka, to sam próbowałem go uspokoić. Ale gdzie tam! Wyrwał się i pognął nazad. Deszcz lał taki, że ślady rozmywały się, ledwie podniósł nogę z błota. Ale ścieżka jedna, wzdłuż

150

Bugu, to my wiedzieli, że tędy ucieka. Reszcie kazaliśmy cicho siedzieć. I siedzieli.

- Zbiega dopadliście przy wodopoju Świrusa - domyślił się Wujek. - Ktoś widział ciało.

- Znaczy się, tak było, jak pan dyrektor mówi. Wietnamczyk krzyczał coraz głośniejsze i nie można go było uspokoić. A tam dalej jakby czyjeś kroki, i to całej grupy. Chyba my też świrowaliśmy ze strachu. Bo ja wyraźnie słyszał, jak Cygany na koniach jadą, te, co sto lat temu się tu potopili. Baliśmy się, że ten wrzask załatwi nas na amen. Kolega nie zdzierzył i jak trzymał w ręce noktowizor, tak i zamachnął się. Nie chciał Wietnamca zabić, ale sprzęt był wojskowy, radziecki, a tych byle jak nie robili. Trafiał w głowę. - Breloczek trząsał się coraz bardziej. - Skóra mi, panie dyrektorze, ścierpła i na wymioty

rwało. A ten nic, jakby prosiaka rznął. „Dawaj - mówi - trza go wrzucić w krzaki, żeby kto nie widział, i do tamtych wracać, póki się nie porozłazili po lesie”. Jak powiedział, tak zrobiliśmy. Tyle że mnie już coś jakby diabły pokazywali się w tych łozinach, jak dobrze błysnęło. Przeżegnał się ja i mówię do niego, żeby narzędzia zbrodniczego pozbył się, znaczy się tego noktowizora, co nam Ruscy dali. A on na to, że ja chyba zaczadział, sprzęt najlepszy chcę wyrzucać. Działa doskonale, tłumaczy, zobaczyć go przez inny noktowizor się nie da. Gdzie lepszy znajdziesz? Ja już go nawet i nie słuchał, tylko przyskoczył i sprzęt mu z ręki wyrwał, zamachnął się i wrzucił w wodę. Od razu poszedł na dno. Może ja i źle zrobił, ale bał się, że jak dochodzenie jakie zrobią czy co, to obaj będziem do końca życia cień w kratkę oglądać na ścianie.

151

- Dwa dni później ciała nie było.

- Rozchodzi się o to, co my z nim zrobili? Kolega obiecał, że jak burza przejdzie, to on wróci i zakopie. Ja wsadziłem ludzi do poloneza, część w bagażnik poupychałem jak śledzie, raz koło razu, i jeszcze w nocy pojechałem niby to po towar. Wróciłem na wieczór. Okazało się, że współnik spił się jak świnia, a Wietnamczyk nadal leży w chaszczach. Mnie też się nie spieszyło wyręczać grabarza. Człowieka bez chrześcijańskiego pogrzebu zakopiesz i jeszcze straszyl cię potem będzie, na co mnie to? Ale z drugiej strony, jak kto go tam zobaczy i dojdzie, czyja to sprawa? Wspólnika nikt nie będzie podejrzewał, ale o mnie wszyscy wiedzą, że na ryby chodzę. A jeszcze głupia baba co powie nie tak i nieszczęście gotowe.

- To jednak go pochowałeś?

- Obaj my w końcu poszli. Znaczy się, w niedzielę przed kościołem. Ludzie wtedy zajęte, obrządki kończą, na mszę się szykują, to i po lesie nikt łąził nie będzie. Zabrali my jego, aż pod Kodeń wywieźli i zakopali. Jak my go wynieśli do samochodu z tych krzaków, to ja wszystkie ślady pozacierał, bo je pierwej w błocie dobrze widać było. Potem, jak baba mnie powiedziała, że w lasku Świrusa policja się kręciła, to mnie włosy stanęli dęba. Kiedy, pytam, a ona, że jakoś po ósmej. Toż to nieledwie po nas! Ktoś musiał zobaczyć i donieść. Jak mnie później powiedzieli, że jakaś dziewczyna tego nieboszczyka znalazła, to zem se wykombinowałem, że ta od Borków... Jak jej tam?

- Ania.

Spocone dłonie kleiły się do parkietu. Miałam rację, to nie był zwykły wypadek!

Zaczęłam bać się Józia.

152

- Ale to nie ona, tylko ta od naszego weterynarza. Serce waliło mi tak, że chwilami nie słyszałam nawet

ich głosów. Przed oczyma miałam obraz pokiereszowanej Ani w stajni Borków. Jeśli mam podzielić jej los... Ale zaraz się zreflektowałam. Gdyby chciał mnie zabić, nie opowiadałby o tym wszystkim Wujkowi! Dawno już by się mną zajął. Może zbyt pochopnie oskarżam go o wypadek? Trudno nie wierzyć Ani, że sama podała koniowi lek przez pomyłkę. To nieszczęsny zbieg okoliczności, a nie próba usunięcia niewygodnego świadka.

Tylko co w tym wszystkim robiła Lolita? Odczuwałam taką niewygodę, że chwilami gubiłam wątek. Uniosłam się na rękach, żeby ulżyć obolałym łokciom.

- ...i dlatego jest źle, a będzie jeszcze gorzej - przekonywał Józio. - Unia wymaga, żeby granicę uszczelniać, to coraz więcej kupuje się helikopterów, różnej broni, radiostacji i samochodów. Pod Sławatyczami wszędzie zagradzają siatką, karczują las, a wopki coraz częściej organizują obławy. To i do nas dojdzie, tylko patrzeć. Na Odrze też coraz trudniej i ci z góry nie zawsze chcą od nas ludzi od razu odbierać. Czasem po dwa, trzy dni w stodole ich trzymamy, a to niebezpieczne. Tłumaczymy im,

że dopóki będą cicho siedzieć, nic im nie grozi. Jak wyjdą - budiem strielat!'. Choć po prawdzie broni to my ze sobą nie nosimy. W razie wpadki nikt nie oskarży, że przyłapał z niebezpiecznym narzędziem. Ale weź głodnemu przemów do rozumu! Pilnujemy ich, a co rusz któryś w las ucieka jedzenia szukać. Trochę im się tam niby nosi, ale niedużo, żeby ludziom się w oczy nie rzucać. Tu ogród Borków blisko, ciężko utrzymać. Jeden to

153

im nawet kurę z podwórza chapsnął i za pazuchą przy. niósł.

Zrozumiałam nareszcie cudowne zmartwychwstanie mojego Chin... Wietnamczyka. Ten, który leżał w lesie, i tamten widziany za stogiem Borków to dwaj różni ludzie! Oni wszyscy są tak podobni do siebie. Dlatego od razu pomyślałam, że to ten sam.

Rozdział czternasty

- Nie wiem, co ci poradzić, Józek... - Wujek westchnął.

Leżałam wciąż na podłodze w salonie. Na plecach, bo łokcie zdrętwiały mi już zupełnie.

Brelotek zabrzęczał wyczekująco. Józio opowiedział swoją historię jednemu człowiekowi, któremu ufał. Z Wujka w ogóle emanuje dziwna siła. Na przykład podchodzi do narowistego ogiera od strony zadu i klepie go po karku. Albo spojrzy na rozwścieczonego psa i może pogłaskać go po łbie, jak gdyby nigdy nic. Tak samo ma Wujek niesłychane podejście do ludzi. Miły i uprzejmy wobec wszystkich, ma posłuch u swoich pracowników. A Józio to już święcie wierzy w jego życiową mądrość.

- Wiesz, czym grozi organizowanie nielegalnego przekraczania granicy?

- Panie dyrektorze! - Brelotek brzęknął gdzieś w okolicy mojego ucha, aż się zdrygnęłam. Zapewne wysunął się Józio z ręki i potoczył po betonowych schodach. - W paragrafach to już ja się obeznał, jakby nie raz i nie dwa w pudle siedział. Znaczą się, kara pozbawienia

155

wolności od trzech miesięcy do pięciu lat. Artykuł dwieście sześćdziesiąty czwarty, paragraf trzeci kodeksu karnego.

Józio zaskakiwał mnie coraz bardziej.

- Ja by poszedł siedzieć z pocałowaniem ręki, panie dyrektorze, gdyby wiedział, że Ruscy mścić się nie będą. Bo jak sam się zgłoszę, pomyślą, że ich wystawił policji. Jak zaprzeczę, nie uwierzą. O, już ja ich znam! Nie na darmo kałaszy z Armii Czerwonej nakradli, jak do przetopienia na garnki szły... Moja se taką blachę do pieczenia od przyjaciół ze Wschodu kupiła, że nasze polskie to przy tej jakby folia aluminiowa.

- Może to z czołgu? - zainteresował się Wujek. - Czołgi to wiem, że rozbierali.

- Może i tak. Mnie samemu te ich kałasze niestraszne, i tak nagrzeszył niemało.

Człowieka zabić pozwolił i jeszcze pochował bez księdza. Toż on straszyc będzie. Niechby nawet i mnie sprzątnęli, ale baby szkoda. Toż i jej nie darują, a cóż ona? Bogu ducha winna. Ja to się przez cały miesiąc krył w domu, że niby chory, bo nie chciał nad wodę chodzić. Dopiero że wczoraj się przemógł i wieczorem przyszedł do pana dyrektora po radę, ale jak raz na gości trafiłem i juzem się nawet nie pokazywał. Bo ja taki plan obmyślił... - Brelotek znów poszedł w ruch. Józio chyba docierał do sedna sprawy. - Panu dyrektorowi tę amerykańską kobyłę skradli, a winny się nie znalazł. Ja bym się przyznał i trafił za kratki. Bo bym powiedział, że nie mam z czego oddać, a kobyła mnie zdechła. Co jej było, to się wymyśli. W sądzie uwierzą. Żuk na podwórzu jeszcze stoi; czasem nim żółtków woziło się, jak większa liczba się trafiła. No i kiedyś han-

156

dłowałem końmi, a to też nie byle co. Dadzą mi wyrok, zamkną i nad wodę nie będę musiał chodzić. A i zemsty mafii uniknę. Gdyby tylko pan dyrektor zechciał poświadczyć, że to ja ukradłem...

- Znam lepsze rozwiązanie - przerwał Wujek, ale nie dokończył myśli. W głębi podwórza rozległ się stukot kopyt. Potem ktoś zeskoczył z siodła. Dobiegło mnie rzenie, na które skwapliwie odpowiedziała reszta koni. No tak, w stadzie nie dostrzegłam rano Berberysa! Ale przecież Filip pojechał do Białej...

- Dzień dobry! - krzyknęła Irena spod stajni i, sądząc po odgłosach, zabrała się do rozpinania popręgu.

- To ja idę do tego koszenia. - Józio podniósł się, co poznałam po tym, że jego głos dobiegał do moich uszu nieco z góry. - Zacznę od owsa pana dyrektora, a potem pojedę do wsi.

- Rób, jak uważasz. Plandekę zaraz Borek przyniesie, bo pożyczął. A co do tamtej sprawy... - Wujek zniżył głos. - Pogadamy wieczorem.

Do wieczora czekać nie mogłam, zresztą kłopoty Józia obchodziły mnie o tyle, o ile wiązały się z Lolitą.

Ktoś zaczął wspinać się po schodach na werandę. Zaraz Wujek wejdzie do domu i odkryje, że podsłuchiwałam. Szybko zmykam do kuchni i udaję zajęta przygotowaniem śniadania.

Młody kierowca robi, co może, aby z fantazją prowadzić rozklekotany autobus, którym wracam do domu. Upał przytłacza, świat zamarł w bezruchu. Z wyjątkiem jaskółek, które śmigają po niebie niczym kursory po jasno-błękitnym ekranie komputerowego monitora. No i oprócz

157

starego jelicza z jedną pasażerką w środku. Rozpędzony pojazd co kilka metrów rozgniata krótkie martwe cienie, rzucane przez przydrożne słupy telegraficzne. Cienie leżą na asfalcie w poprzek ulicy, zupełnie jak dżdżownice po deszczu. Deszcz... Gdyby nie ta burza, o wiele łatwiej byłoby wpaść na trop Lolity. Ania pewnie usłyszałaby, że coś się dzieje, albo nawet jej obecność spłoszyłaby złodzieja. I po sprawie. Józio również twierdzi, że nic nie zauważył. Wierzę obojgu i wykluczam z grona podejrzanych, ale wciąż niepokoi mnie Irena. Na przykład dzisiaj. Przyjechała tak wcześniej, prawie w nocy. To nie jest normalne. Wzdrygnęłam się na wspomnienie tego, jak niedawno zaskoczyła mnie i Filipa niemal w łóżku. Instynktownie nie znoszę tej kobiety i nikt mnie nie przekona, że ona ma czyste sumienie.

Rozdział piętnasty

Wściekle kolorowe majteczki przyozdobiono geometrycznym wzorem w stylu lat osiemdziesiątych. Ten sam deseń, w jeszcze skąpszym rozmiarze, pojawiał się również na górze, opinając obfity biust. Miałam nieodparte wrażenie, że delikatne tasiemki, przytrzymujące bikini, pękną, gdy ciotka Bronka zrobi jeszcze jeden krok. Nadmiar ciała kołysał się w nich zgoła niebezpiecznie. Zdążyłam pomyśleć z przekąsem, że wygląda jak dobrze ob-rumieniony baleron, przewiązany zbyt krótkim sznurkiem. Ciotka jednakże nie zamierzała ryzykować katastrofy i zatrzymała się przed nami, rozkładając pulchne ramiona. Na posmarowanym olejkiem do opalania dekolcie załśniła brązowa skóra i złoty wisior. Nawet na leżak koło domu sobie nie żałowała...

- Mamusia! - pisnęła Cinka i wpadła w rozpostarte ramiona.

Przywiozłam ją wcześniejszym pociągami, żeby uniknąć scen wylewnej czułości na peronie. Zaskoczyłam tym ciotkę Bronkę. Zaczęła tłumaczyć się z negligu.

159

- Słońce tak rzadko pokazuje się w tym roku. - Zamachała paznokciami w odcieniu, który królował na jej symbolicznym kostiumie kąpielowym. - Grzech nie skorzystać,

kiedy tak ładnie świeci. A jak tam moja mała Inez?

- Cinka... - poprosiło dziecko bez przekonania.

- Dobrze się tym razem sprawowała? Przylapałam się na tym, że śledzę powietrzną wędrówkę fioletowych paznokci.

- Jak aniołek - zapewniłam zgodnie z prawdą. Nie tak jak wtedy, gdy trzyletniej wówczas Cince czytałam o tym, jak Staś i Nel zamieszkali w baobabie. Gdy zrobiłam przerwę na obiad i podgrzewałam jej zupę, zdażyła „zamieszkać” w bębnie pralki automatycznej. Tak skutecznie, że ciotka Bronka, wróciwszy wieczorem, zastała przed domem karetkę pogotowia i wóz strażacki. Nie wiem, czego bardziej wtedy potrzebowała: lekarza czy zimnej wody.

Żał mi było rozstawać się z małą, zwłaszcza że najwyraźniej miała się teraz stać kartą przetargową między sklóconymi rodzicami.

- Broszka, nie bądź taka smutna. - Ciepłe łapki objęły mnie za szyję. - Będziemy się odwiedzać. Przecież mieszkamy od siebie tylko o pięć kroków wielkoluda, prawda? Jakże mogłam się nie uśmiechnąć?

Wstąpiłam do redakcji „Słowa Podlasia” dać ogłoszenie, a naprawdę po to, żeby dowiedzieć się czegoś o Irenie Kwiatkowskiej.

- Chcemy zgłosić jej kandydaturę do samorządu lo-

kalnego - rzekłam bez zająknięcia. - Ale, rozumie pani, gdyby się okazało, że coś jest nie w porządku... - Zawiesiłam znacząco głos. Staralam się spoglądać porozumiewawczo.

Sympatyczna pani z biura ogłoszeń dała się nabrać. Nie zażądała dowodu, który potwierdziłby moją przynależność do Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Odetchnęłam z ulgą, bo - prawdę mówiąc - nie sądziłam, że to okaże się takie łatwe. Wybory w samą porę przysły mi do głowy. Ciotka Bronka wspomniała, że się zbliżają, i to mnie natchnęło.

Przycupnęłam na krawędzi krzesła, żeby nie pognieść eleganckiej spódniczki od kostiumu. Ubrałam się w nią, aby zrobić należyte wrażenie. Długie włosy spięłam w kok a la pracownica domu kultury.

- Wie pani... - zaczęła kobieta, przejęta rolą informantki. - Irena pracowała u nas przez kilka lat. W zeszłym roku... - ściszyła konspiracyjnie głos.

W biurze o tej porze siedziała tylko sekretarka porządkująca jakieś papierzyska, a drzwi od jej gabinetu były uchylone. Skryłam rozbawienie. Moja rozmówczyni miała minę urzędnika zdradzającego tajemnicę państwową. Postanowiłam ułatwić jej to zadanie.

- Tak, wiem o tej nieszczęsnej aferze z administracją. - Zrobiłam współczującą minę. - Dlatego chcemy umożliwić jej rehabilitację, w pewnym sensie. Pani mnie rozumie, prawda?

- Wybornie - poświadczyła z zapalem. - Naczelnny też się na to w końcu zdecydował.

- Czyżby?

160

161

- Na razie przystał na jeden artykuł. O Hubertusie w Kostomłotach, w takim ośrodku jeździeckim, nie wiem, czy pani kojarzy.

- Coś słyszałam.

Ach, więc to ona była autorką! A myśmy się zakładali, kto to, i tylko Wujek brał pod uwagę nauczycielkę.

- Obiecał, że pozwoli jej wrócić na etat pod warunkiem, że stworzy coś takiego, czego nie zdołałby napisać żaden z jego pracowników. Podobno ma już temat na oku i lada dzień zgłosi się do redakcji. Wszyscy czekamy, co to będzie. Jak znam Irenę, tekst nie przejdzie bez echa.

Nic dziwnego, że tak desperacko namawiała Józia do zwierzeń. A może ona przyjeżdża do Kostomłotów głównie dla niego? To by znaczyło, że nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Lolity. Mimo wszystko trudno mi w to uwierzyć. Tkwiłam na rogu ulicy Warszawskiej, przy której mieściła się redakcja tygodnika, i Zamkowej, gdzie znajdowało się znajome osiedle. Przed sobą - ponad rabatą kwitnącej kanny oddzielającą chodnik od jezdni - miałam widok na park otaczający pałac Radziwiłłów. Za mną, na przypominającym grocie postumencie, wznosił się pomnik herbu miasta. Wykuty z kamienia i pomalowany na biało, uskrzydłony patron triumfował na grzbiecie pokonanego smoka. We wzniesionej prawicy dzierżył miecz. W lewej dłoni ścisnął szalę wagi, zupełnie jak grecka bogini sprawiedliwości. Ta waga szczególnie mnie fascynowała. Sama byłam w rozterce i chętnie zdałabym się na decyzję podobnego urzędnika. Drogi miałam dwie. Normalny człowiek na moim miejscu poszedłby

162

na dworzec i wrócił do domu pierwszym pociągiem. Mnie kusilo, żeby pokręcić się pod blokiem Ireny. Na-wyzywałam się w duchu od niezrównoważonych psychicznie, ale poszłam. Jeżeli nawet nie odkryję niczego ważnego, to może chociaż intuiq'a szybciej mi tam coś podpowie, tłumaczyłam się przed sobą z tej dziwacznej zachcianki. Słońce lśniło w szybach samochodów na parkingu i rozpraszało się na estetycznych ścianach osiedlowych bloków, jeszcze nienaznaczonych mądrościami ludowymi w sprayu. Wygląd Zamkowej wywoływał odległe skojarzenia z nastrojem obrazów francuskich mistrzów impresjonizmu, miłośników miejskich widoków. Może dlatego, że Biała Podlaska żyła w tempie zbliżonym do tamtych miasteczek z początku wieku. Mieściła się gdzieś pośrodku między sennym Terespołem a rozbudzoną Warszawą. Popołudnie nie było jeszcze na tyle zaawansowane, by na osiedlowym skwerku natykać się co krok na spacerujące w objęciach pary. Trafiłam na czas matek z wózkami i zabaw w piaskownicy.

Minęłam dziewczynkę, prowadzącą za rękę małego chłopczyka, pewnie brata. Wydała mi się dziwnie znajoma. Aha, cukiernia. To ona tak narzekała na Irenę-Hienę, swoją polonistkę. Przez chwilę miałam chęć zaczepić ją i wypytać, ale zrezygnowałam. Nic mi to nie da, tylko ją przestraszę. Jeszcze mnie zapamięta i nie wiadomo, co z tego wyniknie. Raczej nic dobrego. Pozwoliłam więc uroczemu rodzeństwu oddalić się bez przeszkód. Oboje byli ciemnowłosi i bardzo ładni. Zwłaszcza uroczy dwuletni brzdąc. We wdzianku z wielkim portretem złotego

163

Pikachu wyglądał na zagorzałego fana pokemonów, zupełnie jak moja Cinka. Ale gdyby ubrać go inaczej, do złudzenia przypominałby dziecko z cygańskiego taboru. Przyłapałam się na refleksji, że chciałabym kiedyś mieć syna z Filipem, podobnego do tego chłopczyka. Wizja ta na kilka minut pochłoneła mnie całkowicie. Potem dostrzegłam trzy parasole z reklamą „Warki”. Kupiłam piwo z sokiem i usiadłam przy plastikowym stole wewnątrz małego osiedlowego sklepiku o ambicjach pubu. Zaszyłam się w środku nie tylko dlatego, że w ogródku tkwiło nieciekawe towarzystwo mistrzów sztuki niewy-lewania za kołnierz. Wyglądali tak, jakby pozyq'a siedząca wymagała od nich zbyt forsownego wysiłku, i choć dzielnie walczyli ze słabością, przypuszczałam, że wkrótce ułożą się wygodniej na kolorowej betonowej kostce. Sklepik był usytuowany naprzeciw bloku Ireny i nie chciałam, żeby odkryła moją obecność. Za to ja mogłam bez przeszkód obserwować wejście do jej klatki schodowej.

Przy trzecim piwie opadły mnie wątpliwości, czy dobrze robię. Dzieci, które tak mi się spodobały, dawno wróciły ze spaceru i weszły do bloku obok. Tu i ówdzie snuły się parki zadurzonych nastolatków. Przepych zachodu słońca odbijał się w oknach,

barwiąc szyby na złoty kolor. W kilku mieszkaniach zapalono lampy. Ciekawe, który balkon należy do Ireny i czy ona jest w domu?

To nie ma sensu, stwierdziłam, gapiąc się obojętnie na ścieżkę. Po co ja tu siedzę? Nawet jeśli zobaczę Irenę, w czym mi ten widok pomoże? Chyba że akurat wyprowadzi Lolitę na spacer, tak jak ta pani swego pieska.

Kobieta przykuwała moją uwagę od chwili, kiedy się

164

pojawiła. Trzymała na długiej smyczy automatycznej kundelka, mieszańca ratlerka. Piesek, młody i ciekawy świata, biegał po trawniku z nisko opuszczoną głową, łakomie węsząc zapach ziemi i czytając sms-y od kolegów z podwórka. Nagle zatrzymał się i podniósł oczy na swoją panią. Rozradowanym parsknięciem wyraził aprobatę dla pomysłu wypuszczenia go z ciasnego mieszkania. Przekrzywiwszy łebek, patrzył na kobietę wyczekująco. Szczeknął krótko, zapraszając do zabawy. Nie zareagowała. Odbiegł kilka kroków i znalazł jakąś gałązkę, malutką tak jak on. Ostrożnie chwycił zdobycz w zęby i przyniósł do nóg swojej pani. Wciąż nie zwracała na niego uwagi. Z przechylonym łebkiem, patrzył na nią dużymi czarnymi oczami, zupełnie jak Kiler, gdy bardzo o coś prosi. Wydał jeszcze jedno protestacyjne, rozżalone, ale wciąż pełne nadziei szczeknięcie. Dopiero gdy upewnił się, że kobieta go nie zauważy, zamilkł, urywając w pół tonu. Za to ja przyglądałam się jej z wyłożoną uwagą. Kogoś mi przypominała... Ale kogo? Była mniej więcej w wieku ciotki Bronki, chyba że drobne rysy twarzy nadawały jej wygląd trzydziestolatki. Sprawiała wrażenie intelektualistki. Krótko ostrzyżone włosy pokrywała farba w kolorze ciemnej wiśni, na rękę dostrzegłam gustowny zegarek. Trzymała tę rękę przy twarzy, nerwowo popalając papierosa. Czekala na coś lub na kogoś. Odruchowo popatrzyłam w tym samym kierunku, ale nie zarejestrowałam nic godnego uwagi. Ona chyba też nie, bo wyciągnęła drugiego papierosa. Zupełnie jak Irena. Przyszła mi do głowy niedorzeczna myśl, że może to są siostry i razem mieszkają. No nie, przecież ona wyszła z sąsiedniego bloku.

165

- Proszę pani, już zamykamy. - Sklepowa delikatnie zwróciła mi uwagę na nieubłagany upływ czasu.

- Już płacę. - Zerknęłam na zegarek.

Żal mi było opuszczać wygodne stanowisko obserwacyjne. Zwłaszcza że kobieta, która mnie intrygowała, tkwiła wciąż na tym samym miejscu. W żaden sposób nie mogłam uświadomić sobie, kogo mi ona przypomina.

Cofnęłam się za róg sklepu w ostatniej chwili. Irena nie zdążyła mnie zobaczyć. Z ukrycia obserwowałam rozwój wydarzeń. Piesek nawet nie szczeknął, kiedy zbliżyła się do kobiety z wiśniowymi włosami i cmoknęła ją na powitanie. Widać doskonale znał Żabioustą.

- Przepraszam za spóźnienie, kochana. Za to mam już dla ciebie te zdjęcia. Tym razem się udały.

- Dziękuję ci.

Nieznajoma odebrała papierową paczuszkę i włożyła ją do kieszeni dzianinowej kamizelki, którą miała na sobie dla ochrony przed wieczornym chłodem.

Irena nachyliła się i szepnęła jej na ucho coś, czego w żaden sposób nie dało się usłyszeć. Obca kobieta odpowiedziała równie cicho. I tak na zmianę. Okrutnie mnie tym denerwowały. W dodatku zrobiło się chłodno. Szkoda, że nie włożyłam rajstop albo przynajmniej dłuższej spódnicy.

Palila mnie ciekawość, co to za tajemnicze zdjęcia. Już raz podejrzałam Irenę, jak wynosiła od fotografa podobny pakunek. Odrzuciłam głupi pomysł, że przedstawiają klacz Wujka. Dziennikarka potrzebowała ich raczej do zilustrowania artykułu.

Wypadki ostatnich dni zdawały się potwierdzać moją tezę. Nie wiem, jak dalece oriento-

166

vwała się, co robi Józio, ale na pewno wiedziała więcej niż ja przed podsłuchaniem jego „spowiedzi”. Mogła przecież uwiecznić miejsca albo podejrzane ślady, a może nawet sam proceder? O tak, ona byłaby do tego zdolna! Zresztą nieraz wybierała się na konną przejażdżkę o zgoła nietypowej porze.

- Po ile stoisz?

Facet chwiał się na nogach i uśmiechał do mnie. Miał tygodniowy zarost i cuchnął alkoholem. Nie zauważyłam, kiedy zakradł się z tyłu, tak pochłaniała mnie obserwowana scena. Rozpoznałam w nim jednego z pijaczków. Towarzystwo rozeszło się godzinę temu i nie wiem, co tego osobnika skłoniło do powrotu. Zapomniał fajek czy co? Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów. Uciekłam bez słowa w kierunku przeciwnym niż dworzec, bo na ścieżce wciąż stały Irena i ta druga, zajęte omawianiem kwestii, interesującej głównie właścicielkę wiśniowych włosów. Chyba już mogę wrócić. Słońce poważnie chyliło się ku zachodowi. Dni były jeszcze długie, ale kiedy się ściemniało, to od razu. Jakby ktoś rzucił czarną derkę na siwego konia.

Oddaliłam się mocno od sklepiku i nie miałam szczególnej ochoty poznawać o tej porze zaułków starej części miasta - uliczek z pożydowskimi chałupami, sprytnie ukrytych za nowoczesnym osiedlem i dlatego niewidocznych od strony centrum. Niedoszły adorator pewnie już sobie poszedł albo zasnął gdzieś na ławce. Irena i ta jej przyjaciółka - bo chyba nią była - zapewne zdążyły się

167

już nagadać. Dlaczego nie rozmawiały w domu? Mieszkają w sąsiednich blokach. Nie mogła jedna drugiej zaprosić na kawę? Sytuacja nie była normalna. Coś w tym musiało tkwić, jak w tej chwili kamyk w moim pantoflu. Zatrzymałam się, żeby wytrząsnąć go z buta i przyszedł mi do głowy genialny pomysł.

Kobiet rzeczywiście już nie zastałam. Zbliżyłam się do drzwi klatki, z której wyszła wcześniej czerwonowłosa. Dobrze, że wtedy spojrzałam. To przez tego pieska, tak hałasował z radości, że idzie na spacer. Przyjrzałam się liście lokatorów. Siódme w kolejności widniało na niej nazwisko Miształ. Zupełnie jak na drzwiach prywatnej lecznicy w Kostomłotach. Towarzyszyły mu inicjały J. i R

A więc nie myliłam się. Wciąż jednak nie mogłam otrząsnąć się z szoku. Filip ma starszą siostrę! Dlaczego wcześniej nie wpadłam na to, że on wcale nie musi być jedynakiem tak jak ja? Dziewczynka z cukierni i mały „Cygan” to oczywiście jej dzieci. Podobieństwo jest uderzające. Nie odkryłam go od razu, bo mały przypominał mi jednocześnie... Filipa. Nic dziwnego, przecież byli spokrewnieni.

Jego siostra pali! To dlatego stale czuć od niego tytoń, choć zarzeka się, że nie jest nałogowcem. Zawstydziałam się własnej podejrzliwości. Muszę mu bardziej ufać. W końcu jesteśmy razem. No właśnie, tego tylko brakuje, żeby nakrył mnie na szpiegowaniu. Przecież niedługo wróci do domu. Szczepił dzisiaj żrebaki Wujka, więc trochę czasu mu zeszło, ale i tak cud, że nie natknął się na mnie pod własnym blokiem. Nie chciałam dłużej kusić losu.

168

Jednego tylko nie mogę pojąć. Dlaczego ukrywa siostrę przede mną? Raczej nie jest zamężna, skoro nie zmieniła nazwiska i mieszka z bratem. Czy Filip wolał, abym o niej nie wiedziała ze względu na ojca jej dzieci? Przecież nie wiem, kto nim jest. A może go znam? Czy to jemu J. pokaże te zdjęcia od Ireny? A może... ta dziewczynka w cukierni mówiła coś o ojczymie... Może oni są małżeństwem?!

Niedługo czekałam na odpowiedź. Wkrótce miałam się przekonać, że na wszystkie

pytania brzmi jednakowo: tak.

- Dlaczego Filip nie przyznaje się do siostry? - wypaliłam Wujkowi na dzień dobry. Słowo „żona” nie przeszłoby mi przez gardło, a w niepewności dłużej żyć nie mogłam. I to wcale nie ze względu na Lolitę.

Nie spałam całą noc i przyjechałam do Kostomłotów pierwszym autobusem.

Gospodarz oczywiście był przy koniach. Na nietypowe powitanie zareagował zdziwieniem wielkim jak kolejka do przejścia granicznego w dzień targowy. Pokrótce opowiedziałam mu o wczorajszym odkryciu. Kiedy skończyłam, milczał dłużej, niż wypadało. Mechanicznie wybierał ze żłobu żdźbła słomy. Potem spojrzał na mnie z powagą. W jego oczach malowało się zdecydowanie.

- Ktoś ci to musi w końcu powiedzieć. Jak nie on, to ja. Westchnął. Jego mina nie wróżyła nic dobrego.

- Joanna jest jego żoną.

Byłam przygotowana na taką odpowiedź, ale mimo to... Podobno przed śmiercią widzi się całe swoje życie. Chyba byłam jej bliska, bo przed oczyma przesunęły mi

169

się w jednej chwili wszystkie dni od czasu, kiedy poznałam Filipa. To, co w nim było tajemnicze, w kontekście słów Wujka tłumaczyło się jasno aż do bólu. Ze wstępu zbierało mi się na wymioty. Gardziłam jego wyrachowaniem i własną naiwnością. Czemu to cholerne życie układa się jak jakaś głupia telenowela? - kołatało pod czaszką, a głośno wyrwało mi się:

- To niemożliwe. Przecież Wujek by mi o tym powiedział.

Wyraz jego twarzy zgasił we mnie ten nierozsądny przeblysł nadziei. Gdybym tylko mogła pokrzyknąć i choć trochę sobie ulżyć! Zamiast tego spytałam spokojnie:

- Dlaczego mnie Wujek przed nim nie ostrzegł?

- Źle zrobiłem. - Nie patrzył mi w oczy. - Ale Filip tak mnie prosił. Uwierzyłem, że nie ma złych zamiarów. Zaklinał się, że cię kocha i sam się przyzna, tylko czeka na właściwy moment, bo nie chce cię stracić. Długo mu ufałem, ale teraz zaczynam wątpić. Wasz romans zaczyna mi przypominać coś, w co Filip już raz się wpakował. Ale tobie pewnie przykro słuchać takich rzeczy... - Zawiesił głos.

- Proszę mówić, jakoś to zniosę.

Zaśmiałam się o pół tonu za głośno, co Wujka całkowicie przekonało, że ma rację.

Mimo to kontynuował:

- Nie jesteś pierwszą ani ostatnią, którą w ten sposób uwiódł. Jak myślisz, dlaczego przestał pracować w Białej, bądź co bądź do niedawna mieście wojewódzkim? Wiesz, że dostał tam etat od razu po obronie dyplomu. A po dwóch miesiącach już się wynosił z lecznicy.

- Otworzył tutaj własną...

170

- To też, lecz wcale tak bardzo się do tego nie palił. Został zmuszony. Romansował z córką przełożonego, ot co. Dziewczyna nie miała osiemnastu lat, kiedy się poznali. Filip nie skojarzył, że jej ojciec to jego kierownik. Tamten był wtedy na praktyce zagranicznej. Zresztą nie utrzymywali kontaktów poza pracą i Filip nie znał jego rodziny. A ona przysłała do lecznicy z chorym kotkiem.

Schemat znany mi aż za dobrze. Chory kotek, chory piesek. Boże, za co pokarałeś mnie tak ciężką ślepotą?!

- Kiedy szef wrócił/ nieźle się mojemu siostrzeńcowi dostało. Omal nie stanął przed sądem. Do Kostomłotów później zwyczajnie uciekł. Zawsze był tchórzem. Dlatego ożenił się z Joanną.

Wujek jednym rzutem oka ocenił, że wytrzymam i tę część opowieści.

- Zrobił to chyba z przekory i to tuż po pierwszym roku weterynarii. Oboje mieszkali

w akademiku. Ona kończyła właśnie doktorat na wydziale humanistycznym. Po obronie zamierzała wrócić z córką do rodzinnej Warszawy. W końcu się nie obroniła.

- Wpadli. Stąd ten szybki ślub - domyśliłam się bez trudu.

Wujek skrzywił się.

- Nikt nie wierzył, że Filip zdecyduje się na małżeństwo. Parma z dzieckiem, dobrych kilka lat od niego starsza. Mówił ci, że był najlepszy na roku?

Potrząsnęłam głową-

- Specjalizował się w badaniach rozwoju płodowego koni. Profesorowie przepowiadali mu błyskotliwą karierę naukową. Od dziecka marzył o pracy w stadninie. A wiadomo było, że Joaska nie zrezygnuje z Warszawy.

171

Zresztą ona nie lubi zwierząt. Jej córka cały rok płakała o psa... Filip ożenił się nie z miłości i nawet nie z poczucia obowiązku. Chciał pokazać, jakie to dla niego małe piwo. Szczeniacka przekora, a nie odpowiedzialność.

Wujek odruchowo poklepał cisnącego się do jego rąk żrebaka. Maluch wymógł na nim kostkę cukru, schrupał ją i oddalił się w podskokach.

- A jednak zamieszkali na prowincji...

- Kiedy moja siostra, matka Filipa, zmarła na raka, przenieśli się do jej mieszkania w Białej. Oboje już się wtedy obronili i podjęli pracę na miejscu, niby tymczasowo. No i zostali. Teraz przeprowadzili się do większego mieszkania na nowym osiedlu. Joanna i dzieci mają bliżej do szkoły.

- Czy ona jest nauczycielką? - przerwałam, przypominając sobie rozmowę gimnazjalistek.

Wujek skinął głową. Teraz rozumiem, skąd ta zażyłość z Ireną! I niestety domyśliłam się jej roli... Nie na darmo intuicja mnie przed nią ostrzegła!

- Nie układa się im to małżeństwo od początku -ciągnął. - Ją drażni prowincja, on romansuje na prawo i lewo. Lepiej, żeby tego związku w ogóle nie zawierali. Filip potrzebuje partnerki, która doceni jego zawodowe aspiracje. Myślałem, że wreszcie znalazł kogoś odpowiedniego. O tobie mówił zupełnie inaczej niż o poprzednich swoich kobietach. Wspominał nawet o rozwodzie. Żona jeszcze nie wie o jego planach. Cierpi na nerwicę i bierze silne leki. Nie wolno jej teraz denerwować. Ostatnio była już pewna poprawa i wkrótce może je odstawi. Dlatego Filip musiał się trochę wstrzymać. Ale obiecał, że się rozstaną. Tylko dlatego zgodziłem się milczeć...

172

Przed bramą wyhamował biały volkswagen. Pożegnałam się i umknęłam, zanim Filip zdążył z niego wysiąść.

Wiedziałam, że zadzwoni jeszcze tego wieczoru. Obiecałam sobie, że nie podniosę słuchawki. Bez względu na to, czy miał wobec mnie poważne zamiary, czy od początku bawił się moim kosztem, czułam się przegrana jak nigdy dotąd. Nie mogłam pogodzić się z tym, że to Filip tak mnie oszukał. Mój Filip. A jednak stało się.

Po raz pierwszy pomyślałam o Joannie jako o jego żonie. Tak, mogła się podobać.

Gdyby jeszcze nie ta szara od papierosów cera i głębokie cienie pod oczyma...

Zapewne ja niechcący przyczyniłam się do ich powstania. Nienawiść ustąpiła we mnie miejsca współczuciu. Zobaczyłam nieszczęśliwą kobietę, matkę dwojga dzieci, która od dawna walczy o utrzymanie swego związku z młodszym mężczyzną. Która przeczuwa albo nawet wie, że mąż jej nie kocha, więc desperacko ucieka się do szantażu. Nietrudno domyślić się, kogo sfotografowała dla niej Irena... Ale nerwica? Obawiam się, że to wymysł Filipa. Chociaż potrafię wyobrazić sobie, że można przez niego chorować. Jeżeli Joanna naprawdę cierpi, to jej stan raczej się nie poprawi. Sama sobie dostarcza wstrząsających przeżyć przy pomocy przyjaciółki. Będzie obłędnie trzymała się męża, wykorzystując w tej rozgrywce swoje dolegliwości - prawdziwe czy

też nie - a on naturalnie jeszcze przy niej zostanie. Dla ich dziecka tak będzie lepiej. A jeśli rzeczywiście się rozwiodą? Wyobraźnia perfidnie podsuwała mi wizję przyszłości u boku Filipa. Nie,

173

jedno wiem na pewno. Między nami koniec. Choćby ze względu na jego rodzinę - wyrzuty sumienia nie dadzą mi się nim cieszyć. A poza tym, jak on mnie potraktował? Nie mam najmniejszej ochoty oglądać tego drania. Nigdy w życiu.

A jednak odebrałam telefon. Spodziewałam się, że Filip będzie się tłumaczył i nie pomyliłam się.

- Broszka, kotku, zrozum mnie - mówił najszybciej, jak potrafił, na wypadek gdybym miała zamiar odłożyć słuchawkę. - O tym małżeństwie dawno chciałem ci powiedzieć. Jak tylko się poznaliśmy.

Przewidziałam, że to usłyszę.

- Ciekawe... Szkoda, że nie uległeś tym chęciom ani razu!

- To nie było takie proste. Ty od początku uznałeś mnie za człowieka wolnego stanu, a ja nie wyprowadzałem cię z błędu, bo nie przyszło mi nawet do głowy, że się w tobie zakocham. A potem za bardzo zaczęło mi na tobie zależeć, żebym odważył się przyznać tak ni z tego, ni z owego. Jeśli to zrobię, mówiłem sobie, ona nie zechce mieć ze mną nic wspólnego. Znałem twoją opinię o ciotce Bronce i po prostu bałem się, że mnie rzucisz. Broszka, ja się rozwiodę. Nie potrafię bez ciebie żyć.

Kiedyś wyobrażałam sobie, że takie słowa z ust mężczyzny, którego kocham najbardziej na świecie, mogą mnie tylko ucieszyć, ale teraz wcale nie odczuwałam radości.

- Broszka, słyszysz mnie?

- Jasne, cały dom słyszy. Nie musisz tak krzyczeć.

- Przepraszam, to ze zdenerwowania. No więc, nie

174

mogłem ci tego o sobie powiedzieć, bo wiem, jaki masz stosunek do małżeństwa.

- To powinieneś także wiedzieć, co myślę na temat rozwodów! Zwłaszcza że całkiem niedawno mieliśmy okazję o tym rozmawiać. Nawet nie proponuj takiego rozwiązania. Niczego nie proponuj. Nie chcę cię więcej znać!

Rozłączyłam się. Słuchawka opadła na widełki, zanim zdążyłam się rozplakać. Skulona na materacu obok Kitera, znów nie spałam całą noc.

Rozdział szesnasty

Siedząc na drewnianym żłobie w obszernej stajni Maćka, patrzyłam na gwiazdy przez maleńkie okienko pod sufitem i udawałam, że jest tak jak kiedyś, gdy wieczorami przesiadywałam u Kasztana, zwierając mu się ze swoich dziecięcych utrapień. Ale nie było. Nawet zmęczenie całodzienną pracą w polu nie na wiele się zdawało.

Dziadkowie, ostatnio podenerwowani obawą o deszcz, doczekali się wreszcie kombajnu z kółka rolniczego. Żni-wozaura, jak go określała Cinka. Co jakiś czas maszyna zatrzymywała się w wyznaczonym miejscu, kombajnista wyglądał ze swojej kabiny i ustawiał prostopadłe do niej wielką metalową rurę. Sypało się z niej na podstawioną plandekę czyste złoto. Za każdym razem czekaliśmy w napięciu do ostatniego ziarenka. Bo może jeszcze trochę, odrobinę więcej... Później chwytano się za worki i napełniało je, zagarniając zboże wiadrem albo rękoma. To należało do mnie i babci. Dziadek zaprzęgał Maćka i kursował do stodoły z pełnymi workami. Starannie je liczyliśmy, żeby porównać z ubiegłorocznym plonem i odpowiednio cieszyć się lub zamartwiać.

176

Nie umiałam się tym przejmować tak jak kiedyś. Za bardzo byłam biedna, samotna i nieszczęśliwa. A teraz, siedząc w stajni, nie odpoczywałam. Męczyły mnie wczorajsze

przeżycia. Musiałam po drodze zdrowo trzepać czubkiem pantofla w jakąś puszkę Pandory. Starocie to było potworne, jeszcze z czasów starożytnych Greków, i nic dziwnego, że kopnięte paskudztwo rozpadło się na kawałki i uwolniło same kwasy. Bo czym innym wyja~nić fakt, że w ciągu doby rozstałam się z Cinką, przesiedziałam jak głupia kilka godzin nad szklanką z piyvem' którego nawet nie lubię, zostałam wzięta za dziwkę i na koniec dowiedziałam się, że historia naprawdę lubi się powtarzać i robi to z równą ochotą, z jaką żrebaki Wtjka tarzają się w piachu, a wszyscy mężczyźni są tacy sal*1*. Jedna im nie wystarczy, niech będzie, że taka już ich ^a~ tura. Ale dlaczego obaj - Paweł i Filip - ukrywali sit? z tym faktem tak długo, aż dowiedziałam się z inrieg0 źródła?

We mnie musi być coś, co przyciąga takich facetów-Coś, co sprawia, że nie szanują mnie choćby na tyle, ż^by przynajmniej nie okłamywać. Trudno się z tym pog°" dzić, ale widocznie nie jestem nic warta. I nawet nie udało mi się znaleźć Lolity. Zaraz, Wujek mówił, że ona m°~ że być w Warszawie... Trzeba obdzwonić koleżanki Z liceum. Może któraś mogłaby pomóc?

Jakoś nie chce mi się ruszać. No właśnie, do tycn wszystkich nieszczęść jeszcze nie mam osobistego telefonu! Przecież komórki pojawiły się powszechnie w n&d-bużańskich wsiach, gdzie jeszcze w latach dziewięćcb2ie" siątych telefonem dysponował wyłącznie sołtys, a i to czynnym do szesnastej. Teraz wszyscy kupują zestawy

177

za symboliczną złotówkę i biegają z nimi, umawiają si tą drogą... A ja nie, bo większość kieszonkowego prze znacmam na jazdę konną, żeby Filip za mnie nie płacił Taka współczesna niezależna dziewczyna. I po co mi t było?

Muszę przestać o tym myśleć, bo za chwilę dojdę d wniosku, że wyłącznie z powodu braku owej zdobycz cywilizacyjnej biorą się moje problemy sercowe i wszel kie inne. W stajni ciepło pachniało koniem. Gwiazdka na czol Maćka bielila się w mroku na tle ginącej w ciemnościac, jego sylwetki. Stał spokojnie przy ścianie. Zsunęłam si ze żłobu i podeszłam do niego. Ostrożnie, na wycucie dotknęłam mechatego pyska. Z bliska widziałam zwie rzę wyraźniej. Wałach nastawił uszy i nasłuchiwał. Kied zbliżyłam się jeszcze o krok, przyjaźnie chwycił mnie z rękaw roboczej koszuli. Nagle zapragnęłam objąć g za szyję i przytulić się z całej siły do tej dobroduszne mordy z wydętymi zamszowymi wargami. Staliśmy ta' przez dłuższą chwilę, aż nie wiedziałam w końcu, czy t jeszcze Maciek, czy duch Kasztana wcielił się w niego aby mnie pocieszyć. Bo zrobiło mi się wreszcie lżej n duszy. W obecności tego ogromnego stworzenia Filip przestawał być taki ważny... Nagle jakiś owad znienacka ugryzł konia w łopatkę. Ten zamachnął się potężnie głową, aby go odpędzić. Nieuprzedzona o takiej ewentualności, nie zdążyłam uniknąć ciosu i siłą rozpędu zatoczyłam się na jego bok. Łapiąc równowagę, mocno oparłam się o niego plecami. Wtem tuż obok mojej prawej brwi kłapnęły obnażone zębiska, białka wielkich oczu upiornie błysnęły w czerni stajennego wnętrza i zgasły,

178

a wzburzona grzywa opadła na mój policzek. Zanim zdążyłam się odsunąć, Maciek wierzgnął potężnie, trafiając zadnią nogą w przeciwległą ścianę. Nie wiem, kiedy i jak znalazłam się znów przy żłobie. Koń natychmiast się uspokoił. Minęła dłuższa chwila, nim uświadomiłam sobie, co się stało. W pierwszym odruchu wzięłam zachowanie zwierzęcia za oznakę szaleństwa. Byłam pewna, że za chwilę nastąpi to, co w stajni Borków. Ale nic takiego się nie działo. Tylko ja zapomniałam, że Maciek zwyczajnie cierpi na klaustrofobię. To znaczy, że panicznie boi się ciasnych, zamkniętych przestrzeni. Na co dzień tego nie widać. Dni spędza na pastwisku z szerokim horyzontem, choć uczepony na łańcuchu. Nocuje w dużej stajni, w której

wcześniej mieściła się para klaczy z przychówkiem. Samochodem go nigdzie nie przewożono, bo i nie było po co. Nic dziwnego, że zapomniałam o tej jego fobii, jaką niektóre jednostki - nie tylko ludzkie - mają od urodzenia. Już kilka razy zdarzyło mi się oprzeć o niego zbyt mocno, gdy stał przy ścianie. Kiedy poczuł się jak w kleszczach, żadna siła nie była w stanie powstrzymać go od desperackiej obrony przed śmiertelnym niebezpieczeństwem. Bo za takie je chyba uważał.

Przed chwilą znów popełniłam ten błąd. Na szczęście nic się nie stało ani mnie, ani koniowi. Podeszłam do miejsca, w które rąbnął kopytem. W mdłym świetle, wpadającym przez malutkie okratowane okienko, nie za dużo dało się zobaczyć. Przynajmniej żaden pustak stąd nie wyleciał. Ani poidło nie zostało strzaskane, tak jak w boksie Lolity u Wasyla. Przypomniałam sobie, że klacz

179

buntowała się w ciężarówce, a za przyczepą z cielakiem szła spokojnie. Potem wariowała w nowej stajni i kiedy wciskano ją między dyszle od bryczki... Może na to ostatnie Maciek akurat nie był specjalnie wrażliwy, widocznie jakoś mu się nie kojarzyło z zamknięciem. Ale pozostałe objawy dało się odczytać w jeden sposób: Loli-ta cierpi na klaustrofobię!

Właściwie trudno dziwić się Wujkowi i całej reszcie, że dotąd nie wpadli na to proste wyjaśnienie zmiany w jej zachowaniu po kradzieży. Do Polski klacz wracała przecież niczym królowa - miała do dyspozycji obszerną kabinę wybitą materacami. A potem Wujek przywiózł ją z lotniska swoją przyczepą, w której mieszczą się swobodnie dwa dorosłe konie. Prosto z niej powędrowała do swego nowego domu, obszernej szopy, od wiosny do jesieni niezamykanej nawet na noc. Do pracy konia pociągowego tym bardziej nikt kobyłki nie przyuczał. Nic dziwnego, że jej lęk przed ciasnotą się nie ujawnił.

- O, cholera! - wyrwało mi się. Niechcący przy tym naśladowałam Filipa. A wszystko dlatego, że uświadomiłam sobie pewną rzecz. Było bardzo prawdopodobne, że Lolita znów zdemolowała komuś stajnię, na jej nieszczęście zbudowaną standardowo, dla jednego konia. I że ten nowy, nieznany właściciel, który nie odpowiada na ogłoszenia Wujka, oddał ją na rzeź, kiedy tylko zaczęła wariować po zamknięciu w boksie.

- Nie mamy szans na jej odzyskanie - zwierzyłam się gniademu koniowi, który teraz stał spokojnie, zjadając bez pośpiechu, ale do czysta, swój wieczorny obrok. -I dobrze mu tak! - dodałam ze złością. Miałam na myśli Wujka.

180

Seria olśnień widocznie się jeszcze u mnie nie skończyła i w kolejnym przebłytku natchnienia nabrałam pewności, że zmówił się z Filipem. Żaden z nich nie powiedziałby mi o Joannie, gdybym sama nie wpadła na jej trop. To męska solidarność czy coś więcej?

Nigdy więcej nie odwiedzę Kostomłotów, skoro Wujek też okazał się nieszczerzy. Kto jak kto, ale on? A wszystko tam przypomina mi Filipa.

Tylko jutro zabiorę swoje rzeczy.

Jednak nie zrobiłam tego. Za to leżę z Edytą na plaży. Kiler popisuje się, balansując na nadmuchiwanym poduszce, która kołysze się na powierzchni wody.

Miałam nikomu nie mówić o zerwaniu z Filipem, tym bardziej o przyczynach, ale nie wytrzymałam. Jeszcze wczoraj wieczorem zadzwoniłam do niezawodnej przyjaciółki, żeby pożalić się, jaki ten świat podły. Skutek tej rozmowy jest taki, że opalam się tu na piasku, obserwowana przez chłopaków z sąsiednich koców, zamiast oplakiwać stare kąty w Kostomłotach. Po strój do jazdy konnej zdążę pojechać, nie ma pośpiechu.

Edyta ma zawsze świetne pomysły. Sama nie domyśliłabym się, że właśnie tego potrzebuję. Wypad jak za dobrych czasów podstawówki. Wtedy kąpielisko w Kobylanach okupowało się całą paczką. Później ludzie pozmieniali się albo porozejeżdżali

do różnych szkół i z dawnych przyjaźni przetrwała tylko ta ze wspólnej ławki. Przed chwilą prezentowałyśmy nasze pływackie umiejętności, ściągając uwagę co najmniej połowy plażowiczów. Jak to dobrze, że Paweł nauczył mnie tylu popisowych ewolucji. Filipowi za to zawdzięczam szczupłą,

181

zgrabną sylwetkę. Od niezliczonych godzin spędzony w siodle ukształtowały mi się zupełnie przyzwyczajone wszystkie mięśnie tych okolic, na których urodzie szczerze mi zależy. A brzuch stał się twardy i sprężysty ni czym piłka lekarska, i zupełnie płaski bez wciągania. Przynajmniej na coś mi się obaj przydali! Z łatwością mogłabym poderwać na przykład tego długowłosego blondyna, który od dłuższego czasu gapi się na mnie z ciemnych okularów. Nietutejszy. Zbudowany... nie wiem, całkiem, całkiem. Siłowni raczej nie omija. W do datku ma na kłacie wytatuowany portret dzikiego kota. On może być interesujący...

Kilerowi znudziło się pływanie i wrócił do nas, p drodze energicznie masując dżiasta nieszczęsną poduszka. Złożył ją obok mojej emulsji do opalania i popędzi do dzieciaków. Grały w piłkę na płyciźnie przy brzegu. Przyjęły go z hałaśliwą radością. Dopiero teraz zaczynał się prawdziwa zabawa. Plażowicze zainteresowali się jaki figiel tym razem przyjdzie psu do mądrego łba. A o~ miotał się między barwnymi kąpielówkami niczym rud błysk. Nie da się ukryć, że napawa mnie potężną dumą. Jest śliczny, kochany i wierny. No i nie oszukuje...

- Wiesz co, Eda? Nie daruję mu tego - rzekłam w nagłym przypływie furii. Moja przyjaciółka w lot złapał myśl i nie pomyliła psa z Filipem.

- Masz rację. - Podniosła się na łokciach i zdjęła ciemne szkła. - Najgorsze to, że kłamał.

- Że też ja go wcześniej nie przejrzałam! - piekliłam się ściszone głosem. - I nie domyśliłam się, o co chodziło Irenie, gdy się tak koło nas kręciła!

Edyta usiadła na kocu i sięgnęła po nawilżające mlecz-

182

ko. Z Włoch wróciła jako Mulatka, a zanosilo się na to, że całkowicie zmieni rasę. Smarując ramiona, zauważyła ze zdziwieniem:

- Przecież mówiłaś, że ma na imię Joanna.

- To jego żona, a mnie chodzi o tę babkę, która układa konie Wujka. Od początku jej nie lubiłam bez logicznego uzasadnienia. Irena robiła nam zdjęcia. - Mimowolnie wzdrygnęłam się na wspomnienie jej wtargnięcia do salonu. - Piekla dwie, co ja mówię, trzy pieczenie na jednym ogniu - ciągnęłam. - Mogła jeździć konno, śledzić poczynania Józia w poszukiwaniu prasowej sensacji i obserwować nas. To ostatnie oczywiście na prośbę przyjaciółki obawiającej się zdrady męża. Pracują razem w szkole i mieszkają w sąsiednich blokach, więc gdy tylko Filip dzwonił, że wróci później, Joanna wysyłała szpiega. W wakacje Irena była cały czas do jej dyspozycji, bo i tak przecież jeździła na konie. Może nawet zazdrosna żona płaciła jej albo jakoś inaczej się rewanżowała? Teraz sobie przypominam, że Kwiatkowska często pojawiała się w Kostomłotach zaraz po nas. Wreszcie rozumiem też pewne zdarzenie...

Opowiedziałam, jak zachowała się Irena, gdy któregoś razu nie zastała nas w ośrodku, bo w tym czasie byliśmy u Wasyla. Nic dziwnego, że to ją zdezorientowało.

- Wszystko to niegłupie, ale o jednym nie pomyślałaś - przerwała mi Eda. - Jak Filip mógł nie rozpoznać przyjaciółki swojej żony, i w dodatku sąsiadki?

- To proste. - Nie dałam się zbić z tropu. - Zapominasz, że to ich osiedle jest zupełnie nowe i nikt nie mieszka tam dłużej niż miesiąc. Przez ten czas mogli się nie minąć ani razu. A znajomość z Joanną? Pewnie ze szkoły.

183

Irena przy okazji jakiejś pogawędki w pokoju nauczycielskim mogła pochwalić się

swoim hobby. Filip zapewne tłumaczył się z późnych powrotów do domu koniecznością doglądania stadniny. Czy tak trudno wpaść na to, że jeśli nie kłamie, Irena powinna go tam spotkać? Joanna poprosiła ją, żeby zwróciła uwagę na jej męża.

- A ta, ujrzawszy go w młodym damskim towarzystwie, wyczuła nosem możliwość wykrycia przestępstwa. Przecież to uwielbia - podchwyciła Edyta.

- Niestety. Założę się, że sama zaproponowała zrobienie zdjęć i doskonale bawiła się w paparazzi naszym kosztem.

Chwyciłam emulsję i również zaczęłam nacierać się równomiernie, dla odmiany zaczynając od stóp. Edyta rozsmarowała sobie resztki mleczka na łydkach i zatrzasnęła wieko tubki.

- Pewnie było tak, jak mówisz. Ale jeśli Joanna nie chce rozwodu, to po co jej te fotografie?

- Żeby postraszyć Filipa. Pokazać, że ma nad nim przewagę i może oskarżyć go o zdradę, jeśli zechce. Liczy na to, że wywoła w nim poczucie winy, skruchę i nawrócony mąż prędko do niej wróci.

Pochyliłam się, wcierając kosmetyk w okolice ud, i długie, luźne włosy zasłoniły mi twarz od strony Edyty. Bardzo tego potrzebowałam.

- A spryciarz wykorzysta je do uzyskania rozwodu. Dla ciebie postara się wymóc go na niej, przecież obiecał. Może jeszcze nie będzie tak źle, co?

Podniosłam głowę i popatrzyłam na Edę głęboko rozczerowana. Nic nie zrozumiała.

- Słuchaj uważnie, bo ci przyłożę, jak się zdenerwuję.

184

Mówiłam ci: nie wierzę, że Filip naprawdę zamierza się rozwieść i że... że mnie kocha. Bolało jak cholera, ale jakoś przeszło przez gardło. A co ujęte w słowa, to już jakby nie takie wielkie i przytłaczające.

- Zresztą nie popieram rozwodów - dorzuciłam/ przypominając sobie przede wszystkim Cinę, a zaraz po niej małego „Cygana” i dziewczynkę z cukierni.

Przystojny blondas zdjął okulary przeciwsłoneczne i rzucił kłapki. Przechodząc koło naszego obozowiska, puścił do mnie perskie oko. Uśmiechnęliśmy się do niego i też ruszyliśmy w stronę brzegu. Za nami podniosło się kilku osiłków.

- Chodź, poprzekomarzamy się z chłopakami i damy im się poderwać na to popołudnie - szepnęłam do Edyty, gdy zanurzyliśmy się w ciepłą wodę. Kiler dołączył do nas, wyczuwając, że szykuje się zabawa.

- Sprawdzimy, czy nasza moc jeszcze działa. - Eda zachichotała i ochlapała mnie.

Nie pozostałam jej dłużna. Któryś z chłopaków zaczął nam sekundować, inni włączyli się do walki P^o jednej lub po drugiej stronie. Pies szczekał zdeorientowany i pełen pretensji o wodę w uszach, ale szczęśliwy/ ze coś się dzieje.

Zrobiło się wesoło. To nic, że nie mogę napomnieć o Filipie. Nie tak od razu, ale za jakiś czas r»a pewno mi się to uda. A potem może wreszcie zbuduję jakiś zdrowy związek.

Wychodziłyśmy już na brzeg po wodnych szaleństwach, kiedy Edyta, pomiędzy jedną a drugą dowcipną odzywką do naszych adoratorów, rzuciła mi n# stronie:

185

- Dobrze, że sobie przypominałam. Zaproszenie od mojej siostry jest wciąż aktualne. Odpowiada ci najbliższy weekend?

- Jasne.

Im szybciej, tym lepiej. Chętnie się stąd wyrwę na kilka dni. Może poznamy kogoś ciekawego? Nawet nie przypuszczałam kogo!

Osuszyłyśmy się ręcznikami i zbierałyśmy powoli do domu. Przyjechałyśmy nad wodę rowerami i tak samo zamierzałyśmy wrócić, odmawiając przyjęcia zaproszeń na piwo i podwiezienie samochodem.

Nad kąpieliskiem zapadał wieczór i tłum powoli opuszczał plażę. Podnoszono z ziemi rowery i motorynki, uruchamiano silniki. Jakiś opel brnął pod prąd i zatrzymał się naprzeciw nas po drugiej stronie wody, w której taplała się jeszcze para zajętych sobą nastolatków. Czyżby surowy rodzic któregoś z nich? Nie byłabym sobą, gdyby mnie to nie zainteresowało, toteż wyjątkowo opieszale pakowałam do plecaka swoje rzeczy. Z auta wysiadła ku memu zdziwieniu ciotka Bronka. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Choć z daleka trudno było ocenić, czy nosi wystarczającą jak na nią ilość biżuterii, to dwuczęściowy kostium kąpielowy w duże fioletowe romby położył kres wszelkiej niepewności.

Tym razem nie ona kierowała. Najwyraźniej pogodzili się z wujem, co zakrawało na cud. Poznałam jedną z jego koszul na kierowcy. Był - jak to on - w okularach z przydymionymi szklami. Po ostatnich przejściach w domu wyraźnie zeszcupłał. I zaczął nosić młodzieżową czapkę z daszkiem. Chyba chciał się podobać.

186

Pokazałam Edzie mamę Cinki. Przyjrzała się jej wyjątkowo uważnie.

- To jest ta twoja dotka Bronka? - upewniła się, zapinając torbę, w której przed chwilą upchnęła mokry ręcznik, nie troszcząc się o złożenie go w równą kostkę.
- A co, za młodo wygada?
- Nie o to chodzi. Ja- me wiem, czy powinnam ci o tym mówić, ale chyba lepiej, żebyś wiedziała.
- O czym? - Puściłam perskie oko do Kuby, blondyna z tygrysim tatuażem. Szkoda, że musiał się już z nami pożegnać.
- To ją widziałam Wtedy z Pawłem w restauracji.

łam się tak wiele o moich byłych mężczyznach, i wszystko to był jeden koszmar. A spotkanie z Pawłem wczoraj nad wodą? Jakbym jeszcze nie miała dosyć po rozczarowaniu Filipem. No, ale przynajmniej wiem, dla kogo ciotka Bronka rzuciła wuja i zaniebuje córkę.

Deszcz przechodził w mżawkę i kiedy wysiadłam z autobusu, zaledwie kropiło. Zdevastowany przystanek tonął w ogromnej kałuży błota i nie udało mi się odczytać, o której mam powrotny. Po krótkim wahaniu zrezygnowałam z poproszenia o to zarośniętego pijaczka, który pod osłoną daszku delektował się miejscową „Arizoną”. Wyglądał pocziwie, ale niewykluczone, że promile - systematycznie wchłaniane od dnia, w którym rozwiązano pegeer - zdążyły wpłynąć na zdolność percepcji, zwłaszcza słowa pisanego. Zresztą po pamiętnym spotkaniu za sklepowym rogiem nie miałam ochoty na bliższe kontakty z podobnymi typami.

Zdołowana, powlokłam się skrajem szosy. Za chwilę samopoczucie siadło mi kompletnie, gdy ciężarówka z reklamą dojrzewalni bananów na burcie wyminęła mnie z prędkością wozu strażackiego wezwanego do pożaru w najdalszym krańcu gminy. Oczywiście ochlapała mnie brudną wodą z jezdni. Żeby tego uniknąć, musiałabym wskoczyć komuś do ogródka, bo pobocze prawie nie istniało. Zła jak osa, powędrowałam w stronę znajomego zakrętu.

Przed domem Borków zobaczyłam Anię i humor mi się nieco poprawił. Nareszcie wypuścili ją ze szpitala! Tkwiła na leżaku pod papierówką, cała w bandażach, przykryta kocem. Ale wyglądała na zdrowszą.

- Opalasz się o tej porze? - zagadnęłam bez polotu.

189

- Chciałam pobyć na świeżym powietrzu. Wciąż tylko leżę i drzemię z nudów, i nie chce mi się już spać. Zresztą wstawałam o szóstej, kiedy malowałam płoty Wujka... Zabrzmiało to dosyć żałośnie. Czy Ania będzie jeszcze kiedyś jeździła konno? Miałam świeżo w pamięci dzień, kiedy lekarze powiadomili nas wreszcie, że jej kręgosłup jest w porządku i będzie mogła chodzić.

- Wiesz, rodzice planują kupić nowego konia jesienią, kiedy sprzedamy tuczniki. Dopilnuję, żeby był ogólnu-użytkowy.
- Już wiedziałam, dlaczego wydawała się zdrowsza. W jej oczach znów lśniły te marzycielsko-naiwne ogniki. A może nie tak całkiem naiwne? W końcu jej plany, tak czy inaczej, się spełniają. Tylko czy ona z nich skorzysta? Lepiej było o tym milczeć, skierowałam więc rozmowę na pogodne wody miejscowych ploteczek. Trochę się działo podczas mojej nieobecności, a ja lubiłam wszystko wiedzieć.
- Zapomniałabym o najważniejszym! - Ania chwyciła się za głowę, co oznaczało, że z jej obojczykiem jest już lepiej. - Józio się wyprowadził.
- Co ty powiesz? - autentycznie się zdziwiłam.
- Miał niesamowity fart. Dostał spadek po kuzynce ze Szczecina, przyzwoitą kamienicę z ogródkiem. Nie pochwalił się od razu, aż pozałatwiał wszystkie formalności i dopiero wtedy ogłosił całej wsi, że wyjeżdża na zachód. Sprzedał sklep i krowę, a wczoraj z rana wyniósł się z resztą dobytku. Ten to ma szczęście! Ale chyba wcześniej były jakieś komplikacje prawne z tym spadkiem, bo ojciec mówił, że Józio od tygodnia jakiś dziwny...

190

Musiałam szybko ugryźć się w język, żeby nie wygadać, jakie to problemy natury prawnej dręczyły naszego poczciwca. Jakie to głupie, że trzeba oszukiwać przyjaciółkę! Ale im mniej osób wie o przeszłości Józia, tym dla niego lepiej. A tu okno jest przecież otwarte i Borkowie pewnie wszystko słyszą, jeśli nie są akurat przy rannym obrządku.

Swoją drogą, Wujek sprytnie to wykombinował. Józio miał przecież sporo pieniędzy i mógł je wreszcie zainwestować w sposób niewzbudzający podejrzeń sąsiadów, bo nawet o tym nie wiedzieli. Podniósł stopę życiową swojej rodziny i sprytnie zszedł z oczu mafii, nie wzbudzając w niej podejrzeń. A gdyby nawet, to był za małym pionkiem w tej grze, żeby mieli go ścigać na drugim krańcu Polski. Dlaczego wybrał ten Szczecin przy granicy z Niemcami? Czyżby natura ciągnęła wilka do lasu, jakby to sam Józio określił? Albo to przykrywką dla przeprowadzki w zupełnie inne strony, na przykład na południe kraju...

Nierozsądnie nałożyłam dziś tenisówki i już przemokły od wilgotnej trawy. Marzły mi stopy.

- Nie zimno ci? - zatroszczyłam się o Anię, opatuloną wprawdzie kocem, ale jednak osłabioną.
- Trochę - przyznała i zawołała w kierunku okna: - Możesz mnie już zabrać do domu! Na ogrodowej ścieżce pojawił się wysoki chłopak, mniej więcej w moim wieku. Pchał przed sobą wózek inwalidzki. Tatuaż na torsie zakrył flanelową koszulą, ale i tak rozpoznałam go bez trudu.
- Broszka, poznaj Kubę. Mój brat cioteczny był tak dobry, że przyjechał dotrzymać mi towarzystwa, kiedy

191

dowiedział się o wypadku. I rozpieszcza mnie, jak może, a ja to bezwstydnie wykorzystuję.

- Ależ my się znamy! - Kuzyn Borków zaśmiał się i było mu z tym bardzo ładnie. Opowiedział Ani o spotkaniu na plaży.
 - Jaki ten świat mały!... - Westchnęłam, jak to się zwykle robi w podobnych okolicznościach. - No, ale na mnie już pora.
 - W takim razie, do zobaczenia. - Ania poprawiła się, gdy brat posadził ją ostrożnie na wózku. - I odwiedzaj mnie częściej.
- Tego wołałam nie obiecywać, chociaż nie chciałam też wtajemniczać ich w moje osobiste problemy, które zmusiły mnie do pożegnania się na dobre z Kostomłotami.

- Cześć - powiedział ciepło Jakub i popchnął wózek, który lekko potoczył się po udeptanej ścieżce.

A ja ze łzami w oczach powędrowałam dalej drogą pełną błota.

Chciałabym mieć brata takiego jak Kuba. Albo chłopaka.

Dziwne, że niektórzy potrafią tak bezinteresownie kochać. Jak Kuba Anię, a ona konie. Przecież Kukła omal nie pozbawiła jej życia i mocno poturbowała. A ja, chociaż idę na własnych nogach, duszę mam całą pokiereszowaną. Niech to sobie głupio brzmi, ale tak właśnie się czuję. I nikt mi nie założy na nią gipsu ani opatrunku, żeby mniej bolało. Zbiera mi się na płacz, ale się nie dam. Zmuszam się do myślenia o koniach, bo to bezpieczniejszy temat.

No tak, Ania je kocha, Świrus je kocha... Tak, on jest

192

dobry, mówią, że głupi, lecz na pewno z nikim by tak nie postąpił, jak Filip ze mną. Jaki jest, to jest, ale nie kłamie i nikogo nie krzywdzi. Za co ci ludzie tak się na niego uwzięli? Nie mam pojęcia. Za ten kowbojski kapelusz i kilka koni, z których nie ma pożytku? A taki weterynarz wzbudza w nich szacunek, czapki z głów i „dzień dobry, panie doktorze”, a proszę, jaki podły! Babcia miała rację... No nie, znowu zesłam na zakazany temat.

Siodlarnię Wujek urządził w garażu na dole. Zastałam drzwi zamknięte na klucz, a na tarasie zobaczyłam wczasowiczów ubranych w toczki i bryczesy. Zamierzali pojeździć konno, ale przeszkodziła im mżawka, na którą ja nie zwracałam uwagi. Dla zabicia czasu grali w karty. Zapytałam o gospodarza.

- Przy koniach.

Mogłam się domyślić. Znalazłam go pod drewnianą wiatą na siano. Pucował bryczkę. Dwie wysokie dziewczyny czyściły Plastykę i Berberysa. Wolałam nie patrzeć na konie, bo zbyt żywo przypominały mi czasy, które nie wrócą. Domyśliłam się, że tym razem szykuje się je do zaprzęgu.

- Mamy w Kodniu wesele - wyjaśnił Wujek, płuczac szmatę w wiadrze. - Zarobią na swoje utrzymanie.

Nie miałam wątpliwości, że chodzi mu o konie, a nie o sympatyczne bliźniaczki z Łodzi, które pamiętałam z ubiegłych wakacji. Wujek stęknął, prostując kręgosłup.

- Przy takiej pogodzie odzywają się w kościołach wszystkie dawne upadki. -

Uśmiechnął się do mnie i przez moment bardzo przypominał swego siostrzeńca. -

Coraz bardziej dokucza mi wiek. Chyba już czas dać sobie spokój z tym majdanem.

193

- Przecież Wujek miał się zrzec gospodarstwa już w tamtym roku - przypominałam sobie. Nie przeszło mi przez gardło, na czyją korzyść.

Machnął ręką.

- Czekałam, aż Filip dorośnie. Ale on się nie zmieni, a ja nie mam już siły. Będę musiał przepisać na niego to wszystko, czy chcę, czy nie. - Westchnął i zabrał się energicznie do mycia siedziska.

Domyśliłam się, że najwięcej zdrowia kosztuje go siostrzeniec. Przy koniach pracował z werwą dwudziestolatka.

- Może pomogę? - zaproponowałam, ale podziękował i wręczył mi klucz do siodła.

Nie od razu poszłam po swoje rzeczy. Chciałam przy okazji załatwić pewną sprawę.

Kiedyś w lasku nad Bugiem wyryłam coś na drzewie, pod którym pierwszy raz całowaliśmy się z Filipem. Nie wiem, co mnie napadło, że zachowałam się jak zadurzona smarkula, ale trzeba było zniszczyć te głupoty, zanim ktoś je zobaczy - nie daj Boże sam zainteresowany.

Na szczęście bez trudu trafiłam do naznaczonej sosny. W jej pobliżu Kiler znalazł Chin... Wietnamczyka, kiedy wycinałam ten napis. Odkąd wiedziałam, że nie należy

łączyć trupa z zaginięciem Lolity, nie bałam się spacerować sama po lesie. Jedyna osoba, której niewinności do tej pory nie udało mi się dowieść, to Irena. A jej tu dziś z pewnością nie było. Jak ona godzi ze sobą tyle różnych interesów? Trenowała konie Wujka, szpiegowała Filipa, zbierała materiały do sensacyjnego artykułu i do tego jeszcze ukradła klacz w sposób doskonały, bo nie do wykrycia. Filip i Wujek, początkowo dzielący

194

moje zdanie, dość szybko wykluczyli ją z kręgu podejrzanych.

„Kotku, po co miałyby wprowadzać Lolitę? Nie widzę żadnego powodu” - tłumaczył Filip.

A ja upierałam się przy swoim. Teraz, kiedy go znienawidziłam, tym bardziej wypadało być w opozycji. Ale jaką ona mogła mieć motywację? Gdybym tylko rozpracowała ją od tej strony...

Nagle doznałam olśnienia tak gwałtownego, że aż zamknęłam oczy. Po czym je otworzyłam i zamrużyłam. To absolutnie oczywiste. Artykuł! Nie udało jej się zdobyć informacji od Józia na temat nielegalnego przetrzutu imigrantów z Azji i krajów byłego ZSRR przez zieloną granicę, więc spróbowała czegoś innego. Zaimprovizowała wprowadzenie Lolity, żeby wywołać aferę. Przecież to ona podpowiedziała Wujkowi, żeby dał ogłoszenia do prasy. Kiedy zamieszanie osiągnie apogeum, klacz cudem się odnajdzie. Na przykład w dniu czempionatu. A wtedy Żabiousta zrobi z tego obszerny reportaż, opatrzone unikatowymi zdjęciami, zrobionymi porywaczom z ukrycia, oczywiście rzekomo z narażeniem zdrowia i życia fotoreporterki. Doprawdy, niegłupio to sobie wykombinowała. Tylko czy wszystko przebiega zgodnie z planem? Z tego, co wiem, losy klaczy Wujka okazały się cokolwiek bardziej zawikłane, niż zaplanowano. Jakoś nie wyszło przetrzymanie jej w bezpiecznej kryjówce. Bo przecież niemożliwe, żeby ci wszyscy ludzie po drodze byli podstawieni. Irena mogłaby ostatecznie umówić się z Wasylem, a i to nie na pewno, ale ten krezus od autografów? Chyba nie... To by znaczyło, że w jakimś momencie sytuacja wymknęła się jej spod kontroli i Loli-

195

ta czempionką roku dwutysięcznego pierwszego raczej nie zostanie. A szkoda. Istnieje jeszcze inna możliwość. Koń, o którym opowiadał Wasyl, jest tylko do Lolity bardzo podobny. Tak czy inaczej, z Filipem czy bez, zamierzam dojść prawdy. Niech choć raz coś mi się naprawdę i do końca uda. A to oznacza jedno: najwyższa pora, aby śledztwo zamienić w pościg.

Postanowiłam i przestałam myśleć. Nie widziałam powodu, aby dalej to robić. Z Filipem definitywnie skończyłam. Na psa uważać nie musiałam, bo go nie zabrałam ze sobą. Przyrody podziwiać zwyczajnie mi się nie chciało. Zresztą brzydko było i posepnie jak w listopadzie.

Nagle usłyszałam kroki.

Przestraszyłam się.

A za chwilę odetchnęłam z ulgą, gdy między gałęziami dostrzegłam znajomą sylwetkę. To tylko Świrus. A ja, głupia, wskoczyłam w pierwszym odruchu w krzaki. Ze mną jest coraz gorzej. Czy każda kobieta Filipa przypląca znajomość z nim chorobą psychiczną?

Na widok Świrusa przypomniała mi się Żabcia, do której nie zaglądaliśmy od czasu założenia opatrunku na zranioną pęcinę. Już chciałam wyskoczyć na ścieżkę i zapytać o pacjentkę Filipa, ale coś mnie powstrzymało. Świrus nie szedł sam. Może nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby na jego miejscu znajdował się w tej chwili jakiś inny mieszkaniec okolicy, ale Świrusa widywałam zwykle jedynie w towarzystwie koni. Z rzadka odwiedzał go ktoś z okolicznych mieszkańców, aby litościwie podrzucić trochę paszy dla zwierząt.

Ten mężczyzna nie pochodził z sąsiedztwa. Ludzi w Kostomłotach mieszkało niewiele i wystarczyło raz czy dwa pójść z Anią na mszę odprawianą w unickim kościele, aby ich wszystkich poznać, przynajmniej z widzenia. Ta cerkiew jest jedyną świątynią w okolicy, więc zbierają się w niej katolicy razem z prawosławnymi. Rudzielca nigdy nie było wśród wiernych. Rzucił się w oczy, na pewno bym go zapamiętała.

W dodatku Świrus był mocno podenerwowany. Takim też go nigdy nie widziałam.

Obaj żywo gestykulowali, wymachując długimi drągami z metalowym hakiem na końcu. Po co im bosaki? Będą coś wylawiać? Szli w kierunku rzeki. Za nimi człapały gęsiego konie dziwaka. Najstarszą klacz prowadził za uzdę.

Za chwilę dotrą do mojej kryjówki. Wychodzić czy nie? Jakoś głupio tak wyskakiwać z zarośli, z rozmazanym pod oczyma tuszem i ubraniem mokrym od wilgotnych liści.

Lepiej przeczekać, aż sobie pójdą. Najgorsze, że schowałam się tam, gdzie kiedyś leżał martwy Wietnamczyk. Nic to, wytrzymam. Zacisnęłam zęby. W końcu stypę też często urządza się w pokoju, z którego dopiero co usunięto katafalk. Jeżeli ludzie mogą w takim miejscu nawet jeść...

- Jaka burza?! - huknął nieznajomy, mijając mnie w odległości metra. - Na Mazowszu to dopiero grzmiało. Żadnego przejazdu. Gonię jak wariat, żeby nadrobić spóźnienie, a ty jeszcze niegotowy „Znów dwa się utopiły”, dobre sobie! W końcu nas nakryją. Tego chcesz?!

Mężczyzna podnosił głos coraz bardziej, lecz zdołałam usłyszeć tylko tyle. Co oni mają na sumieniu? - rozmyślałam gorączkowo. Chyba nie Lolitę? Ale może

uda mi się wykluczyć kolejny zbędny element tej łamigłówki?

Ostrożnie wyrzalam na ścieżkę. Mężczyźni oddalali się, zawzięcie dyskutując. Słowa zagłuszyło ciężkie stąpanie koni. Przyglądałam się zwierzętom, gdy przechodziły obok mojej kryjówki. W stadzie nie było Żabci. Nie mogła paść - przemknęło mi przez głowę - więc co się z nią stało? Tknęło mnie przecucie, któremu jeszcze nie dowierzałam.

Musiałam upewnić się, czy mam raq'ę. Najciszej, jak umiałam, za osłoną traw i gałęzi, zaczęłam przemieszczać się w stronę rzeki.

Wkrótce znów ich zobaczyłam. Mężczyźni boso i z podwiniętymi do kolan nogawkami brodzili w płytkiej wodzie przy brzegu. Bosakami lustrowali głębinę, wtykając stalowe końce pod korzenie starych wierzb, które rosły na skraju urwiska. Olbrzymie i poskręcane w dziwaczne kształty, przypominały kłębowisko węzów. Chroniły piaszczystą skarpe przed wymywaniem przez nurt dzikiej rzeki.

Szukają Żabci? Ale dlaczego mówili o dwóch komach? Może wcale nie chodziło o nią? Co się tu dzieje i kim jest ten dziwny przybysz z Warszawy?... O Boże! Przez Warszawę jechała ciężarówka handlarza, który zabrał Lolitę! A Wujek mówił - po tym, jak znaleźliśmy topielca - że w schronisku musi zdychać więcej zwierząt, bo skład stada wciąż się zmienia.

Nie, to niemożliwe. Świrus, miłośnik koni, nie oddaje ich przecież rzeźnikowi!

A jednak wszystko na to wskazywało. Nawet ostry ton głosu, którego nigdy wcześniej u niego nie słysza-

łam. Rudy zaś to jego współnik. Kierowca ciężarówki, która rano ochlapała mnie błotem! Ufff..

Tylko po co ukradli Lolitę, skoro później tak łatwo odstąpili ją Wasylowi?

Przestraszyli się czy nie znali jej wartości? Chyba że trafiła do transportu przez pomyłkę.

Jęknęłam z rozpacz. To jasne, załadowali ją zamiast konia, który wtedy się utopił! Musieli to robić po ciemku, a przez całą noc szalała burza. Pastwisko Wujka było przecież w tym miejscu nieogrodzone. Nic dziwnego, że złapali ufną wobec ludzi arabkę i nie zauważyli pomyłki. W końcu liczba koni się zgadzała. Ale dlaczego łapali je aż tutaj? Czy Świrus nie mógł zamknąć ich wcześniej w tunelu? I że też nigdy nie zastanowiło mnie, po co utwardził drogę na podwórze! Przesuwałam się po kilka kroków i wkrótce zbliżyłam na tyle, że dołatywały mnie ich głosy. Nie potrafiłam jednak rozróżnić słów. Stado spokojnie pasło się na polance. Jeszcze trochę, powtarzałam sobie, drżąc ze strachu i zimna. Nie mogę tego tak zostawić.

Konie zaczęły się niepokoić. Kręciły się i parskały ostrzegawczo. Zdrętwiałam. Wołałam nie wyobrazać sobie, do czego posuną się przestępcy, gdy mnie tu znajdą... Wtem w głębi lasu rozległo się rzenie obcego tabunu, zwielowane przez echo. Odpowiedziały na to wołanie najpierw konie Świrusa, a zaraz po nich stado Wujka. Mężczyźni patrzyli na mnie. A może tylko w stronę, z której rozlegał się trzask suchych gałęzi łamanych pod naporem wielu kopyt... Zaszłam się w gąszcz czarnego bzu, po którym pięły się zwoje chmielu. W głowie mi pulsowało, serce tłukło się od gardła do żołądka jak winda, której nie da się zatrzymać.

199

I wtedy go zobaczyłam. Nade mną zwieszał się na długiej nici wielki jak końskie oko pająk.

Nie krzyknęłam. Nie uciekłam w panice. Poczułam tylko, że zawiódł tak reklamowany antyperspirant.

Ale było warto. Kątem oka obserwując czerniejącego w półmroku krzyżaka i modląc się, żeby nie zaczął opuszczać się na moją głowę, śledziłam wydarzenia na polanie. Bo z lasu właśnie wynurzyły się zwierzęta. Widać, że zmęczone długą wędrówką. Przednie nogi miały spętane, głowy nisko zwieszane, zapadnięte brzuchy oblepiało zasychające błoto. Musiały pochodzić z różnych miejsc. Dla rozróżnienia jednym wpleciono w ogon lub grzywę kolorowe tasiemki, z piersi innych sączyła się krew po świeżym znakowaniu ostrym narzędziem. Na końcu szedł poganiacz. Pokrzykiwał po białorusku i ze swego stanowiska bardziej domyślałam się jego obecności, niż faktycznie go widziałam.

Konie z obu grup skupiły się przy wodopoju. Świrus i Rudy przystąpili do oględzin, a po chwili zaczęli je rozdzielać. Odłowione sztuki wiązali jedną za drugą, po czym zagraniczny pomocnik poprowadził je do schroniska, gdzie czekała na nie ciężarówka. Na polanie została klacz przewodniczka, kilka najsłabszych i najbardziej wychudzonych dorosłych koni oraz dwa źrebaki z nowego transportu. Musieli przeprowadzić się z nimi przez rzekę jeszcze w nocy, podczas burzy. Dlatego udało im się ominąć patrole i dlatego utopiły się kolejne zwierzęta! A więc to prawda. Świrus, znany obrońca krzywdzonych koni, handluje nimi, zapewne czerpiąc z tego niemałe zyski. W dodatku zwierzęta pochodzą z Białorusi.

200

Przemyca je bez odpowiednich badań i dokumentów. Kto wie, może w dodatku są kradzione?

Wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz, od którego posypały się na moją głowę krople rosy. Drętwiałam z zimna. Kolanami dotykałam mokrej ściółki leśnej, a długie pióra traw łaskotały mnie po odsłoniętych ramionach. W dodatku pająk zdecydował się zrobić dwa kroki, przedłużając nieco swoją lepką nić. Tłusty odwłok prawie dotykał moich włosów.

Jeszcze chwila i uwolnię się od niego. Świrus z Rudym wracali ścieżką na skrót.

Zaraz mnie miną, a wtedy cicho wycofam się z ukrycia. Ale czy ja tyle wytrzymam? Czemu oni tak się wloką?! Teraz, gdy odkryłam, czym naprawdę zajmuje się nieszkodliwy dziwak, zrozumiałam, że nie zawaha się przed niczym, by powstrzymać mnie od mówienia. Dlatego nie może dowiedzieć się, że ich widziałam. Nie może mnie tu odkryć.

Krzyżak drgnął i zaczął opuszczać się na dół. Z wahaniem poruszył najpierw jedną nogą, potem drugą, trzecią...

Świrus nie może mnie tu znaleźć.

Po ścieżce potoczył się kamyczek trącony czubkiem kowbojskiego buta.

Nie może. Nie, nie, nie. Wstrzymałam oddech - przechodzili na wyciągnięcie ręki.

- Na razie uspokoili się z tym szukaniem, ale wciąż się tu kręcą - tłumaczył Świrus. -

Dlatego mam złe przeczucia. Konkretnie chodzi mi o jedną osobę.

- O kogo? - zdążył spytać Rudy. Ale nie usłyszał odpowiedzi.

201

W tym momencie coś włochatego dotknęło mego czoła. Ryknęłam straszliwie i wyskoczyłam na ścieżkę tuż za nimi. Odwrócili się i oszołomieni znieruchomieli na dłuższą chwilę.

Rzuciłam się do ucieczki. Gnana panicznym strachem, zdążyłam przebiec kilkanaście metrów. Po czym Świrus ocknął się i zaczął mnie gonić.

Zatrzymałam się dopiero przy bryczce, którą Wujek kończył pucować na jutrzejsze wesele. Oparłam się o ławkę woźnicy, ciężko dysząc. Nie mogłam wydobyć ani słowa. Dzięki Bogu, Świrus już mnie nie dopadnie, kołatało mi w głowie, choć ze strachu i wyczerpania niczego nie byłam pewna.

- Co się stało? - spytał Wujek, przyglądając mi się z troską.

Jak mogę tak od razu i do tego krótko opowiedzieć, co się stało? Dowiedziałam się przedziwnych rzeczy o człowieku zwanym Świrusem. Wiem, co zdarzyło się tamtej nocy, gdy zaginęła Lolita. Przypadkiem odkryłam międzynarodową szajkę, handlującą końmi przemycanymi przez zieloną granicę. Co najważniejsze, można pochwycić przestępców na gorącym uczynku. Jeśli dostatecznie szybko zawiadomimy policję. Kiedy tylko złapię oddech, postaram się opowiedzieć wszystko po kolei i w miarę zrozumiale. Zaraz, jak tylko uda mi się pozbierać... Nagle ujrzałam swoją sytuację z innej perspektywy i doznałam czegoś w rodzaju deja vu.

Natychmiast zmieniłam zdanie.

- Pszczoły - wykrztusiłam. - Opadł mnie rój dzikich pszczół.

202

Wieczorem zajrzałam do Maćka. W stajni było ciemno, ale nie chciałam zapalać światła. Przesunęłam dłonią wzdłuż końskiej piersi i natrafiłam na znajomą bliznę.

- Teraz już rozumiem, dlaczego boisz się wody - szepnęłam do kosmatego wnętrza ruchliwego ucha. - I wiem, skąd się u nas wzięłaś.

Józio opowiadał Wujkowi o kanale przerzutowym w pobliżu przejścia granicznego w Terespolu, który zlikwidowano kilka lat temu. Widać przeprowało się tamtędy ze wschodu nie tylko nielegalnych imigrantów, skoro pewnej nocy przybłąkał się do nas nie wiadomo skąd koń z blizną na piersi. Taką samą miała Żabcia i inne konie, które przechodziły przez ręce przemytników. Wszelkiej tego typu działalności sprzyjała niema rzeka Bug, której nikt dotąd nie uregulował. Była dzika i posłuszna jedynie prawom przyrody, zupełnie jak lasy i zarośla otaczające ją w ochronnym pasie przygranicznym. Człowiek mógł z nią zrobić tylko jedno: przeprowić się na drugą stronę mostem lub wplaw, zależnie od czystości swoich intencji.

Chyba postąpiłam właściwie, nie mówiąc Wujkowi prawdy. Wystarczy, że ja wiem, co się stało z Lolitą. Bo ta niepewność dokuczała mi najbardziej. To, czy inni poznają tę absurdalną przyczynę zniknięcia arabki, w niczym jej nie pomoże. Za to mnie może

kosztować życie, a przynajmniej zdrowie. Jak Anię, która też musiała niechcący trafić na trop przemytniczej szajki. Wszystko nareszcie zaczyna układać się w logiczną całość. Dla zamknięcia sprawy powinno się jeszcze aresztować Świrusa i ode mnie zależy, czy tak się stanie. A raczej zależało, bo do tej pory ciężarówka na pewno już odjechała,

203

a wszelkie ślady jej pobytu starannie zatarto. Gdyby w tej chwili policja zrewidowała siedzibę Świrusa, nie znalazłaby w tunelach żadnych obcych koni i nie miałyby do czego się przyczepić. Bo i dla tych kilku nowych niewątpliwie załatwił wiarygodne dokumenty. A ciężarówka jest już zapewne pod Warszawą i każde z przewożonych nią zwierząt ma lewe świadectwo zakupu i fałszywy dowód urodzenia. Tym bardziej mój telefon nie miałby więc sensu.

A swoją drogą, kto by pomyślał, że to sprawka Świrusa, a nie Ireny... Dobrze, że chociaż Filip nie ma z tym nic wspólnego. Przynajmniej pod jednym względem okazał się uczciwy. Po południu dzwonił, że wniósł pozew o rozwód. Co z tego? Ten rozdział mojego życia jest nieodwołalnie zamknięty.

Rozdział osiemnasty

Suchy piach przesypuje się z chrzęstem między szprychami górskich rowerów. Na tej słonecznej polance po przedwczorajszej burzy nie ma ani śladu. Kiedy jednak zagłębiamy się w cień wysokich sosen, błoto osiada na karbowanych oponach, a wystające korzenie drzew utrudniają jazdę naszej trójce. Pedaluję wytrwale, rokuszając się obecnością przyjaciółek oraz fizycznym zmęczeniem, które działa niczym katharsis po ostatniach przeżyciach.

Dobrze, że zadzwoniłam do Wujka i opowiedziałam co naprawdę wystraszyło mnie w lesie. Ja to nie A^a, która mieszka w pobliżu całej tej afery. Odkąd zrezygnowałam z wyjazdów do Kostomłotów, przestępcom riiie" łatwo znaleźć okazję, aby mnie szantażować i grozić okaleczeniem czy odebraniem życia. Zwłaszcza dopóki jestem tutaj, ponad dwieście kilometrów od domu. Za J^im wrócę, policja może znaleźć pretekst, aby zamknąć Ś*ń~ rusa. Zbyszek obiecał, że się postara. Na obecną sytuację Lolity co prawda nie będzie to miało żadnego wpływu^11' ale sprawiedliwości stanie się zadość. Zresztą klaczy już

205

nic nie pomoże. Pewnie dawno trafiła na włoski stół albo na karmę dla psów. Jak tylko ten krezus od autografów zamknął ją w boksie i zaczęła bronić się kopytami przed ciasnotą, sprawa była przesądzona.

- Dokąd teraz? - zawołała wesoło Edyta, jadąca na pierwszym rowerze. Zbliżaliśmy się do turystycznego daszku, który wyznaczał miejsce krzyżowania się żółtego i czarnego szlaku. W pobliżu tkwił drogowskaz. Na każdej z tabliczek wypisano nazwę miejscowości: Nadłu-że, narysowano strzałkę wskazującą kierunek i podano liczbę kilometrów.

- Skręć w lewo! - odrzyknęła jadąca za mną Mariol-ka, siostra Edyty. Z jej gościnności miałyśmy korzystać przez cały weekend. - Za parę minut dojedziemy do Dąbrowy Leśnej.

Przez całą drogę rozglądałam się ciekawie dookoła. Mimo że większość życia spędziłam w małej miejscowości, prawie na wsi, pierwszy raz znalazłam się w prawdziwej puszczy i zachwyciłam się jej ogromem. Z Podlasia znałam tylko nasze przysłowiowe laski, piaski i karaski. Zgubić się nie sposób. A w Puszczy Kampinoskiej owszem, gdyby nie te wszystkie znaki.

Podziwiałam jej wspaniałe dostojenie. O tej porze roku cała przyroda wycisza się i wydaje się, że las w początkach sierpnia jest najmniej atrakcyjny, ale to nieprawda.

Ptaki milczały, tylko jeden pierwiosnek wyśpiewywał niestrudzenie to swoje cirp, cirp, calp, calp. Wbrew pozorom puszcza nie spała. A już na pewno aktywni byli w niej ludzie. W to sobotnie popołudnie nie tylko my korzystaliśmy z uroków natury. Już na parkingu przy szpitalu dziecięcym w Dziekanowie Leśnym pano-

206

wał tłok. Upychano tu samochody z rowerami przymocowanymi do bagażników, a z pobliskiej pętli autobusowej rozlewał się we wszystkie strony tłum piechurów z plecakami.

Potem, w okolicach uroczyska Na Miny, gdy skręciliśmy w żółty szlak, minęła nas para zakochanych. Oboje byli w doskonałych humorach i przekomarzali się ze sobą, dosiadając wysokich, smukłych gniadoszy. Odwróciłam głowę, bo ten obrazek nazbyt żywo przypominał mi całkiem niedawną przeszłość.

Nie oni jedni wypoczywali konno. Daleko przed nami zamajaczyła sylwetka wierzchowca podobnej maści. Ktoś prowadził go za uzdę, dając mu odpocząć po forsownej przejażdżce. Nie wiem, czy przez ten kowbojski kapelusz, który mężczyzna miał na głowie, co skojarzyło mi się oczywiście ze Świrusem, czy też przez to, że koń wyglądał na araba, w dodatku w odcieniu miedzianego brązu, dość, że pomyślałam o Lolicie. Im bardziej się zbliżyliśmy, tym większej nabierałam pewności, że to klacz Wujka. Wszędzie poznam jej ogon przypominający skrzydło kruka, kiedy nim machała dokładnie w taki sam sposób, jak to zwierzę. Nie podzieliłam się moim odkryciem z dziewczynami, bo jeszcze sama nie miałam pewności, ale przecież Wujek mówił, że Lolita mogła trafić w okolice Warszawy, więc dlaczego nie tutaj?

To nie ona. Przełknęłam rozczarowanie, lecz wycieczka straciła dla mnie urok. Zresztą słońce skryło się za chmurami i pogłębiły się cienie na leśnej drodze. Nagle puszcza zmieniła się w nieprzyjemne zbiorowisko monotonnych krzaków. Zdziwiona, że tak bardzo obchodzi mnie los kobyłki, która nie należała przecież do mnie,

207

tłumaczyłam sobie, że nie ma się co dalej ludzić. Z tego, co słyszałam o warunkach transportu koni rzeźnych, lepiej dla niej, żeby już nie żyła. I dla jej nienarodzonego zrebęcia.

- Czy tu zawsze jest tyle koni? - zainteresowała się Edyta, gdy minęliśmy zastęp dzieciaków nieporadnie podskakujących na zgrabnych kucach.

- Przy ładnej pogodzie. - Głos Mariolki rozległ się tuż za mną. - W pobliżu jest ośrodek jeździecki. Większość nowobogackich z okolicy trzyma w nim swoich pupili.

- Możemy tam podjechać? - ożywiłam się.

Przed chwilą prawie przekonałam samą siebie o irra-q'onalności własnych marzeń, ale tak naprawdę wciąż miałam nadzieję, że Lolita się znajdzie. Jakby była magicznym przedmiotem, który w cudowny sposób przywróci dawne stosunki między mną a Filipem. Wiele bym dała, żeby znów było między nami tak, jak przed jej zniknięciem. No, może włączając w to dwa późniejsze momenty w domu Wujka. Niestety, to już nigdy nie wróci. Po tym, co wiem..

Wyjechałyśmy z lasu wprost na małą uliczkę. Za wysokim ogrodzeniem ciągnęły się stajnie. Tabliczka na bramie informowała, że mieści się tu ośrodek kaskadersko--jeździecki „Jupiter”.

Na padoku przy wjeździe spacerował śliczny biało-nogi kasztanek. W głębi podwórza siedział na schodach mężczyzna z rudym psem. Obaj robili sympatyczne wrażenie i zdecydowałam się wejść. Spytałam o Lolitę. Odesłał mnie do instruktora, który w tej chwili prowadził lek-qę na ujeżdżalni, otoczonej - zupełnie jak u Wujka - świeżo pobielonym prostym ogrodzeniem. Jego uczeń,

208

jeden z czołowych polskich aktorów, usiłował opanować trudny element ujeżdżenia.

Na razie bez rezultatu.

Trenera nie zdziwiła nieoczekiwana wizyta. Bez zniecierpliwienia wysłuchał całej historii.

- Przykro mi, ale nie umiem pomóc - powiedział w końcu z tym samym spokojem. - Nie kupujemy koni z transportu, a nasz pensjonat nie przyjął nowych zwierząt co najmniej od pół roku.

Wobec tego podziękowałam. Krótka rozmowa ostatecznie pogrzebała moje niedorzeczne nadzieje. Postanowiłam cieszyć się ze spędzania czasu z przyjaciółkami, bo nic innego mi nie pozostało. Zaczęłam wycofywać się do wyjścia. Chwytałam już za kłamkę, gdy na ścieżce za mną rozległ się tętent rozpędzonego ogiera. Odwróciłam się, zbyt zaskoczona, by uciec w bok. W ostatniej chwili jeździec ściągnął wodze i wyhamował. Lśniącą czarną pierś koń prawie mnie dotknął.

- Przepraszam, jeśli panią przestraszyłem - uśmiechnął się aktor. - Ćwiczymy to ze statystami i nie mogłem oprzeć się pokusie, żeby sprawdzić. Nadaje się pani do tej roli. Zarumieniłam się jak małolata.

- On też - wskazałam na urodziwego karosza, który byстрыm okiem lypał na mnie spod bujnej, pofalowanej grzywy. Będzie co opowiadać w domu, pomyślałam, zerkając na dziewczyny. Stały za ogrodzeniem.

- Zatrzymałem panią, bo może mój przyjaciel Dawid potrafiłby pomóc. Niedawno kupił klacz arabską od handlarza. Nie mówię, że tę samą, ale może coś wiedzieć. Pewnie zna to środowisko. Mieszka tam... - Machnął szpicrutą w stronę czerwonego dachu, który prze-

209

świtywał między koronami drzew. Ścisnął konia łydkami i z miejsca zagalopował.

- Bardzo dziękuję! - zawołałam za nim, ale chyba już mnie nie usłyszał.

- To pewnie tu. - Wskazałam ogromną, choć sympatycznie prezentującą się willę. Dotarliśmy do niej na piechotę, zwróciwszy rowery w wypożyczalni.

- Myślicie, że chodziło mu o Dawida Grytę? - powątpiewała Mariola.

Zza szczelnego ogrodzenia z desek widziałyśmy budynek od piętra po zwieńczenie z czerwonej blachoda-chówki. Postawiono go u zbiegu dwóch ulic. Główną bramą wychodziło się na szosę, która prowadziła do sąsiednich Łomianek. My zaś przystanęłyśmy przy furtce od strony lasu. Słupki z jej obu stron zdobiły odlane z brązu końskie popiersia.

- Możliwe, grają w tym samym serialu - emoq'ono-wała się Edyta, która nie przepuściła dotąd żadnego odcinka. Ja też. Jednak w tej chwili bardziej zajmował mnie inny problem: czy on uratował Lolitę? Jeśli to rzeczywiście był Gryta, nic dziwnego, że ludzie prosili o zdjęcia i autografy!

- Nie sądzę, żeby ucieszył się, jeśli mu przeszkodzimy. - Zawahałam się przed naciśnięciem dzwonka. Nie co dzień człowiek odwiedza uwielbianego aktora i reżysera.

- Sprawdźmy wpierw, czy nie kręci się koło domu -poradziła Eda i pierwsza przykleiła się do furtki, starając się znaleźć szparę pomiędzy ciasno zbitymi deskami.

- Jest! - jęknęła zachwycona.

210

- Dawid Gryta? Pokaż! - zażądałam z przejęciem.

- Głupia, o szczelinie mówię. Wiecie co? Na wprost jest podjazd z kostki. I drzwi do garażu. Zamknięte - relacjonowała ścisłym głosem, ani myśląc ustąpić mi miejsca. - Samochodu nie ma. To znaczy, żaden nie stoi na widoku - poprawiła się. - Na tarasie leżak. Pusty. Ma nawet hamak. Ale wygodnicki! O, jest ten koń...

- Czeka! - nie wytrzymałam i zaczęłam tarmosić Edytę za ramię. - Teraz ja!

Odsunęła się niechętnie. Rzuciłam się do bramki, omal nie wydziobując sobie oka sterczącym kawałkiem drzazgi. Spojrzałam i zamarłam.

- To ona! - krzyknęłam, zapominając o ostrożności - Tam jest Lolita!

Wprawdzie grzywa ulubienicy Wujka opadała poniżej linii szyi, a u tego stworzenia przycięto ją krótko, ale nawet z dziesięciocentymetrową szczecinią była to klacz, której nie spodziewałam się już zobaczyć.

Widocznie źle jej tutaj nie było - przybrała jakby na wadze i brzusek jej się nieco zaokrąglił. Ale wcale jej to nie szpeciło. Przyszło mi do głowy, że to może objaw żrebnosci.

Stała samotnie na niewielkim wybiegu. Ogrodzenie z bali pokryte było ciemną bejcą. Podobnie zabezpieczono drewno, z którego zbudowana była przytulna, choć obszerna stajnia. Jej dach, wysunięty do przodu i podparty prostymi kołkami, osłaniał mieszkankę przed deszczem i bezpośrednim operowaniem promieni słonecznych. Tu się teraz chowała w cieniu, mając za sobą otwarte wrota do budynku. Wyglądało na to, że nikt nie zmuszał

211

Lolity do ciągłego przebywania w zamknięciu i ten drobiazg uratował jej życie. Wciąż nie mogłam ochłonąć z wrażenia, że jednak odnalazłam konia. I to wtedy, gdy już zupełnie przestałam na to liczyć.

- Zaraz wrócisz do domu, moja śliczna - szepnęłam przez szparę w drewnie, w dalszym ciągu rozplaszczona na furtce.

A ona stała wciąż w tym samym miejscu, lekko strzygąc kształtnymi uszami.

Księżniczka. Najpiękniejsza klacz na czempionacie, który odbędzie się w najbliższy piątek. Nie straciliśmy szansy na jej wystawienie; konie można zgłaszać do poniedziałku. Jak tylko wrócimy do Mariolki, zadzwonię do Wujka i jeszcze zdąży zapisać klacz na wystawę. Tylko trzeba uprzedzić Grytę.

Bez wahania obeszałam posesję i odnalazłam domofon przy głównej bramie.

Zadzwoniłam raz i drugi. Automat wygrywał jakąś bardzo znaną melodię, ale z przejęcia nie potrafiłam jej rozpoznać. Nikt nie odpowiadał.

- Zdaje się, że dom też jest pusty - oceniła Edyta. - Co robimy?

Błyskawicznie podjęłam decyzję.

- Nie ma co tu dłużej sterczeć. Nie wiadomo, kiedy Gryta wróci. Chodźmy do domu. Zawiadomię Wujka, żeby przyjechał jutro z przyczepą do przewozu koni. Dzisiaj to już raczej nie zdąży. Wrócimy tu razem z nim.

- Może lepiej zadzwonić do Gryty? - zawahała się Mariolka.

Pokręciłam głową. Od dawna bezskutecznie próbuję zdobyć zastrzeżony numer artysty i wiedziałam co nieco o absolutnym braku możliwości skontaktowania się z nim w ten sposób.

212

- Lepiej, jeśli pojawimy się osobiście - powtórzyłam. - Do jutra nic się nie powinno zmienić. Nie powinno, a jednak się zmieniło.

Terenowy nissan z przyczepą do przewozu koni zaparkował na chodniku przed domem Mariolki dopiero późnym niedzielnym popołudniem. Nie dało się załatwić tego wcześniej, bo w żaden sposób nie mogłam dodzwonić się do Wujka. Na telefon domowy nie odpowiadał, a komórkę chyba wyłączył. Dopiero po godzinie bezskutecznych usiłowań dotarło do mnie, co jest grane. W sobotę przecież miało się odbyć wesele, na które ktoś pożyczył bryczkę. Wujka w ramach wdzięczności zaproszono pewnie na imprezę. Mógł sobie pozwolić na tę przyjemność, bo w jego domu rezydowali przez weekend letnicy i bliźniaczki zapewne zajęły się końmi. Mimo wszystko niezrozumiałe wydawało mi się to wyłączenie komórki na tak długo. A gdyby tak, nie daj Boże, coś niedobrego działo się w stadninie? Chyba że telefon się

rozładował...

Znałam jeszcze jedno wyjście z sytuacji, ale nawet dla takiej sprawy nie potrafiłam zmusić się, żeby z niego skorzystać. O nie, rozmowa z Filipem nie wchodziła w grę. W końcu zastałam Wujka w domu, ale dopiero w niedzielę rano. Na szczęście nie pił za dużo i całkiem przytomnie obiecał, że zjawi się w Łomiankach jak najwcześniej. No i właśnie przyjechał. Czekałam spakowana i gotowa do drogi. W obliczu triumfalnego powrotu z Lolitą perspektywa spędzenia jeszcze jednego dnia z dziewczynami przestała mi się wydawać taka atrakcyjna. Pożegnałam się i zbiegłam na dół.

213

- Dzień dobry! Nareszcie!

Zaskoczyła mnie obecność Filipa za kierownicą i musiało się to objawić na mojej twarzy, bo Wujek pospieszył z wyjaśnieniem:

- Promile. Nie mogę prowadzić.

Bez słowa wpakowałam się na tylne siedzenie i usadowiłam w taki sposób, aby zniknąć kierowcy z pola widzenia we wstecznym lusterku, co średnio mi się udało. Podałam kierunek jazdy, patrząc za okno, i raczej Wujkowi niż obcemu człowiekowi siedzącemu na miejscu kierowcy. On wszystko musi popsuć, nawet taką chwilę! Zaciśnęłam zęby i postanowiłam ignorować go do końca swoich dni, choćbym miała zwijać się z bólu za każdym razem, kiedy się na niego natknę. W każdym razie za życie Lolity nie spojrzę na jego dłonie oparte na kierownicy i pieszczące jej krawędź. Nie miałam pojęcia, w jak bardzo złą godzinę pomyślałam te słowa...

Tym razem mieliśmy więcej szczęścia i zastaliśmy gospodarza w jego rezydencji. Zdziwił się, że przybywamy w sprawie konia, a nie na przykład jego nowego filmu, ale okazał się na tyle uprzejmy, że nas wpuścił. Automatycznie sterowana brama potoczyła się po szynach z nie-głośnym szelestem, a naszym oczom ukazała się sylwetka Dawida Gryty. Trochę mnie rozczarował. Na ekranie prezentował się bardzo okazale. W rzeczywistości przerastałam go o pół głowy!

Uściskał nam dłonie, zaczynając ode mnie. Żałowałam, że nie mogę uwiecznić tej chwili na zdjęciu. Straszliwe wzruszenie ścisnęło mnie za wyschnięte z emocji gardło i nie popuszczało. Nie przeszkodziło mi to jednak

214

zarejestrować subtelnej oprawy okularów aktora, jego nienagannie przystrzyżonych włosów i bardzo eleganckiej koszuli, którą nosił z niedbałym wdziękiem. Otaczała go woń drogiej i bardzo męskiej wody kolońskiej. Nowiutka czarna toyota stała przed garażem. Jej szyby lśniły, jakby we wnętrzu zamknięto słońce. Oszołomiona natłokiem wrażeń, o Lolicie przypomniałam sobie dopiero, gdy usłyszałam pytanie Wujka:

- Więc jej tu nie ma? - mówił właśnie z niedowierzaniem. Początek rozmowy jakoś mi umknął. Odruchowo spojrzałam w kierunku stajni. Szerokie drzwi wciąż stały otworem i odsłaniały niemal całe jej wnętrze. Klaczy z Kostomłotów z pewnością tutaj nie było. Ale przecież wczoraj ją widziałam!...

- Rano wybrałem się na niej w teren - tłumaczył artysta, którego umiejętności jeździeckie nieraz podziwiałam na ekranie. - Kiedy zjeżdżałem galopem z Góry Ojca, Pustynna Róża potknęła się o korzeń i upadła. Pękła jej kość przedniej nogi. Chwilę trwało, zanim skojarzyłam, że Pustynna Róża to imię, które Gryta nadał naszej arabce. Dopiero później dotarł do mnie okrutny sens tej wypowiedzi. Złamała nogę, a więc żadnym sposobem nie wygra czempiona-tu, na którym Wujkowi tak zależy! A już na pewno nie w tym roku. Ale może uda się to jej źrebakowi? Najważniejsze, że odzyskaliśmy konia. Nie wątpiłam, że znajduje się teraz w najlepszej klinice dla zwierząt, na jaką stać Dawida Grytę. Sądząc po rozmachu, z jakim urządził swoją posiadłość, nogi Lolity nie składał żaden konował.

- Gdzie teraz jest? - dociekał Wujek.

215

- Nie nadawała się do niczego, oddałem ją rzeźnikowi. - Zawahał się przez chwilę i dodał na swoje usprawiedliwienie: - Weterynarz powiedział, że nie będzie mogła normalnie chodzić.

Wujek zdołał zachować zimną krew.

- Do której ubojni trafiła? Może jeszcze nie jest za późno.

Dawid Gryta zlecił się nią zająć swemu ogrodnikowi i zarazem człowiekowi do wszystkiego. Podał nam jego adres i życzył powodzenia, lecz chyba sam nie wierzył w to, co mówił. A ja dopiero za bramą uświadomiłam sobie, że zapomniałam poprosić go o autograf.

Człowiek do wszystkiego zajmował wraz z żoną i dzieckiem nieduże mieszkanie w jednym z bloków obok „Globi”, w samym centrum Łomianek. Gdy tylko powołaliśmy się na znajomość z jego pracodawcą, bez trudu udzielił nam informacji.

- Nie zawiozłem jej do rzeźni - zwierzył się Wujkowi, a w moim sercu zaśpiewała cienko nadzieja, że chociaż on jeden docenił wartość klaczy i nie pozwolił beztrudnie uśmiercić takiego zwierzęcia. Zdławił ją we mnie, nim przeszła do mocniejszych akordów.

- Po drodze dogoniłem ciężarówkę. Jechały nią jakieś konie. Wszystko grubsze, pociągowe. Tylko parę sztuk w dużej przyczepie, więc zbliżyłem się do kabiny kierowcy i zapytałem, czy by nie zechciał wziąć jeszcze jednego.

Wujkowi chyba zrobiło się słabo, ale dzielnie się trzymał. Na swojego byłego nawet nie spojrzałem. Usłyszałem tylko, jak westchnął i powiedział:

216

- I zgodził się.

- A co miał się nie zgodzić? - zachnął się nasz rozmówca. - Zapłacił nawet tyle co na skupie, ani złotówki mniej. Sześć pięćdziesiąt za kilogram. A mnie się opłacało, bo trochę benzyny zaoszczędziłem.

Ciekawe, w jaki sposób ocenili, ile koń waży. Zresztą handlarz pewnie wozi wagę ze sobą. Albo na oko.

- Kiedy to było? - indagował Wujek.

- Czy ja wiem?... Matka, która to mogła być godzina?

To określenie, wystosowane pod adresem kobiety, która najwyraźniej była jego żoną, jej się nie spodobało. Zrobiła kwaśną minę.

- Jeśli od razu wróciłeś do domu na obiad, a nie siedziałeś na piwku z koleżkami, to przed czwartą - docięła mu.

Boże drogi, tyle czasu ze złamaną nogą! Robiło mi się niedobrze na myśl o tym, jak klacz musi cierpieć. Ludzie nie mają wyobraźni, lepiej już było od razu ją dobić, jak nie chcieli leczyć. Tamten weterynarz twierdzi, że złamania u koni są praktycznie nie do naprawienia i skazują zwierzę na kulawiznę do końca życia. Ale to nieprawda, bo coraz częściej udaje się je złożyć tak, że potem prawie nie ma śladu. Naprawdę, powinien być przynajmniej skrócić jej męczarnię!

Zaraz jednak zawstydziałam się głupiego pomysłu. Czego byśmy teraz mieli szukać, kopyta na pamiątkę czy co? Bo podków nie nosiła. Znajdziemy ją, i Filip jej pomoże.

- Dokąd pojechała ta ciężarówka? Nasz informator wzruszył ramionami.

- Tego to nie wiem, ale skręciła na południe.

217

Po chwili jakby sobie coś przypomniał.

- Nie jestem pewien, ale chyba miała zagraniczne numery rejestracyjne.

- To na targ w Bodzentynie - domyślił się Filip.

- Słucham? Niecierpliwe machnięcie ręką.

- To największy targ koński w Polsce. Nie Uczę tak zwanych Wstępów w

Skaryszewie pod Radomiem, bo te organizuje się zaledwie dwa razy w roku. Zaczyna się we wtorek poniedziałek Wielkiego Postu po środzie popielcowej - wyjaśnił Filip. - A Bodzentyn znajduje się w pobliżu Kielc, po drodze do przejścia granicznego w Zebrzydowicach.

Wszystkim zaczął świtać ten sam pomysł. Jedyne, co mogliśmy zrobić w tej sytuacji...

- Jak wyglądał samochód? - dociekał Wujek. Musieliśmy przecież rozpoznać auto, gdy już je dogonimy.

- Ciężarówka, nic szczególnego. Poza tym, że miała na burcie logo jakiejś przechowalni owoców czy czegoś takiego... Nie, to była chyba dojrzewalnia bananów - poprawił się i dodał znacznie pewniej: - Tak, teraz pamiętam.

- Niewiarygodne! Ta sama? - rozmyślał głośno Filip, którego Wujek zdążył wtajemniczyć w moje przeżycia w nadbużańskich zaroślach.

- Na pewno! - wykrzyknęłam z entuzjazmem i ugryzłam się w język. Miałam nie odzywać się do tego podstarzałego casanowy.

Filip zorientował się, że nie dotrzymałam danej sobie obietnicy, ale nie pokazał tego po sobie. Byłam mu za to wdzięczna. Dwa zero dla niego, pomyślałam z niechęcią.

218

- Jeżeli dogonimy ich przed granicą z Czechami, upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu - kombinował zaferowany Wujek. - Odzyskamy konia i złapiemy współnika Świrusa.

- W drogę! - zawołał Filip niepotrzebnie, bo i tak wszyscy spieszyliśmy się jak na promocję w supermarkecie.

- Trzeba zawiadomić polię - przypominałam.

Rozdział dziewiętnasty

Z policją nie poszło tak gładko, jak się spodziewałam. Wujek zadzwonił do najbliższego warszawskiego posterunku i usłyszał, że na razie brakuje dowodu przestępstwa, że funkcjonariusze mają poważniejsze zadania niż ściganie ciężarówki z końmi, a tak w ogóle to już nie jest rejon stołeczny. Po czterech godzinach taki transporter może dojeżdżać do Kielc... Głos w słuchawce brzmiał przy tym tak, jakby rozmówca podejrzewał Wujka o głupi dowcip pod adresem służb mundurowych.

Zatem z władzy wykonawczej pozostał nam jedynie Zbyszek. Ten chłopak zawsze był skłonny do pomocy - i z natury, i z wdzięczności za dawną przysługę.

Telefon do niego dostarczył wieści z Kostomłotów. Po chwili Wujek relacjonował nam tę rozmowę:

- Akcja na granicy w pełni udana. Złapali Świrusa i jego ludzi na gorącym uczynku.

Policyjne kamery zarejestrowały przeprawę przez Bug, przekazywanie przez Białorusinów kradzionych koni naszym przewoźnikom, ładowanie zwierząt na ciężarówkę. A nawet rozmowę Świrusa z kierowcą.

220

- Piękna dokumentacja - pochwalił Filip. - Wystarczy, żeby przymknąć naszego kowboja na jakiś czas.

Wujek pokiwał głową. Wciąż trudno mu było, tak jak i mnie, przestawić się na myślenie o Świrusie jako o sprytnym przestępcy, a nie opiekunie pokrzywdzonych przez los zwierząt.

- Nawiasem mówiąc, mało koni przemycili tym razem - dodał, machinalnie skubiąc wąsy. - Nasi policjanci puścili kierowcę wolno, żeby śledzić całą drogę ciężarówki i złapać zleceniodawców. Pilotowali pojazd aż do granic swego rejonu. Dalej inna komenda miała przejąć pałeczkę.

- Ale się wycofali - uzupełnił domyślnie Filip.

- Jakbyś zgadł. Ci z Mazowieckiego wykręcili się, twierdząc, że nie mają ludzi, a

szkodliwość społeczna czynu jest niewielka. Losem zwierząt nikt się w tym kraju na dobrą sprawę nie przejmuję.

- Skąd my to znamy - zauważył cierpko Filip i gwałtownie zmienił bieg.

Mimochodem zerknęłam na jego silną męską dłoń. Jak dawno nie czułam na twarzy znajomego łaskotania pajęczków... Żeby nie zrobić czegoś głupiego, skoncentrowałam się na rozmowie.

- Chłopak... znaczy Zbyszek, obiecał załatwić, aby policjanci ze Świętokrzyskiego zatrzymywali każdy samochód z koźmi jadący na południe. Będą sprawdzać, czy wewnątrz nie ma klaczy ze złamaną nogą i wytatuowanym na grzbiecie numerem Lolity.

- Dlaczego każdy? - zdziwiłam się. - Ciężarówka Świrusa jest dosyć charakterystyczna.

- Może mają więcej tirów? - Filip uprzedził odpo-
221

wiedź Wujka, czym mnie rozzłościł. - Albo przeładowali konie po drodze.

Niewykluczone, że kierowca wyciągnął właściwe wnioski z faktu, że nie może skontaktować się z szefem. Świrusowi policja odebrała przecież jego telefon komórkowy.

Poczułam się lepiej na myśl o tym, że gdzieś na południu kraju policyjny patrol będzie czekał na Rudego. Nagle uświadomiłam sobie, że ten kierowca wcale nie musi być człowiekiem, którego widziałam w lesie. Może zmieniają się po drodze? Szkoda, że nie zapytaliśmy o wygląd przewoźnika tego pomocnika Gryty.

Wspomnienie o artyście spłynęło na mnie przyjemną falą. Jedyne zgrzyt stanowił sposób, w jaki potraktował Pustynną Różę, gdy stała się dla niego bezużyteczna.

Starałam się usprawiedliwić jego postępek. O Lolitę już się nie bałam.

Również Wujek odprężył się na myśl, że odzyskanie jego własności to kwestia kilku godzin. Korzystając z okazji, zaproponowałam nieśmiało, abyśmy - kiedy poliqa zatrzyma tę ciężarówkę i przekaże nam jego ulubienicę - upatryli coś dla Borków i w ten sposób uratowali życie jeszcze jednemu koniowi. Lolita ze złamaną nogą chyba nie zaprotestuje przeciw towarzyszowi podróży.

- Druga Ania! - zawołał ubawiony wujek, a ja uświadomiłam sobie, że najwyraźniej zdążyłam już czymś się od niej zarazić.

Filip znów musiał wszystko popsuć, wtrącając się z wykładem.

- Nie wszystkie konie idą na rzeź - tłumaczył, choć nikt go o to nie prosił. - Najlepsze Włosi zostawiają na

222

chów i za takie potrafią płacić w dolarach. Wychodzą na swoje, bo nasze ceny wciąż są dla nich śmiesznie niskie.

To, co mówił, brzmiało pocieszająco, ale udawałam, że wcale go nie słucham. Szybko się okazało, że to nie miało być pocieszenie.

- Słabsze i chore skupują Sycylijczycy do morderczych wyścigów. To gorsze niż rzeźnia. Zwierzę przebiegnie dwa, trzy razy i kończy karierę, oczywiście w ubojni.

Znowu pojawił się w kącikach warg Filipa ten grymas, który widziałam u niego, gdy wracaliśmy od Borków po wypadku Ani. Tylko że poprzednio mogłam obserwować jego profil, siedząc na fotelu obok. Teraz ukradkiem zerkalam do wstecznego lusterka, gdy chciałam zobaczyć jego twarz. Powiedział wtedy, że wypadek Ani to wina człowieka i był tak samo zły jak w tej chwili. Nie wątpiłam, że gonitwy, w której wykańcza się chore konie, też nie świadczą o ludziach najlepiej.

- Najlepsze do tego są zwierzęta małe i zwinne, bo takie dobrze sobie radzą na ostrych zakrętach. Czasem wykorzystuje się polskie konie - dodał, nie patrząc na Wujka, lecz we wsteczne lusterko.

Lolita jest mała i zwinna. Jaki los czekałby ją po wywiezieniu za granicę? Na szczęście w porę zauroczyła Wasyla, a potem Dawida Grytę. Za kilka godzin wróci wreszcie do prawowitego właściciela, pomyślałam, odprężając się, i - chcąc nie chcąc - uśmiechnęłam się z zadowoleniem. Nie podejrzewałam, że życie znów potężnie mnie zaskoczy.

Filip spokojnie prowadził nissana. Włączył nawet Zet-kę, na co kiedyś bardzo rzadko dawał się namówić. Jon

223

Bon Jovi wykrzykiwał swój najnowszy przebój One Wild Night, który głupio kojarzył mi się z pewną dziką nocą. Zacisnęłam zęby i postanowiłam wytrwać do wiadomości o dwudziestej, choćby nawet radio nadawało same piosenki na jeden temat. Boże jedyny, czy ci ludzie naprawdę muszą śpiewać w kółko o tym samym?!

Odwrociłam się do szyby. Wyjątkowo wcześniej zapadał dzisiaj zmierzch. Na południu kłębiły się czarne chmury, zbyt ciemne jak na wieczór. Czyżby zwiastowały deszcz?

Bo chyba nie kolejną burzę? Przypomniało mi się, co mówił wspólnik Świrusa o zwalonych drzewach, godzinami tarasujących drogę na wiele godzin. Może nas to nie spotka.

Obawy o pogodę wkrótce potwierdził telefon.

- Sacharuk, słucham - wyrwał mnie z zamyślenia głos Wujka. Dzwonił Zbyszek po rozmowie z kielecką policją. W Górach Świętokrzyskich szaleje burza, zanosi się na oberwanie chmury, a na wschodzie wylewa Wisła. Ludzie obawiają się, że po raz drugi tego lata wyżynę dotknie klęska powodzi. Policja ma mnóstwo roboty i nie wyśle żadnego wozu na ulicę.

- W razie czego dzwońcie do najbliższego posterunku, gdy już przynajmniej namierzycie tę ciężarówkę -radził Zbyszek. - Możecie kontaktować się z kielecką komendą, podam numer telefonu...

Właściwie pozostawił nas samym sobie. Gdy dogonimy ten przeklęty samochód, przecież kierowca nie zatrzyma się dobrowolnie i nie odda nam konia! Chyba że jakimś cudem zgodzi się go odsprzedać. Na jego miejscu nie uwierzyłabym jednak w czyste intencje ludzi, którzy pędzą za nim w ciemnościach i deszczu. Bo lada chwila

224

zacznie padać. Jeśli żaden wóz policyjny nie zdąży przyjechać na czas - a podejrzewam, że tak będzie - staniemy oko w oko z przedstawicielem przemytniczej mafii. Jak zmusimy go do zatrzymania się na poboczu i otworzenia przyczepy ciężarówki, kto wie, czy też nie kradzionej? Niektórzy kierowcy tirów przewożących zwierzęta tuż przed granicą łamią koniom nogi lub wydłubują oczy, bo wybrakowany towar nie podlega ocłeniu. Nie miałam złudzeń, że takiemu typowi nie robi specjalnie różnicy, czy zneća się nad istotą cztero- czy dwunożną. A jeśli ma broń? Ciarki przeszły mi po plecach. Pierwszy raz od zniknięcia Lolity nie miałam ochoty o nią walczyć. Trzęsłam się ze strachu. Albo tylko z zimna, bo zerwał się gwałtowny wichur i wdarł do środka z głośnym świstem, zanim zdążyłam zasunąć szczelnie okno. Z miejsca lunął deszcz, marszcząc szyby, przez które i tak już niewiele widziałam. Chcąc nie chcąc, zaglądałam przez ramię Filipowi. Obserwowałam drogę poprzez poruszające się nieustannie wycieraczki.

Ulica była pusta. Przynajmniej prawy pas. Lewym od czasu do czasu śmignął w stronę Warszawy jakiś samochód osobowy, wiozący ostatnich wracających z weekendu maruderów. Albo kilka żuków z materiałami budowlanymi. Nawet autobus. A na południe nie jechało nic, prócz osobowego autka, które dzielnie broniło się przed wyprzedzeniem.

Czyżby ludzie bali się powodzi? W braku godnych uwagi obiektów zajęłam się śledzeniem gry kolorów na szosie. Asfalt w mroku wyglądał niczym zachód słońca, tak

wiele było tu barw. Dwa rzędy lamp ustawionych po obu stronach szosy oświetlały moką od deszczu na-

225

wierzchnie. Jezdnia barwiła się od nich na kolor złoty, to znów miedziany. Tylne światła punta, które wciąż mieliśmy przed sobą, rzucały czerwone smugi. Sprawiały wrażenie pionowych i jakby trójwymiarowych, zatopionych w świecącym asfaltowym potoku, niczym gigantyczne butelki chłodzącego się wina. Miejscami układały się w czerwono-złote zygzaki. Po lewej stronie szosy toczyły się białe kule przednich świateł innych pojazdów. Przed oczyma migwały mi w tym wszystkim jeszcze jakieś zielone plamy, jakby odbicie sygnalizacji świetlnej, której nigdzie tu chyba nie było.

Pochłonięta obserwowaniem tego kalejdoskopu, ostatnia zorientowałam się, że doganiamy jakąś ciężarówkę. Jej zarys majaczył w oddali. Koloru przyczepy nie dało się jeszcze zidentyfikować, ale wiedzieliśmy, że to jej szukamy. Pędziła niczym wezwana do wypadku karetka pogotowia. Filip wcisnął pedał gazu i nissan gwałtownie przyspieszył, po czym pomknął po śliskiej szosie z prędkością, która zaskoczyłaby konstruktora tego pojazdu.

Tymczasem burza dotarła już do nas, albo to my zbliżyliśmy się do niej. Coraz wyraźniejsze stawało się zagrożenie, jakie żywioł niósł południowej Polsce. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Terespol, ze względu na specyficzne warunki klimatu, przez groźne wyładowania atmosferyczne jest szczęśliwie omijany. W trakcie pobytu na Mazowszu też nie trafiłam na tak gwałtowną nawałnicę. To, co działo się w Puszczy Świętokrzyskiej, którą przebywaliśmy w mało turystycznym tempie, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Strugi wody lały się tak, że z trudem dostrzegałam wartki stru-

226

mień deszczówki spływający pod koła samochodu, gdy droga wspinała się w górę, i nieomal zalewający nam bagażnik, kiedy zjeżdżaliśmy z kolejnego wzniesienia. Modliłam się, żeby nie trafił w nas piorun i żałowałam, że nie mam przy sobie gromnicy. Zwłaszcza gdy zgasły jednocześnie wszystkie latarnie po obu stronach szosy i zapadła czarna noc, jakiej rzadko można doświadczyć. Zawsze gdzieś, bliżej czy dalej, palą się światła uliczne albo choćby lampa w czyimś oknie. Tu nie mieliśmy nic poza słabym, rozproszonym światłem reflektorów naszego auta. Filip musiał zwolnić. Strugi deszczu uderzały o dach samochodu, rozpryskiwały się i spływały po masce rwącym potokiem. Wody przybywało i bałam się, że zaczniemy się topić. Po każdej błyskawicy robiło się jeszcze ciemniej i jeszcze straszniej. Wiatr szarpał gałęziami przydrożnych drzew i wyl przeraźliwie. Gdzieś blisko uderzył piorun. Równocześnie lunął straszliwy deszcz.

- Co robić? - niepokoił się Wujek. - Stanąc na poboczu i przeczekać, czy raczej jechać dalej?

- W czasie burzy nie wolno stać pod drzewem - przypomniałam sobie ostrzeżenie babci. Gdyby ona wiedziała, gdzie teraz jestem...

- No, ale gdzie tu nie ma drzew? - wtrącił Filip, zwalniając jeszcze bardziej.

Pokonywaliśmy kolejny pagórek. Następny błysk rozświetlił gęsty mrok, ukazując rzędy olbrzymich pni po obu stronach drogi. Na jezdni wody wciąż przybywało i baliśmy się oberwania chmury.

- No to mamy pecha - mruknął Wujek.

W poprzek drogi leżało jedno z tych gigantycznych

227

drzew. Masywna jodła zatarasowała przejazd. Błyskawica rozcięła w poprzek jej pień, który złamał się w połowie. Dolna część wyglądała jak monstrualna zapałka z usmolonym lepkiem. W świetle błyskawic sprawiała upiorne wrażenie. Przeniosłam

wzrok z tego żalnego masztu na równie nieszczęśliwie prezentującą się miotłę, która zagradzała nam drogę, ale też ułatwiła nam zadanie, zmuszając do postoju kierowcę ściganej ciężarówki. Jej korpus wyłonił się, gdy ciemności rozświetlił snop światła samochodowych.

- Spójrzcie! - zawołałam, wskazując na odbłask szkła, który wydobywał się spod gałęzi. Czyżby punto, za którym jechaliśmy od Warszawy? Straciliśmy je z oczu, gdy Filip zatrzymał się na staq'i benzynowej po tym, jak na tablicy rozdzielczej zamrugała mu rezerwa.

- Przygniotło jakiś samochód... Filip nie pozwolił mi dokończyć.

- Szybko, może kierowca jeszcze żyje! Wyprysnęliśmy z auta prosto w strugi deszczu. Nad

nami burza i las trzeszczały zespolone w jeden groźny ostry i nieprzyjazny huk. W mig dopadliśmy iglastych gałęzi. Zasłaniały szyby i nie mogliśmy dostrzec znajdujących się wewnątrz ludzi. Wierzchołek pnia uderzył o dach i wgniół blachę do środka.

Pomyślałam, że źle zrobiliśmy, pospieszając od razu na ratunek, zamiast sprawdzić, czy ofiara nie znajduje się już w kabinie tira. Jego kierowca, mimo że był przestępcą, chyba udzieliłby pomocy poszkodowanemu w wypadku człowiekowi. A może się mylę?

W końcu Wujek i Filip zaczęli gorączkowo rozgarniać mokre gałęzie, przekonani, że w punkcie ktoś jest. Poma-

228

gałam im, chociaż Filip wysyłał mnie do samochodu, żebym się nie przeziębiła.

Osiągnął jedynie taki skutek, że gdybym nawet miała najtwardsze serce na świecie, zostałabym przez zwykłą przekorę.

Siedzenia pasażerów okazały się puste. Na miejscu kierowcy leżała kobieta. Pochyliła się na sąsiedni fotel w pozycji, która musiała być skutkiem uderzenia w głowę. Albo usnęła, czekając na pomoc drogową. Nie mogła siedzieć prosto z powodu wgniecionego do środka dachu samochodu, akurat od strony kierowcy. Może wcale nie była poszkodowana? Nie ruszała się wprawdzie, ale na jej jasnych, związanych na karku, kręconych włosach nie znać było śladów krwi. Miałam wrażenie, że już gdzieś te włosy widziałam.

Filip pierwszy dopadł drzwi od strony kierowcy i otworzył je, podważając kijem, bo cała górna część zgmiotła się niczym aluminiowa puszka. Na tę stronę, powyżej klamki, poszedł cały impet uderzenia. Drzwiczki z przeciwnej strony były proste, ale zablokowane od wewnątrz. Szarpałam je bezskutecznie, dopóki Filip nie pomógł mi, otwierając zamek od środka. Dopiero teraz zorientowałam się, że za kierownicą punta siedzi nie kobieta, tylko chłopak, i to w dodatku znajomy.

Filip odwrócił nieprzytomnego delikatnie twarzą do góry. Już nie miałam żadnych wątpliwości.

- Jakub! - powitałam go okrzykiem radości, ale nie otworzył oczu. Zaniepokoiłam się nie na żarty. - Co mu jest? - zapytałam Filipa. - Nie jest przecież ranny...

No, niechże coś powie albo zrobi, ja się boję o Kubę! Tymczasem on patrzył w moje oczy, rozgorączkowane ze strachu o brata Ani. Wyczuł, jak bardzo zależy mi na

229

tym chłopcu. Nie dziwił się, że go znam, i nie pytał, skąd. U Borków raczej nie zdążył go zobaczyć.

- Nie uderzył się w głowę, to pewne - ocenił. Miał przy tym głos pokonanego rywala, co mi się bardzo podobało. - Nie mam pojęcia, dlaczego się nie budzi.

Kuba, kiedy go znaleźliśmy, drzemał na dużym turystycznym plecaku. Oplótszy go oburącz, zdawał się całkowicie zrelaksowany, co w tych warunkach wyglądało dość dziwnie. To, że bez racjonalnej przyczyny nie chciał się obudzić, też nie było

normalne.

- Wyciągnijmy go na zewnątrz i spróbujmy ocucić - zaproponował bohaterko mój niedoszły małżonek.

Wujek odsunął mnie delikatnie i pomógł Filipowi go wynieść. Trzeba przyznać, że mieli co dźwigać. Weterynarz, choć wcale nie ułomek, przy atletycznie zbudowanym i przewyższającym go co najmniej o głowę Jakubie wyglądał bez mała jak nasz poczciwy misiek przy amerykańskim grizzly. Dokonałam owego porównania z mściwą satysfakcją, po czym z lekkim niepokojem rozejrzałam się na boki, sprawdzając, czy przypadkiem w ciemnościach nie kryją się przedstawiciele drapieżnego gatunku. Poza nieruchomym konturem ciężarówky nie dostrzegłam nic. Niedźwiedzie brunatne żyją w Tatrach, ale tu też są góry, choć mniejsze, oraz równie stary las. Kto wie, co się w nim kryje.

- Brrr! - wstrząsnęłam się, odpędzając od siebie myśli o strachach.

- Brrr! - wstrząsnął się Kuba, gdy poczuł strugi chłodnego deszczu na cienkiej bawełnianej koszulce. Żałowałam, że nie włożył koszuli z guzikami, bo wtedy Filip

rozpiąłby ją zapewne, żeby prędzej ocucić pacjenta. Zobaczyłby ten fantastyczny tatuaż i niesamowicie zbudowaną klatkę, której może mu co najwyżej pozazdrościć i ewentualnie pobożnie życzyć sobie podobnej. Sylwetkę ma, owszem, nie najgorszą, ale gdzie mu tam do brata Ani! Tymczasem mogłam podziwiać tylko nadruk z napisem „Metallica”, migocący w świetle błyskawic upiorną bielą na czarnym tle koszulki. Kuba budził się jak człowiek wyrwany z głębokiego snu. Patrzył przed siebie otępiałym wzrokiem i dostrzegłszy pochylone nad sobą postacie dwóch obcych facetów - choć w bardziej sprzyjających okolicznościach jednego z nich zapewne by rozpoznał - usiłował zrozumieć, kim są i czego oczekują.

- Kuba! - przyskoczyłam, gdy tylko wydał z siebie jakiś pomruk. - To ja, Broszka! Zareagował na tę informację wprawdzie nie okrzykiem radości, ale czymś, co najwyraźniej miało stanowić powitalny uśmiech. I znów jakby zaczął zapadać w sen. Przypomniały mi się psy Borków, które tamtego feralnego dnia, gdy Anię stratował oszalały koń, miały podobne miny. Tylko że im podano spegalny środek, aby wywołać ten efekt.

Szarpnęłam chłopaka za koszulkę, nie pozwalając mu zapaść w drzemkę.

- Kubuś, słyszysz mnie?! - wrzasnęłam mu nad uchem. - Co się stało?!

Z trudem podniósł rękę i dotknął prawej strony szczęki.

- Strasznie bolał mnie ząb - oświadczył przytomnie. - Nie miałem żadnych proszków, tylko nasenne. To matki

231

samochód, zawsze je ze sobą wozi, w razie gdyby wypadło jej nocować w hotelu.

Taką ma pracę.

- I ty się tego nałykałeś?

- Wziąłem jeden, ale nie poskutkował od razu. No to poprawiłem. Nie miałem wyjścia, wszystko zniosę, tylko nie ból zęba. Zdałem sobie sprawę, że czeka mnie noc na tym odludziu, zanim doczekam się ekipy porządkującej ulicę, która mnie stąd wygrzebie. Siedziałem uwięziony w aucie i było mi wszystko jedno, czy śpię, czy nie, byle nie bolało. A ty skąd się tu wzięłaś?

Wyjaśniłam, po co pchamy się nocą w rejony zagrożone powodzią. To rozbudziło Kubę do tego stopnia, że rozpoznał sąsiada ciotki Borkowej.

- Wracalem z Kostomłotów do domu - wyjaśnił nam z kolei, jak on sam się tu znalazł.

- Mieszkam w Chęcinach, to za Kielcami.

Kiwnęłam głową, że kojarzę. Miejscowość znałam ze szkolnej wycieczki na Wyżynę Kielecko-Sandomierską, podczas której zmuszano nas do podziwiania zjawisk

krasowych w wapiennej jaskini Raj.

- Piorun trzasnął w przydrożne drzewo i odłupał wierzchołek. Trzymał się dosłownie na włosku, ale myślałem, że zdążę przejechać, zanim upadnie. Gdybym wiedział, że rąbnie mnie w dach, to raczej bym hamował, zamiast dodawać gazu. Mądry głupi po szkodzie.

Odruchowo chciałam poprawić głupiego na Polaka, ale dałam spokój. Co się będę czepiać.

- Miałeś szczęście, że przynajmniej zdążyłeś się odchylić i nie dostałeś w czajnik - dodał Filip, zerkając już na ciężarówkę. Stał blisko mnie i po minie poznałam, co w tej chwili sobie myśli: Jedna sprawa załatwiona, czło-

232

wiek żyje i nawet nic mu nie jest, to dobrze. Broszkę łączy z nim nie to, co myślałem, drugie dobrze. Czas zająć się tym, po cośmy tu naprawdę przyjechali.

Wszyscy odwróciliśmy się w stronę kabiny, czekając na błyskawicę, która rozświetli okno i pozwoli nam się przekonać, czy za kierownicą w ogóle ktoś jest.

..

Rozdział dwudziesty

Oczywiście był. Przez cały czas przyglądał nam się zza szyby, a bujne kręcone włosy i równie okazała czarna broda sprawiały wrażenie, że zamiast twarzy ten człowiek ma jeden wielki kołtun. Nie wzbudzał sympatii i odzyskanie Lolity wydawało mi się coraz mniej prawdopodobne.

Ale nie Filipowi. Zdecydowanym krokiem podszedł do ogromnego wozu. Błyskawica na moment odsłoniła burtę ciężarówki. Na brezencie nie było żadnej reklamy, ale może umieszczono ją tylko z jednej strony? Szkoda, że nie zapamiętałam numeru rejestracyjnego. Wiedziałabym na pewno, czy to samochód, którego szukamy.

Filip wspiał się po schodkach i załomotał pięścią w okno, pokazując na migi, żeby otworzyć. Zarośnięty facet namyślał się, a my z Wujkiem i Kubą podeszliśmy bliżej.

Drzwiczki uchyliły się nieznacznie. Weterynarz pospiesznie tłumaczył, tamten milczał i tylko błyskał białkami oczu. W końcu się na coś zdecydował.

- Szto? - warknął i podniósł rękę. W pierwszym odruchu omal nie padłam na mokrą jezdnię, ale na szczęście

234

mężczyzna był nieuzbrojony i wcale nie zamierzał do nas strzelać. Przeczesał tylko palcami grzywę nad czołem. Znów poniosła mnie wyobraźnia, i kolejny raz niepotrzebnie.

Filip przeszedł na rosyjski. Ograniczył się do sedna sprawy.

- Koń. Łoszad'. So stomanoju nogo]. Jest' u was iii niet?

A kiedy nieznajomy zaczął wykazywać oznaki, że owszem, rozumie, ale wydaje mu się podejrzana ta ciekawość, Filip pospieszył z wyjaśnieniem:

- My chatieli pakupit' u was. Nam ukrali takuju że. Mo-żem dał' mnogo dienieg.

Ostatni argument poskutkował. Mężczyzna podniósł w górę krzaczaste brwi i opuścił je, co wyglądało jak krótki spacer dwóch włochatych gąsienic. Z pewnym wahaniem opuściłabinę. Był ogromnej postury i sprawiał wrażenie osiłka, ale nie dziwiło mnie, że obawia się zagrożenia z naszej strony. Chyba tylko fizjonomia Filipa, która nie wiedzieć czemu kojarzyła się niektórym ludziom z obliczem stróża prawa, zaważyła na tym, że facet posłuchał. Zwolnił zatrzaski z tyłu przyczepy i we dwóch ostrożnie opuścili rampę. Padający ciągle deszcz, choć teraz mniejszy, momentalnie zamoczył deski.

Wnętrze transportera objawiło się przed nami czarną dziurą, w której nie świeciły nawet białka końskich oczu. Zdziwiło mnie, że ani jedno zwierzę nie zarżało ani nie parsknęło. Zanim Filip przyniósł z samochodu latarkę, Wujek dowiedział się od

kierowcy, że jest on Litwinem i wiezie konie ze swojego kraju do Turynu. Jak najbardziej legalnie. Po drodze nic nie dobierał, własnych ma aż za dużo. Żadnej klaczy ze złamaną nogą nie posiada.

235

Przynajmniej było tak w chwili załadunku, bo teraz wszystko jest możliwe. Niewykluczone, że w samochodzie coś sobie zrobiła, bo w podłodze są dziury i coraz to któreś zwierzę się łamie. Na targu w Bodzentynie nie zamierza się zatrzymywać. Jeszcze raz powtórzył, że i tak ma pełno, a nawet o parę sztuk za dużo, bo jakoś szczęśliwie udało się upchnąć ponad normę.

Kuba szepnął coś do mnie na stronie. Nie zrozumiałam go.

- Mówię, że jej tu nie znajdziemy.

Kiwnęłam głową, czego w ciemnościach może nawet nie zauważył. Byłam tego samego zdania, ale wypadało sprawdzić. Życie potrafi nieźle zaskoczyć i najlepiej przyjąć, że niewiele jest w nim rzeczy absolutnie pewnych. Wiedziałam coś o tym, niestety.

Pojawił się Filip z latarką i wełnianą derką Lolity, którą Wujek przezornie zabrał w podróż. Derkę podał mnie i kazał mi się okryć. Nie protestowałam. Wspiął się na śliską rampę, pochyloną pod znacznym kątem. Posuwaliśmy się ostrożnie za nim. Zapalił latarkę i w silnym snopie sztucznego światła ujrzeliśmy straszny widok. Dwa rzędy koni uwiązano na krótkich sznurkach do drągów umocowanych wzdłuż boków przyczepy i stojące naprzeciw siebie zwierzęta stykały się zadami. Tak musiało przedstawiać się to wewnątrz tuż po załadunku. Kiedy weszliśmy tam po dwóch dniach podróży, zobaczyliśmy zgoła co innego - około trzydziestu koni wyczerpanych ścisaniem i męczącym transportem. Osowiałe, powoli i z wysiłkiem podnosiły powieki. Część patrzyła na nas, błagając o uwolnienie, inne miały zbyt krótkie

236

postronki, aby móc odwrócić głowę. Szorstkie nylonowe sznurki, splątane w prymitywne kantary, poraniły niektórym skórę na nosie. Dwie klacze stojące najbliżej nas miały boki obtarte od szorstkich desek rampy i zachowywały się dziwnie. Wyciągały głowy na zewnątrz, nie dbając o to, że sznur wrzyna im się w potylicę aż do krwi, i łakomie lizały mokrą od deszczu krawędź burty niczym bryłę soli z mikroelementami.

- Co one robią? - zapytał Kuba.

- Muszą być bardzo spragnione - wyjaśnił Filip z pozornym spokojem. Sporo musiało kosztować go hamowanie złości, wywołanej obrazem tej końskiej gehenny. Cierpieniu zwierząt znów zawinił człowiek, a tego weterynarz nie mógł znieść nade wszystko. A że męczyły się okrutnie, nikt z nas nie wątpił. W środku ciżby sytuacja wyglądała jeszcze gorzej. W pewnym miejscu przeciekał dach i deszczówka lała się na złączone zady, wystawiając spragnione wody zwierzęta na nieustanną torturę. Jeden ze źrebaków upadł, czy to ze zmęczenia, czy też pod naporem ciężkich pociągowych wałachów. Jego także uwiązano zbyt krótko i wobec tego trwał teraz z głową wyciągniętą w górę, w dziwacznej jak na ten gatunek pozycji, przypominającej siedzącego psa. Nie ruszał się i byłam pewna, że nie żyje, dopóki nie zamrugał. A wtedy myśmy też musieli zrobić to samo. O tak, doskonale rozumiałam wściekłość Filipa! Najgorsza w tym wszystkim była nasza bezsilność.

- Jak one będą wyglądały, gdy dojadą wreszcie do celu?! I w jaki sposób Litwin zamierza przejść przez kontrolę sanitarną na odprawie granicznej? - oburzałam się

237

głośno, licząc, że nie rozumie po polsku. Ale chyba przejeżdżał przez Polskę nie pierwszy raz, bo słowa „kontrola sanitarna” nie zabrzmiały mu obco.

- Oj, dziewczuszka, dziewczuszka, żyzni ty nie znajesz! - zarechotał, ubawiony moją

naiwnością.

Postanowiliśmy odsunąć drzewo i zrobić przejazd. Wszyscy razem, zwłaszcza przy pomocy Jakuba i ogromnego Litwina, mieliśmy szansę je ruszyć. Skoro nie znaleźliśmy Lolity, to znaczy, że była w innej ciężarówce i każda chwila zwłoki mogła nas dużo kosztować. Choć nieprzenikniona czerń nocy wciąż zalegała okolicę, to przecież światła samochodowe, omiatając poboczne ulicy, wywołały z mroku fosforyzujące paski na przydrożnych słupkach, które wyznaczają bieg szosy. Pogoda zaczęła nam sprzyjać. Woda z opadów spłynęła po asfalcie i wsiąkła w leśne poszycie. Na tej wysokości powódź z pewnością nam nie groziła. A burza, jak to zwykle bywa w lecie, wpierw nagła i gwałtowna, teraz pluskała jedynie prawie ciepłym deszczem, spływającym po karku cienką strużką, gdy pracowaliśmy przy porządkowaniu przejazdu. Dalekie błyskawice słabo rozświetlały mrok błękitną poświatą, a rzadkie grzmoty przypominały pomruki niedźwiedzia, który przestał się już złościć. Wiatr uspokoił się i las wyraźnie przycichł. Strzaskany wierzchołek jodły rysował się martwym konturem na tle głębokiego granatu nieba. W dole garstka ludzi niezmordowanie zmagająca się z powalonym drzewem. Staraliśmy się przy tym nie nastąpić na porwane przewody elektryczne, splątane wokół jego podstawy.

Wujek odczepił trailer i ustawił nissana tyłem do zwa-

238

lonych gałęzi. Filip z Jakubem przyskoczyli, aby zawiązać na haku linę holowniczą.

Wcześniej opletliśmy nią pień jodły. Ciężarówka ustawiła się równolegle do samochodu Wujka. Mężczyźni szybko uporali się z drugą liną.

- Teraz! - wrzasnął Filip i oba silniki zawyły z wysiłku. Koła kręciły się po mokrym asfalcie, jednak drzewo ani drgnęło. Pchaliśmy z tyłu, Dę mogliśmy, lecz skończyło się na obluźowaniu jednej z lin.

- To bez sensu. - Po trzeciej próbie Wujek zrezygnował. - Nie uda nam się.

Zaświtało mi, żeby zaprząć do pomocy kilka z przewożonych koni, ale ze wstydem odrzuciłam ten pomysł. Osłabione zwierzęta padłyby już podczas próby wyprowadzenia z samochodu.

- Zamieńmy pojazdy miejscami. Może w ten sposób jakoś pójdzie - zaproponował Filip, który niełatwo dawał za wygraną.

O dziwo, poskutkowało. Po pustej szosie potoczyła się najpierw ciężarówka Litwina, a w kwadrans później samochód terenowy z uczezionym z tyłu trailerem oraz fiatem punto na holu, ze zgniecioną lewą stroną maski. Jechaliśmy dalej, choć znacznie wolniej niż przed postojem.

Krótko cieszyliśmy się wolną drogą. Burza zwała więcej drzew i co kilka kilometrów natykaliśmy się na przeszkodę. Filip zawsze w porę zdążył się zatrzymać, unikając zderzenia z unieruchomionymi przed nim pojazdami. Jak się okazało, całkiem sporo samochodów zmierzało w tym czasie na południe. Zaraz organizowaliśmy ekipę ratunkową, by wspólnymi siłami usunąć konary

239

z drogi. Raz nawet ktoś nas uprzedził i zastaliśmy gotowy przejazd. Widocznie komuś spieszyło się tak bardzo jak nam.

W końcu dotarliśmy do miejsca w pobliżu Kielc, gdzie nie dało się już nic zrobić.

Wielgachny pień buka, przepołowiony wzdłuż od pioruna, jedną częścią zwałił się w poprzek drogi. Na nieszczęście dołem wciąż mocno trzymał się korzeni. Nie sposób było go ruszyć ani ominąć. Musieliśmy czekać na straż pożarną czy inną specjalistyczną ekipę, czyli pewnie do rana. Albo nawet dłużej, bo wszystkie służby ratowały powodzian. Radio bombardowało doniesieniami z akcji nad brzegami dopływów Wisły, na wschód od miejsca naszego przymusowego parkowania. Potoki wypływające z Gór Świętokrzyskich zmieniały się w wielkie oszalałe rzeki, których

wody sięgały domów wysoko na zboczach pagórków i zabierały ze sobą wszystko. Powtarzała się tragedia sprzed czterech lat.

Czekaliśmy. A ciężarówka z Lolitą mogła już być daleko, może pod Zebrzydowicami. Jedyna nadzieja, że kierowca zatrzyma się po drodze na targu w Bodzentynie, jak przewidywał Filip. Bardzo chciałam, żeby miał rację i tym razem.

Burza stawała się wspomnieniem. Chmury, do tej pory gęsto stłoczone na niebie, rozstały się i ujrzałam fragment księżyca. Przeszło padać, tylko od czasu do czasu drzewa przeszywał jak gdyby dreszcz i gęsty grad kropel opadał z szeleszczących liści na dach nissana. Las milczał. Była to jednak pozorna cisza, jak zawsze, gdy po okropnym hałasie nastaje spokój. Noc niepostrzeżenie przedzierzgnęła się w przedświt i w słabym jeszcze

240

blasku wstającego dnia rozpoznawałam coraz więcej szczegółów wnętrza samochodu. Wujek pochrapywał na przednim fotelu pasażera, odrzuciwszy głowę w tył. Kuba też zasnął, pod wpływem stresu i zmęczenia albo nie do końca jeszcze pokonanego działania leku. Czuwaliśmy jedynie ja i Filip. Chwilami miałam wrażenie, że znów jesteśmy tylko we dwoje w kostomłockim lesie, a to ciepło, które czuję na swoich kolanach, pochodzi nie od Jakuba. Szkoda, że wszystko tak się skomplikowało. Zorientowałam się poniewczasie, że w podnieceniu zdarzyło mi się rozmawiać też z Filipem. Teraz, gdy ochłonęłam z emocji, postanowiłam nadal się do niego nie odzywać. Nie chciałam go nawet słuchać, ale wiedziałam, że nie przepuści takiej okazji.

- Musisz! - wybuchnął, zaraz jednak ściszył głos, żeby nie budzić świadków. - Proszę cię, zrób chociaż tyle i wysłuchaj mnie.

Nie wiem czemu, ostatnio czułam się jak bohaterka wiejskiego „tasiemca”. Miałam wprawdzie nadzieję, że ten serial nie składa się ze zbyt wielu odcinków, nie zamierzałam jednak niczego Filipowi ułatwiać, o nie. I tak za dużo wycierpiałam przez tego bigamistę. W dodatku głupio i niepotrzebnie. Pochyliłam głowę i delikatnie, żeby nie zbudzić Kuby, odgarnęłam z jego czoła mokry kosmyk długich włosów. Poskręcane od deszczu, przypominały mi dzień, kiedy tak beztrudnie bawiliśmy się na kąpielisku w Kobylanach.

Jakub westchnął przez sen i przekręcił głowę, prezentując profil śliczny jak u Pawła Deląga, a ja szczerzej okryłam go derką. Na szczęście zmokła tylko z jednej strony.

241

Poczułam, że Filip mnie obserwuje. Znienacka podniosłam głowę i spojrzałam we wsteczne lustro. Zderzyliśmy się wzrokiem. Spuścił oczy jak przyłapany na gorącym uczynku. Poprawiłam derkę jeszcze trochę, wkładając w ten gest tyle czułości, ile się dało. Nie musiałam specjalnie się starać, samo mi tak wychodziło w obecności Kuby. Chwilę trwała między nami cisza, w której Staszek Soyka nucił nieśmiertelny refren: „Jesteś moją kokainą... Fa na na na”. Tak, ty jesteś moją kokainą, Filip, żebyś wiedział, ale ludzie potrafią skończyć z ćpaniem i ja nie będę od ciebie uzależniona. Nie będę. W końcu Filip znów się odezwał. Że on rozumie, jaki to dla mnie cios, ta jego żona i w ogóle, ale nie może dłużej znieść mojego zachowania. Tego, że się do niego nie odzywam. A on dla mnie zrobiłby wszystko.

Brzmiało to nawet szczerze, lecz doświadczenie nauczyło mnie nie ufać. Stłumiłam głupie porywy serca i posłuchałam podszeptu nabytego ostatnio rozsądku. Nic z tego, nigdy nie będziemy razem i już. Zacięty wyraz twarzy mówił za mnie wszystko. Nie rozumiał. Nalegał. Dalsze milczenie straciło sens. Było dziecinne i świadczyło na moją niekorzyść. Ludzie obojętni wobec siebie potrafią zamienić ze sobą kilka słów. Nie ma w tym nic dziwnego. Przynajmniej wytłumaczę mu tak, żeby zrozumiał i dał mi wreszcie spokój.

- Słuchaj... Nikomu o tym nie mówiłam...

Cięzko mi szło. Oblizywałam zaschnięte wargi. Staralam się tak dobierać słowa, aby brzmiały jasno, ale nie śmiesznie. Bo to, co chciałam mu powiedzieć, mnie samej wydawało się głupie.

242

- Chodzi o niebieskie drzewa.

Filip musiał się mocno zdziwić, ale - jak to on - nie dał nic po sobie poznać.

- W dzieciństwie wierzyłam, że takie istnieją. Kiedy miałam mniej więcej tyle lat co Cinka, wychodziłam czasem na pole za domem. Na horyzoncie widziałam wierzby zarastające brzegi Bugu i z tej odległości ich liście wydawały mi się zupełnie niebieskie. Dlatego wyobrażałam sobie, że mam niebo na wyciągnięcie ręki. Nigdy nie zapomnę dnia, w którym zabrano mnie na długi spacer w tamtą stronę. Przekonałam się, że te drzewa są całkiem zwyczajne, takie same jak te rosnące blisko mnie, na które nie zwracałam uwagi. Jednak do tej pory zdarza mi się odczuwać dreszczyk, gdy niespodziewanie znajdę się pośród krajobrazu przypominającego tamten widok. Wiesz, do czego zmierzam?

Filip pokręcił głową. Tak myślałam, metafora była dla niego za trudna. W końcu to tylko facet.

- Chodzi mi o to, że z tobą było tak samo. Z daleka wyglądałaś niczym drzewko w kolorze blue. Gdybym wcześniej porozmawiała z ludźmi, którzy cię lepiej znają, usłyszałabym, że to złudzenie optyczne. Fatamorgana. A tak, choć niestety dużo później, sama musiałam przekonać się, że jesteś zielony i zwyczajny jak pierwszy lepszy krzak!

Wujek zniecka sapnął i poruszył zdrtwiałą ręką, lecz nie przerwał drzemki.

Ciekawe, co by sobie pomyślał, gdyby usłyszał ostatnie zdanie.

Filip tymczasem dostosował się do stylu, który narzuciłam naszej rozmowie.

- Jak by ci to powiedzieć, Broszka? - zaczął ostroż-

243

nie. - Nie obraż się, ale gadasz jak dzieciak. Chcesz, żeby wszystko było albo dobre, albo złe, a tak się nie da. Niebieskie drzewa nigdy nie istniały. Ani bliżej, ani dalej. To, że je widziałaś, zależało od tego, jak na nie kiedyś patrzyłaś. Dlaczego więc na mnie nie chcesz spojrzeć w ten sam sposób?

- Ty znowu swoje! - zdenerwowałam się, bo do niego naprawdę nic nie docierało. A może dlatego, że nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

- Broszka, nie złość się! - prychnął. I dodał znacznie łagodniej: - Proszę cię...

Znowu zapadła cisza, jeśli nie liczyć włączonej Zetki. Chyba znieawidzę tę stację radiową, tak jak ją dotąd lubiłam.

Filip spróbował jeszcze raz.

- Posłuchaj, kochanie - odezwał się jak do małego brzdąca, który rozpacza, że święty Mikołaj okazał się tatusiem. - A może nie tylko ze mną jest tak, jak mówisz? Nie przyszło ci do głowy, że z bliska wszystko tak wygląda? Nie ma na świecie rzeczy idealnych, tak jak nie ma niebieskich drzew. Każdy człowiek, zdarzenie, idea ma co najmniej dwa oblicza i jedno z nich na pewno nie jest takie, jakiego byśmy sobie życzyli. Chyba się ze mną zgodzisz.

Rzeczywiście, ma rację, pomyślałam, choć nie zamierzałam głośno się do tego przyznawać. To banalne, ale faktycznie tak jest. Weźmy choćby ostatnie wypadki nad Bugiem. Niegdyś zdawało mi się, że Kostomłoty są bardzo prowincjonalne i nic się tam nie dzieje. Gdyby nie stadnina i kradzione chwile z Filipem, nuda odstraszyłaby mnie skutecznie od tego miejsca. Tymczasem pod

244

pozorem popegeerowskiej martwoty działa się tam więcej, niż ktokolwiek mógłby

przypuścić. A ludzie? Świrus, miłośnik koni, okazał się przemytnikiem i handlarzem bez serca. Z kolei poczciwy Józio ujawnił się jako kurier współpracujący z białoruską mafią. Dociekania na temat Ireny również zmieniły jej obraz w moich oczach. A sympatyczny Wujek ukrywał przede mną prawdę o Filipie. No właśnie, to sam Filip sprawił mi największy zawód i nie zamierzam o tym fakcie zapominać. Czego teraz chce? Ranić mnie dalej? O nie, nie dam się!

- Nie jestem głupia i wiem, że niebieskie drzewa nie istnieją. Nie mam już pięciu lat. Ale to nie znaczy, że zadowolę się w życiu byle jakim chwastem, zwłaszcza kłującym w najmniej oczekiwanym momencie. Na świecie są całkiem ładne kwiatki, jeśli chcesz wiedzieć.

Zrozumiał aluzję, o czym upewnił mnie szybki rzut oka na Kubę śpiącego z głową złożoną na moich kolanach. Kto wie, jak potoczyłoby się moje dalsze życie, gdybym dała Kubie szansę? Zorientowałam się po wyrazie twarzy Filipa, że ciągle jeszcze niepokoi go ta możliwość. I bardzo dobrze, niech on też się trochę pomęczy, nie tylko ja. Rys nagłego zdecydowania, jaki pojawił się w kąciu jego ust, upewnił mnie, że zamierza walczyć.

- Broszka, ja też chcę ci coś powiedzieć - wyznał, patrząc mi w oczy. - Pomyśl sobie, że to kłamstwo albo prawda, jak chcesz. Ale to będzie szczere. Kiedyś byłem tak samo naiwny, za przeproszeniem, jak ty. Szedłem na weterynarię z głową pełną marzeń o uszczęśliwianiu naszych braci mniejszych, jak to się mówi, a przede wszystkim o pracy z końmi. A rzeczywistość? Pierwsze zadanie w pracy to uspienie miotu zdrowych kociaków. Wyobra-

245

zasz sobie? Co do koni... Sama widzisz, że nie pracuję nad żadnym nowym lekiem dla nich, co niegdyś było moim celem numer jeden. A dlaczego tego nie robię? Bo popełniłem w życiu głupi błąd. Jak ty w tej chwili, odrzucając mnie.

Poruszyłam się gwałtownie w fotelu, chcąc zaoponować, ale w końcu nic nie powiedziałam. Byłam ciekawa, co Filip nazywał swoim błędem.

- Też wyobrażałem sobie, że powinienem postępować tak, jak należy. To znaczy robić to, czego oczekuje społeczeństwo ze swoimi normami. Jednym słowem, ulegać tak zwanej presji społecznej. Dlatego ożeniłem się z Joanną, kiedy się okazało, że jest w ciąży. Miałem świadomość, że różnimy się w podstawowych kwestiach dotyczących wspólnego życia, ale sądziłem, że z czasem jakoś nam się ułoży. To znaczy, że przekonam ją do życia na wsi. Że polubi zwierzęta i doceni moją pracę. No i że namówię ją na przeprowadzkę do Kostomłotów i tam w spokoju zajmę się badaniem rozwoju płodowego koni, co zacząłem robić jeszcze na studiach. Chciałem opisać rolę wszystkich czynników wspomagających już w okresie prenatalnym wyhodowanie zwierzęcia o pożądanym eksterierze i dużej dzielności.

- Wujek zbudował ten dom z myślą o tobie?

- Tak to sobie zaplanował. - Filip skinął głową. - A mnie to bardzo odpowiadało.

Chciał tam również umieścić moją matkę, kiedy chorowała na raka. Ale nie zdążył. Z czasem miałem objąć po nim gospodarstwo. Stale o tym mówił, lecz ostatnio wciąż odkłada tę decyzję na później.

- Jeszcze nie jest taki stary, nie musi się spieszyć - bro-

246

niłam Wujka, który przyznał mi się przecież, że czeka, aż siostrzeniec zacznie wreszcie zachowywać się jak dojrzały mężczyzna. To akurat wolałam przemilczeć.

- Cały czas próbowałem złamać opór Joanny, ale nie umiem dojść z nią do porozumienia. Ona zawsze pozostanie mieszczką, nie zmienię jej przyzwyczajzeń. Poza tym zauważam w niej coraz więcej cech charakteru, których nie potrafię zaakceptować.

- Na przykład obsesyjną zazdrość o twoje kochanki? - zadrwiłam.
- To też - przyznał niezbity z tropu. - Kiedy cię jeszcze nie znałem, też podejrzewała mnie nie wiadomo o co, gdy tylko zdarzyło mi się uklonić młodej sąsiadce albo uśmiechnąć do którejś z jej przyjaciółek. W końcu przestała zapraszać je do domu w obawie o trwałość naszego stadła. Uwierzysz w coś takiego?
- Uwierzę - odparłam z przekonaniem, pamiętając o spotkaniu z Ireną na osiedlowym skwerku.
- Nawet gdybym nie poznał ciebie, ten chory związek i tak by się rozpadł. Najwyżej rok czy dwa później. Kiedy Wujek nie będzie już w stanie sam zajmować się końmi, przeprowadzę się do niego bez względu na wszystko. Zresztą sprawa rozwodowa jest w toku.
- Dobra, panie egoisto. A co z dziećmi? Ja mam siostrzenicę, tę Cinkę, o której ci mówiłam, i jej rodzice właśnie się rozwodzą. Wiem, jak to wygląda, i nikomu nie życzę podobnych przeżyć. Zresztą sama wychowałam się bez rodziców i wyobraź sobie, że wiem, co to jest tęsknota za ojcem. Nie przekonasz mnie.
- O Jezu, Broszka, denerwujesz mnie! - rozeźlił się nagle, ale zaraz złagodniał. -
Przepraszam, znów mnie po-

247

niosło. Za bardzo mi na tobie zależy, żebym mógł zachować spokój. Widzisz, one akurat nie odczuwają tego aż tak boleśnie. Weterynarza i tak nigdy nie ma w domu, toteż rzadko się widzimy jak na rodzinę. Oczywiście, wołałbym mieć syna przy sobie, ale Joaśka się na to nie zgodzi. Zresztą z moim ciągłym brakiem czasu nie umiałbym zapewnić mu właściwej opieki. Jacek jest jeszcze zupełnie malutki, w czerwcu skończył trzy latka. Będę go często odwiedzał, nawet jeśli matka zabierze go do Warszawy, do teściowej. Nie porzucę go przecież, jeśli o to ci chodzi.

- Nie czuję się ani trochę przekonana - odparłam, pocierając dłonią skroń. Byłam zmęczona. Noc, którą szczęśliwie mieliśmy za sobą, nie należała do przyjemnych. Za szybko ciemne korony drzew odcinały się od szaro-perłowego nieba. Czułam się tak, jak gdyby nie istniały wcale sprawy zamknięte klamrą burzliwej nocy. Uchyliłam okno. Do samochodu wpadła fala powietrza pachnącego spalinami i lasem. Przede wszystkim lasem. Głęboko wciągnęłam w płuca świeży, kojący aromat. Nie potrafiłam jakoś wyrzucić z pamięci cygańskich oczu synka Filipa. I jego roztrzęsionej, nieszczęśliwej żony.

To jest w naszym przypadku ta druga strona medalu. Z tej sytuacji nie da się przecież wybrnąć tak, żeby nikt nie został pokrzywdzony. Jeśli odrzucę Filipa, z nikim nie będę szczęśliwa tak jak z nim, nawet z Kubą, wiem to na pewno. A jeżeli pozwolę mu do siebie wrócić, to przyczynię się do rozbicia jego rodziny, która w innym wypadku może jakoś przetrwać. Ten kryzys małżeński nie jest pewnie tak głęboki, jak przedstawia go w tej

248

chwili jedna ze stron. Czyli i tak źle, i tak niedobrze, jak mawia babcia. I co ja mam z tym fantem zrobić?

Byłam tak śpiąca i zmęczona wydarzeniami ostatnich kilkunastu godzin, że moje myśli płynęły wyjątkowo leniwie. Za odsuniętą szybą las cichł coraz bardziej i tylko od czasu do czasu dało się słyszeć idący górą poszum wiatru. Z przymkniętymi oczyma wsłuchiwałam się w tajemnicze szmery, nie spodziewając się, że nie zdążę nawet zasnąć, kiedy wciągnie nas wir niespodziewanych wydarzeń.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Krażyliśmy po targu w Bodzentynie i szukaliśmy konia. Właśnie tak to z boku wyglądało: że chcemy coś kupić. Nie przyznawaliśmy się, że chodzi nam o konkretną klacz, żeby nie spłoszyć przewoźnika. Nissan został przy wjeździe na teren targowiska.

Kuba oddał samochód matki do warsztatu w Kielcach i z wdzięczności za pomoc postanowił nam jeszcze trochę potowarzyć. Zresztą chciał zobaczyć Lolitę, wokół której zrobiło się tyle zamieszania. Podejrzewałam, że został przede wszystkim ze względu na mnie, ale mogłam się mylić.

Na szczęście ekipa zajmująca się przywracaniem przejezdności dróg pojawiła się na tyle wcześnie, że zdążyliśmy dotrzeć do Bodzentyna przed piątą rano. To jest przed czasem, kiedy - według Filipa - pojawiają się „hurtownicy”, najczęściej obcokrajowcy, którzy wykupują całe transporty i wywożą je za granicę. Istniała szansa, że doczekamy się także ściganej ciężarówki. Przy tak niesprzyjających warunkach na trasie nie mogła nas bardzo wyprzedzić, zresztą pewnie też gdzieś utknęła. Burza zvaliła największe drzewa już wczesnym wieczorem,

250

a objazdu dla aut ciężarowych nie było. Wujek, który zmienił Filipa za kierownicą, specjalnie pojechał dookoła, przez Kielce.

- Na miejscu kierowcy tira wybrałbym drogę na skróty, od strony Starachowic - uzasadniał. - Jeśli opuści targ, zanim tam dotrzemy, spotkamy go w Łysogórach.

Nie spotkaliśmy, a więc trzeba było zacząć się na targowisku. Może się zjawi.

- Albo już tu jest - zauważył Filip posępnym tonem, a ja zaczęłam zastanawiać się, co wolę: nigdy nie odzyskać Lolity, czy spotkać się oko w oko z przestępcą, przed którym już raz ledwie uciekłam.

- Niewykluczone, że pojechał prosto do Zebrzydowic - dedukowałam. Prawdę mówiąc, czułam w tej chwili, że to by mi najbardziej odpowiadało, ale mimo wszystko wolałam przemierzać targowisko w towarzystwie trzech rosłych mężczyzn, niż samotnie czekać na nich w samochodzie. Zwłaszcza że nigdy dotąd nie byłam w podobnym miejscu i powodowała mną zwykła babska ciekawość.

Faktycznie, że targu w Piszczacu to nie przypominało. Przede wszystkim plac, wypełniony tylko i wyłącznie końmi, ludźmi i samochodami przystosowanymi do przewozu zwierząt, zdawał się ciągnąć bez końca we wszystkie strony, gdy człowiek znajdował się w samym sercu tego zbiegowiska. Do rżenia setek koni i ostra woń świeżego nawozu.

- Spójrzcie tam!... - Wyciągnęłam rękę. Jakiś chłop prowadził konia, a raczej jego cień. Zwierzę miało spuchnięte czerwone oczy i wyglądało, jakby je stale bito.

Poraniona skóra wisiała na kościach. Kruszącymi się z zanie-

251

dbania kopytami koń potykał się na prostej drodze. Każdy krok sprawiał mu ból.

- Co za drań tak zapuścił tego konia, takiego skur... to tylko obić! - usłyszałam za plecami i odwróciłam się. Zobaczyłam rolnika, trzymającego na uwiązach dwa pięknie utrzymane wałachy. Jeden z nich był ślicznym ka-roszem o zaciekawionych oczach. W typie Kukły, ale większy od niej. Patrzyłam na konia z prawdziwą przyjemnością. W sam raz dla Ani. Nie zdążyłam podzielić się tą refleksją z Wujkiem, bo Kuba zwrócił naszą uwagę na inną przykrą scenę. Gniady huculek, przywiązany krótko do przyczepy, ledwie trzymał się na nogach. Był brudny i pokryty krwawymi strupami. Wychudzona sylwetka, opuszczony łeb i nieruchomy ogon wskazywały na najwyższe wyczerpanie. Obok jego towarzysza, bardzo stary siwek, przytulał do niego głowę, jakby chcąc mu w ten sposób dodać otuchy.

- Jaki ludzki gest... - odezwałam się cicho.

- Chyba właśnie nieludzki - poprawił mnie Filip ironicznie. Nie ulegało wątpliwości, że koń sam nie doprowadził się do takiego stanu. Wolałam nie zgadywać, w jakiej kondycji znajduje się teraz Lolita, zdana na łaskę człowieka bez serca. Mogłam być zupełnie pewna, że nie napoił jej ani nie nakarmił do tej pory ani razu. Miałam tylko nadzieję, że jej nie bił.

Lolity nie było. Postanowiliśmy wrócić do samochodu i obserwować stamtąd wszystkie wjeżdżające na targowisko auta. Może znajdzie się wśród nich ciężarówka z reklamą dojrzewalni bananów.

Nie sądziłam, że to będzie tak szybko. Ledwie zbliży-

liśmy się do auta, pojawił się charakterystyczny pojazd. Kierowca bez wahania wjechał na targ, który widocznie dobrze znał. Po czym zaczął wycofywać się w szaleńczym tempie. Ośłupieliliśmy ze zdziwienia. Filip pierwszy odzyskał głos:

- Skąd on wie, że go ścigamy?!

Nie mieliśmy tego wypisanego na czole, a mundurowych nie było w pobliżu. Nie liczyliśmy na pomoc poli-cji, ratowanie powodzian to coś ważniejszego od naszych kłopotów. Skąd więc panika w oczach rudowłosego kierowcy?

- Poznał mnie - wyjaśniłam. - To jego widziałam wtedy ze Świrusem. Gdyby nie ten pajak...

Nie dali mi dokończyć. Nawet nie wiem, kto wepchnął mnie do samochodu.

- Szybko! Za nim! - krzyknął Filip i usiłował zająć miejsce za kierownicą.

Wujek mu nie pozwolił:

- Jesteś zbyt zmęczony, nie spałeś całą noc. Ja poprowadzę.

Zanim wystartowaliśmy, kierowca ciężarówki zdążył zawrócić. Zjeżdżał ze wzgórza z nadmierną prędkością, więc ogromna przyczepa zataczała się na boki, a wystraszone konie rżały, usiłując zachować równowagę.

Ruszyliśmy za nim.

Buda ciężarówki trzęsła się niczym jacht miotany przez wzburzone fale. Kierowca wyciskał z silnika, ile się dało. Uciekał wytrwale. Pewnie przypuszczał - jak swego czasu Wasyl - że Filip jest funkcjonariuszem w cywilu. Na złodzieju czapka gore, jakby to skomentował nie-

253

odżałowany Józio. I włosy, można by dodać złośliwie, pomyślałam, uśmiechając się mimo woli.

- O, cholera! - zaklął Wujek, zupełnie jak Filip. - Zaraz zabraknie nam paliwa.

Na tablicy rozdzielczej zamigłała rezerwa. Szkoda, że w Kielcach zapomnieliśmy zatankować.

- Co teraz będzie? - martwiłam się. - Tyle starań pójdzie na marne przez głupi brak benzyny?

Może ktoś wymyśli coś mądrzejszego niż zaniechanie pościgu w chwili, gdy cel mamy na wyciągnięcie ręki. Dosłownie, nie więcej.

- Mam pomysł... - zaczął nieśmiało Kuba.

Oczy wszystkich zwróciły się na niego, nawet Wujek oderwał na sekundę wzrok od drogi przed sobą. Chłopak nagle się zawahał.

- Co chcesz zrobić? - niecierpliwiłam się. - Paliwo skończy się lada chwila.

Kuba zdecydował się.

- Spróbuję wdrapać się z tyłu na przyczepę. Kiedyś bawiłem się we wspinaczkę skałową. Może uda mi się przedrzeć do kabiny kierowcy.

- To niepoważne! - zaprotestował Filip, przerywając mu w pół zdania. -1 zbyt niebezpieczne.

To prawda, pomysł nie należał do rozsądnych. Wierzyłam jednak w Kubę, a poza tym nic innego nie przychodziło nam w tej chwili do głowy. Nie mieliśmy czasu, żeby porządnie się zastanowić.

- Pozwólcie mi spróbować - domagał się Jakub niczym dziecko nowej zabawki. -

Obiecuję, że nic złego mi się nie stanie. Nie takie rzeczy robiło się z chłopakami dla

hecy.

254

- Niech mu będzie - ugiął się wreszcie Wujek.

Filip milczał i nie wydawał się do końca przekonany.

Trzeba było działać szybko, bo ciągnęliśmy na resztkach paliwa. Wujek zbliżył się maksymalnie do tylnych kół przyczepy. Ustawił się równolegle do ich osi. W tym czasie wewnątrz samochodu terenowego dwóch postawnych mężczyzn wykonało karkołomną ewolucję, zamieniając się miejscami. Filip znalazł się nagle obok mnie, a brat Ani na przednim siedzeniu, skoncentrowany i trochę popisujący się przede mną młodzieńczą brawurą. Oby tylko nie skończyło się to źle...

Otworzył drzwi. Pęd powietrza odrzucił mnie do tyłu. Zakręciło mi się w głowie od smrodu spalin z rury wydechowej tira. Ich natężenie z łatwością mogło zabić dorosłego konia, człowiek na szczęście jest odporniejszy

Wszystko, co nastąpiło później, nie trwało nawet pięciu minut. Choć wydawało się wiecznością, spędzoną w napięciu, od którego bolały mnie przez dłuższy czas wszystkie mięśnie. Jakub wychylił się z samochodu. Lewą ręką trzymał się otwartych drzwiczek. Chwiały się, moim zdaniem, bardzo niebezpiecznie. Prawą dłonią wymacał na dachu krawędź bagażnika. Złapał się oburącz i zwinnie podciągnął w górę. Lewą nogę zarzucił na górną krawędź drzwi i - odbiwszy się prawą z całej siły - wylądował na dachu.

Odetchnęłam z ulgą, ale to był dopiero początek- Najłatwiejsza część zadania, jak się wkrótce miało okazać. Bo kierowca ciężarówki zorientował się, co chłopak chce zrobić, i przyspieszył. Wujek na resztkach benzyny walczył o utrzymanie szaleńczego tempa. Kuba stanął wyprostowany na masce nissana. Balansował na ugiętych

255

nogach. Widziałam na asfalcie cień jego atletycznej sylwetki i związanych w kitkę włosów, szarpanych podmuchem pędu. Chwiał się, łapiąc równowagę, a ja walczyłam z pokusą zamknięcia oczu. Wyobrażenia podsuwała mi koszmarnie obrazy. Przy tej prędkości nie przeżyje upadku z dachu... Żeby chociaż droga była tutaj równa jak na Podlasiu, a nie wznosiła się i opadała, co przy tej szybkości odczuwałam niczym jazdę na gigantycznej karuzeli. Filip trzymał mnie za rękę, z czego ledwie zdawałam sobie sprawę, pochłonięta obserwowaniem brata Ani. Ten chwilę zbierał się do skoku, po czym odbił się z całej siły i dosłownie pofrunął w powietrzu jak kaskader. Wiatr zniósł go trochę w bok, albo chłopak niedokładnie ocenił sytuację. Wylądował poniżej górnej granicy rampy. Spadał. Krzyknęłam. W ostatniej chwili zdołał uchwycić się rampy i zawisł w powietrzu. Filip coraz silniej ścisnął moją dłoń, jakby bał się, że zaraz wyskoczę za blondynem. Gdyby Kubie mogło to w czymś pomóc, to kto wie... Tymczasem musiałam czekać biernie, tak jak inni. Kuba trwał wciąż w tej samej pozycji. Jego sylwetka wydawała się jeszcze dłuższa niż normalnie. Chwilami miałam wrażenie, że jego trampki ocierają o nawierzchnię jezdni. Modliłam się, aby starczyło mu sił. Żeby utrzymał się dotąd, aż zdoła podciągnąć się na rękach i wspiąć po drewnianej ścianie do wnętrza budy. Tylną ścianę wozu, powyżej rampy, stanowiła plandeka, której nie umocowano u dołu. Jej koniec zwisał swobodnie z wewnętrznej strony drewnianego przepierzenia. Kuba tracił siły. Żałowałam, że pozwoliłam na taką brawurę.

256

Przecież on się zabije! Wujek i Filip nie mogli darować sobie własnej lekkomyślności. W końcu chodziło tylko o konia. Życie ludzkie znaczy więcej. Zwłaszcza życie przyjaciela.

O dziwo, Kuba wciąż jeszcze wisiał na wyciągniętych rękach, aż zupełnie zabrakło nam paliwa i musieliśmy się zatrzymać. Samochód toczył się przez chwilę siłą rozpędu,

po czym znieruchomiał na dobre. Sylwetka chłopaka malała, w miarę jak ciężarówka znikwała nam z oczu. Ostatkiem sił Kuba podciągnął się na zdrętwiałych rękach i, zamachnąwszy się nogami, wylądował okrakiem na grzbiecie rampy. Po czym niemal bezwładnie przetoczył się do wnętrza przyczepy. Kierowca wykonał manewr, jakby chciał pozbyć się uczepionego z tyłu intruza. Obserwował całą akcję we wstecznym lusterku od chwili, gdy Jakub uczepił się rampy. Przekonany, że ten nadal wisi na zewnątrz, usiłował strząsnąć go, niczym koń dokuczliwego gza. Wcisnął pedał gazu, rozwijając szybkość, o jaką nigdy bym nie podejrzewała ciężarówki. Jechał teraz slalomem, gwałtownie kręcąc kółkiem, a silnik zagrał o oktawę wyżej. Rudy nie zauważył w porę innego tira, który wyjechał z naprzeciwka. Zderzyli się czołowo. Obie kabiny zgmiotły się niczym aluminiowe puszki i trwały w konwulsyjnym uścisku jak para gladiatorów.

Opuściwszy w pośpiechu nasz samochód, pognaliśmy w tamtą stronę.

Dopadliśmy przyczepy prawie bez tchu. Nie interesował nas los kierowcy, jeszcze nie w tej chwili. I tak nie

257

miał najmniejszej szansy na przeżycie wypadku. Podobnie jak ten drugi, niewinny człowiek.

Filip i Wujek opuścili drewniany podest, po którym wdrapaliśmy się do środka, płacząc się w zwisającej luźno kurtynie z plandeki.

Najpierw odszukałam wzrokiem Kubę. Był cały i zdrowy, choć trochę potłuczony gwałtownym hamowaniem. A potem zobaczyłam Lolitę, którą uspokajał, głaszcząc po spoconej szyi. Resztę koni zauważyłam dużo później.

- To ta? - zapytał, podnosząc głowę. Uśmiechnął się do mnie. Jego mina wyrażała coś w rodzaju: „A nie mówiłem, że potrafię?”. Z roztargnieniem odwzajemniłam uśmiech, nie mogąc nacieszyć się widokiem klaczy.

- Ta - odparłam z dziwną chrypką. Chociaż zapamiętałam ją jako okaz zdrowia, gdy pasła się w zagrodzie Dawida Gryty przecież to zabiedzone stworzenie było wciąż Lolitą. Księżniczka leżała na wiązce słomy, zaniedbana i ledwie żywa. Patrzyła na ludzi szeroko rozwartymi oczyma, w których czaiło się cierpienie i strach. Spróbowała dźwignąć się w górę. Nie udało jej się. Noga nad pęcina była mocno opuchnięta. W pierwszym odruchu chciałam podbiec i zanurzyć dłonie w resztkach tej długiej niegdyś grzywy, ale powstrzymałam się. Filip także zapanował nad chęcią natychmiastowego zbadania konia.

Pierwszeństwo należało się Wujkowi. Zrobiliśmy mu przejście. A on podszedł wolno, jak gdyby z niedowierzaniem. Ukląkł obok konia i wyciągnął dłoń, na której leżała kostka brązowego cukru, jedna z tych, które nieustannie upychał po kieszeniach.

Klacz, choć wygłodzo-

258

na, nie zwróciła uwagi na smakołyk. Dotknęła nosem koniuszków złączonych palców Wujka i bezbłędnie rozpoznała zapach ręki, która dbała o nią i karmiła przez cały rok. Nozdrza latały Lolicie ze wzruszenia, a uszy to nastawiała, to kładła po sobie, okazując tęsknotę, zdziwienie i niepokój. A potem parsknęła z radości, jak gdyby już była w domu.

Epilog

- Przytrzymaj jej ogon - poprosił Filip, zwinąwszy jedwabiste włosy Lolity w luźny węzeł. Przejęta swą rolą, ochno spełniłam polecenie. Biedna klaczka nie wiedziała, co się z nią dzieje i za co ją znowu karzą. Ze świeżo ześrubowaną przednią kończyną została wprowadzona do prowizorycznego boksu pod wiatą i uwiązana. Wujek zaciskał wielkie drewniane kleszcze na jej delikatnych chrapach. Rodzice Ani, stojący po bokach Lolity, trzymali końce grubego sznura przyłożonego do jej zadu, by nie

mogła się cofać. Dowodził nami Filip, ubrany w ochronny fartuch i gumowe rękawice. Nie mogłam oderwać oczu od jego zręcznych i pewnych dłoni, zupełnie jak wczoraj, gdy asystowałam przy składaniu pękniętej kości. Wtedy miałam łzy w oczach. Nie tylko z radości, że widzę ukochanego konia Wujka, nie tylko ze współczucia, ale i ze wzruszenia - patrząc, jak ręce Filipa niosą ulgę. Ma przecież tyle problemów ze swoim życiem i ze mną też, a jednak potrafi skupić się całkowicie na cierpiącym pacjencie. Cudowny człowiek, pomyślałam wówczas. Miałam ochotę uściskać go i po-

260

wiedzieć, że to, co robi, jest wspaniałe. Postąpiłabym tak wobec każdego człowieka znajdującego się na jego miejscu.

Dziś odczuwałam to samo wzruszenie. A dodatkowo niepokój o wynik badania żrebności, które właśnie przeprowadzaliśmy.

Filip sięgnął po ultrasonograf i sondę aparatu zanurzył w układzie rozrodczym klaczy.

- To pozwoli wykryć zmiany ciążowe w macicy - wyjaśnił, choć nie pytałam.

Na elektronicznym czytniku pojawiały się jakieś niezrozumiałe dla mnie znaczki. Czoło Wujka pokryły krople potu, choć trzymanie kleszczy nie wymagało dużego wysiłku.

- Jeśli takie zmiany istnieją - dodał Filip, po czym skupił się już tylko na swoim zajęciu. Długą chwilę uważnie sondował, zerkając raz po raz na ekran monitora.

Wreszcie uśmiech pojawił się na jego twarzy.

- Zrebna - ogłosił.

Wujek głośno odetchnął i zawołał:

- Zapraszam wszystkich na bourbona. Z tej okazji muszę się napić!

Irena, która siedziała nieco z boku, zaśmiała się głośno, po męsku, i wyciągnąwszy długopis zza ucha, zawołała:

- To także muszę zapisać! Koniecznie!

Znów pochyliła się nad notesem. Odkąd wróciła Lo-lita, ta kobieta nie robiła nic poza przyglądaniem się wszystkiemu uważnie, notowaniem i pstrykaniem niezliczonej liczby fotografii. Wujek pozwolił jej napisać obszerny artykuł na temat losów porwanej klaczy i Żabio-

261

usta była w swoim żywiole. Osobiście nie do końca wierzyłam w czystość intencji dziennikarki, ale Wujek nie dał się zniechęcić. Szybko uciał dyskusję:

- Ludzie powinni poznać prawdę o warunkach transportu zwierząt rzeźnych i przemycie koni przez zieloną granicę.

Zresztą jemu tylko jedno było teraz w głowie: żreback Lolity. Cały czas wierzył, że on nadał w niej życie, a wszystko, co przeszedł, jedynie go zahartowało. Rzecz jasna, klacz nie weźmie udziału w tegorocznym czempionacie i prawdopodobnie w żadnym innym, ale on już snuł plany, jak to za parę lat pokaże jej potomka.

- To będzie koń marzenie. - Wzdychał w zadumie. - Musi być. Przecież po Gangesie!

No i od takiej matki...

Co do żywotności potomka Lolity, wiara nie zawiodła go. Może również ma rację, ufając Irenie?

Do obiadu zasiadł z nami Zbyszek. Jemu też należała się lampka doskonałego trunku. W końcu rozpracowanie szajki było w znacznej mierze jego zasługą. Ciekawiły nas szczegóły akcj'i, ale nie chciał nam ich zdradzić.

- Tajemnica służbowa. - Rozłożył bezradnie ręce.

Rozumieliśmy jego położenie, lecz ciekawość nie dawała nam spokoju. Błagaliśmy choć o skrawki informacji. Takich, których ujawnienie nikomu nie zaszkodzi, a nam pozwoli zaspokoić głód wiedzy, rozbudzony pojawieniem się policjanta.

- No dobrze - poddał się wreszcie. - Ale robię to wyłącznie ze względu na dawny dług

wobec Wujka - zastrzegł się, po czym wymownie spojrzął w stronę na wpół opróżnionej butelki. Filip usłużnie napełnił kieliszki.

262

Pierwsza zadałam pytanie, które mnie nurtowało:

- Skąd przestępcy mieli taką dziwną ciężarówkę? Mam na myśli te banany.
- Samochód należał do Wielgusa, znaczy kierowcy...
- Rudego? - wpadłam w słowo. Poliçant skinął głową i sięgnął po kieliszek.
- Wcześniej pracował w branży spożywczej. Woził cytrusy z krajów południowej Europy. Firma upadła kilka lat temu, a on tanio odkupił ciężarówkę, którą przedtem prowadził.
- Z sentymentu, czy już wtedy planował przystosować ją do przewozu koni?
- To drugie. Zresztą zwierzęta transportował przez pewien czas legalnie. Kupował na targowiskach i woził do Włoch. Szybko zdobył stałych klientów, ale biznes opłacał mu się średnio. Wtedy nie było jeszcze na żywiec koński takiej koniunktury jak obecnie. Dlatego ucieszył się z propozycji pewnego człowieka...
- Świrusa? - przerwałam znowu i ugryzłam się w język. Jeśli dalej będę postępowała w ten sposób, szybko zniechęcę Zbyszka do udzielania informacji. I tak dokuczam mu najbardziej ze wszystkich.
- Naprawdę nazywa się Stefan Trych, wiedzieliście o tym? - Zbyszek powiódł wzrokiem po naszych zdumionych twarzach.

Rzeczywiście, mało znaleźliśmy Świrusa. Nikt we wsi nie kojarzył nawet jego imienia.

Policjant, zadowolony z wywołanego efektu, ciągnął dalej:

- Zanim Trych przeprowadził się na Podlasie, wynajmował pokoje letnikom. Tak, tak. Posiadał mały pensjonat w Beskidach, blisko granicy z Czechami. Pod Ze-

263

brzydowicami, przez które przeprawiał się za każdym razem nasz przewoźnik.

Zbyszek napił się wina, a ja pomyślałam o tacy z napisem: Pamiątka z Beskidów, którą widziałam u Świrusa. Wbrew pozorom nie należała do poprzednich właścicieli jego domu.

Policjant wrócił do opowiadania.

- Któregoś razu nasi dwaj bohaterowie spotkali się i dogadali w sprawie współpracy. Pomysł był Świrusa, któremu pensjonat nie przynosił spodziewanych zysków. W dodatku musiał dzielić się dochodami z bratem. Rodzinna firma, rozumiecie...
- Jak on wpadł na pomysł przemycania koni? - zdziwił się Wujek.
- Wszystko się wyjaśni, kiedy opowiem wam o bracie Stefana. - Zbyszek uśmiechnął się dość tajemniczo i dodał: - Starszy z braci Trychów jest właścicielem niewielkiej stadniny i szkoły jeździeckiej w stylu western, coraz modniejszym w tej chwili. Ożywił się.

- Nasz Świrus, teoretycznie właściciel pensjonatu, robił tam za popychadło.

Przynajmniej tak się czuł. Sprzątał pokoje i czyścił boksy w stajni. Awanturował się z bratem, który nie dzielił się z nim równo pieniędzmi. A w dodatku Świrus nie znosi koni.

- Dlatego zaczął się zajmować ich handlem - domyśliłam się.
- Tak sędzę - zgodził się Zbyszek. - Normalnie to człowiekowi serce ściska się na myśl o warunkach, w jakich się to wszystko odbywa. Ale przede wszystkim zainspirował go znajomy brata. Tam wciąż przewijają się

264

jacyś zwariowani koniarze. Ten przyjechał z Mazur i opowiedział, co się dzieje na granicy polsko-litewskiej. Że są tacy, co przemycają kradzione konie i handlują nimi.

Nie jeden już się z tego pobudował. Świrusowi tak się to spodobało, że postanowił spróbować szczęścia i założyć własny interes. Nieco dalej, ma się rozumieć, żeby nie stwarzać niepotrzebnej konkurencji.

- Czyli w Terespolu - bardziej stwierdziłam, niż zapytałam. Zaskoczyłam wszystkich, a najbardziej Filipa.

- Skąd wiesz? - zapytał, ale machnęłam tylko ręką.

- Długa historia. Później opowiem.

Nie chciałam przerywać policjantowi, który tak ładnie się rozgadał, że grzechem by było tego nie wykorzystać. O Maćku zdążą się jeszcze dowiedzieć.

Zbyszek wrócił do swojej opowieści:

- Straż graniczna szybko uporała się z przemytnikami, zabezpieczając ten odcinek granicy metalową siatką. To wystarczyło, żeby nocne przeprawy ludzi i zwierząt skończyły się tu raz na zawsze. Sprawców niestety nie ujęto.

- Przenieśli się do Kostomłotów - uzupełniła Irena, która do tej pory nie zabierała głosu. - Mnóstwo czasu zajęło mi odkrycie roli Józia w przeprawianiu uchodźców przez zieloną granicę. Też wam kiedyś opowiem. Ale że Świrus przeprowadza obok konie przez Bug, to mi do głowy nawet nie przyszło.

- Nic dziwnego. Znakomicie się kamuflował, grając wielkiego miłośnika zwierząt i dziwaka. To po to był mu ten kowbojski image rodem ze szkółki jeździeckiej brata. A tak w ogóle to pomysł ze schroniskiem dla koni podsunęły mu zupełnie nieświadomie dzieciaki z tej szkółki.

265

Zbierały podpisy od ludzi popierających wprowadzenie zakazu transportu koni w niehumanitarnych warunkach. Jakaś organizacja walczy o zmianę ustawy czy coś takiego.

- Tak, niejedna - wtrąciła Irena.

- Ale spryciarz - pokręcił głową Wujek. - A ja mu dawałem paszę na zimę.

- Szło mu coraz lepiej. Od kiedy Europa przestraszyła się choroby „szalonych krów”, wręcz spał na pieniądzech, bo mebli w tym zapuszczonym domostwie, kupionym za pół darmo wraz z kawałkiem ziemi, prawie nie miał. Oszukiwał Wielgusa i białoruskich pomocników, zarabiając najwięcej z całej szajki. Mimo to wciąż narzekał na niewielki zysk. Zależało mu na zdobyciu takiej sumy, żeby bez pracy utrzymywać się z procentów do końca życia.

- Dosyć popularne marzenie. - Filip się roześmiał. - Szkoda, że tak trudno je zrealizować.

- Niewiele mu już brakowało do pełni szczęścia. Zeznał w areszcie, że za rok, dwa sam skończyłby z tym procederem. Suma, którą zdobył, rzeczywiście imponuje. Nigdy bym nie pomyślał, że coś takiego może przynieść aż tyle forsy. Gdyby pech nie wrobił Świrusa w zniknięcie Lolity wkrótce ulotniłby się z naszych stron i nigdy byśmy się nie dowiedzieli, co tu się działo.

- To zasługa Broszki - przyznał Wujek. - Gdyby mi nie powiedziała, co wie o naszym kowboju, nie zadzwoniłbym do ciebie.

- Raq'a. - Zbyszek kiwnął głową i szczerze się do mnie uśmiechnął. - A my nie zorganizowalibyśmy pułapki.

266

ó Szczęście, że choć jednej osobie udało się odkryć drugą twarz Świrusa.

Wcale nie jednej, pomyślałam, ale starczyło mi refleksu, żeby nie wyrwać się z tym na głos. Albo nie pamiętał o zeznaniu Ani, albo ona nadał nie przyznaje się, że coś wie. Postanowiłam jak najszybciej z nią porozmawiać. Niewykluczone, że ukrywa coś ważnego.

Ania kuśtykała po domu o własnych siłach, odrzucając pomoc przy zaparzeniu

herbaty. Nie widziałyśmy się ledwie kilka dni, a w jej stanie widać było wyraźną poprawę już na pierwszy rzut oka. Sińce zbladły, poraniona skóra szybko się goiła.

- Jest lepiej, niż przewidywali lekarze - uśmiechnęła się do mnie znad zastygłej bieli sztywnego kołnierza z gipsu, który ścisnął jej długą szyję. - Jedyne, co mi naprawdę dokucza, to ta pogruchošana ręka i złamana przednia część kręgu obrotowego.

Widocznie zrobiłam zasepioną minę, bo Ania roześmiała się w głos.

- Ty pewnie nawet nie wiesz, gdzie to jest! - zawołała wesoło. - Takie wypadki też mają swoje zalety. Przynajmniej anatomię człowieka opanowałam wreszcie do perfekcji.

Chwilę gadałyśmy o głupotach. Wreszcie zdecydowałam się poruszyć sprawę, z którą przyszedłam.

- Nie obrai się, Aniu - zaczęłam ostrożnie. - Ale mam podstawy, żeby nie wierzyć w twoją historyjkę o pszczołach w lesie Świrusa, które tak cię kiedyś wystraszyły.

Może mi się wydało, że zmieszała się odrobinę. Na

267

wszelki wypadek opowiedziałam jej o własnej przygodzie w myśl zasady, że zwierzenia rodzą zwierzenia. Sprawdziła się i tym razem.

- Masz rację, kłamie - przyznała w końcu. - Też spotkałam wtedy Świrusa. Poszłam z nudów na poziomki, na tej jego polance najlepiej owocują. Oni tam byli. We dwóch. No i całe stado zmęczonych, ubłoconych koni. Szpryco wali je czymś, żeby jeszcze trochę wytrzymały... Spieszyli się i kleli, że ktoś ich w końcu nakryje. W razie czego ten drugi miał się schować w krzakach, a Świrus udawać, że rozmawia z końmi. Nagle zauważyli, że ich podglądam. Świrus ruszył w moją stronę z takim wyrazem twarzy, jakby gotów był mnie nawet zamordować. Zupełnie stracił panowanie nad sobą. - Anią wstrząsnął dreszcz na wspomnienie minionych wydarzeń. - Gonił mnie i wrzeszczał, że zabije. Już mnie prawie miał, gdy zobaczył waszego volkswagena.

To „waszego” zabrzmiało jak za starych czasów i coś aż ścisnęło mnie za serce. Ania wyczuła, co się ze mną dzieje.

- O, pardon - powiedziała cicho i z poczuciem winy. - Ja nie chciałam.

- Nie ma sprawy - odparłam prawie beztrąsko. - I co Świrus wtedy zrobił?

- Przestraszył się i dał mi spokój. Jeszcze tylko pogroził, że jeśli pisnę choć słówko, to on się ze mną policzy. Zabije i mnie, i moją rodzinę.

- Nie dziwię się, że bałaś się mówić. - Pokiwałam głową ze zrozumieniem. Ania nerwowo bawiła się pustą szklanką po herbacie, a ja machinalnie ją naśladowałam.

To, co usłyszałam, wstrząsnęło mną do głębi. Zdaży-

268

łam się już przyzwyczać do myślenia o Stefanie Trychu jako o przestępcy, ale dotąd nie potrafiłam przezwyciężyć w sobie cienia sympatii, jaką żywiłam do dawnego Świrusa. W tym momencie przeszła mi ona jak ręką odjął.

- Drugi to był ten rudy, co zginął w wypadku? Potrząsnęła głową.

- Nie, to był taki jeden stąd.

- Stąd?

- Mieszka w Kostomłotach. Kurczę, jak on się nazywa... Czekaj, jego sąsiedzi mają ten ogródek, co ci się tak podobał. Wiesz który?

Dom kojarzyłam, gorzej z właścicielem. Zaraz, zaraz... Zbyszek mówił, że szajkę tworzył Świrus, rudy i kilku Białorusinów. Mowy nie było o żadnym miejscowym. Czy to by znaczyło, że policja nic o nim nie wie?

- Coś ci powiem - rzekłam zdecydowanym tonem. - Ty musisz złożyć zeznania.

Przecież ten człowiek, dopóki przebywa na wolności, w każdej chwili może wrócić do przemytu. I wszystko zacznie się od nowa.

- Nie musisz mnie przekonywać - odparła Ania. - Teraz, kiedy szefa mamy z głowy na

ładnych parę lat, mogę mówić. Za próbę zabójstwa dostanie więcej niż za cały ten koński biznes, a ja nie będę musiała się już bać. I o tym też powiem, a jakże. A gdyby prokurator ich wypuścił - różnie to może być - ja i tak wkrótce zaczynam szkołę i wyjeżdżam do Warszawy. Zamieszkać u cioci.

- Nie wypuści, już Wujka w tym głowa. On ma wszędzie znajomości, a paru uczciwych prawników wbrew pozorom jeszcze na tym świecie istnieje - zapewniłam

269
z wrodzonym optymizmem, który na dobre zaczynałam odzyskiwać.

- Mam nadzieję - westchnęła moja przyjaciółka. - Bo nie daruję mu Kukły, nie mówiąc o szpitalu.

Wstałam, a ona zebrała ze stołu szklanki i opakowanie po malinowych delicjach.

Przecierając ścierką kuchenną ceratę, dodałam:

- Mam nadzieję, że tych przemytników to już więcej niema.

Rozmowa z Anią zakończyła się nieśmiertelnym tematem koni, a jakże. Lekarze dawali jej coraz więcej szans na to, że kiedyś znów będzie mogła jeździć. Wszystko zależało od kręgosłupa.

- O, właśnie! Przypomniałaś mi! W Bodzentynie był śliczny karosz, podobny nawet do Kukły. Mieliliśmy wam go przywieźć. Tylko że potem, kiedy odzyskaliśmy Loli-tę, na śmierć o nim zapomniałam. Ale prawda, ty byś wołała araba.

- Już sama nie wiem. Są śliczne, ale takie delikatne. Mają gęstą krew, jak mówi Wujek, i dlatego ciężko je leczyć. Nie daj Boże, aby tak się na jesieni przeziębili albo dać co brudnego do zjedzenia. O, to już może być źle. Półkrew odporniejsza, no i araby są bardzo wrażliwe. I może dla mnie nawet trochę za małe?

Nagle wróciła na ziemię.

- Zresztą na razie mogę sobie pozwolić jedynie na ogólnoużytkowego mieszańca, i to na spółkę z rodzicami. Ale może kiedyś zdobędę wymarzonego wierzchowca...

Twarz mojej przyjaciółki rozpromieniła się jak dawniej

270

i znów w jej oczach zamigotały tak dobrze mi znane marzycielskie ogniki.

- Na pewno - odparłam z całkowitym przekonaniem. Kto jak kto, ale Ania dopnie celu.

Odwiedzałam teraz Kostomłoty codziennie, aby pomagać w opiekowaniu się Lolitą.

Wisiła biedna w obszernym boksie, zbudowanym specjalnie dla niej, w ten sposób, że dotykała kopytami ściółki, ale ciężar ciała przejęły pasy. Wszystko to urządziliśmy dla oszczędzenia jej chorej nogi. Przypominało scenę z filmu o Karino. Filip mi to uświadomił. Unikałam przebywania z nim sam na sam. Od wyprawy po Lolitę i rozmowy w samochodzie zachowywał się podejrzanie. Korzystał z byle pretekstu, aby odwołać mnie na stronę, a ja udawałam, że nie wiem, o co mu chodzi, i uciekałam, za każdym razem stosując inną wymówkę. Chciał mi coś powiedzieć bez świadków. Ale co? Jak nic, znowu będzie mnie nakłaniał do zmiany decyzji o zerwaniu. Bałam się, że w końcu ulegnę jego prośbom. A to będzie mój kolejny wielki błąd. Na wszelki wypadek wołałam trzymać Filipa na dystans. Dopóki nie zagłębiał się w rozważania na temat naszego związku, uwielbiałam czas spędzany w Kostomłotach. W dzień czempionatu też się pojawiałam. Nikt z nas, poza Ireną, nie wybierał się do Janowa. Opieka nad Lolitą była ważniejsza i bardziej nas pociągała. Zamierzaliśmy śledzić relację w telewizji.

Ledwie przyjechałam wczesnym popołudniem, Filip powitał mnie okrzykiem:

- Ale się porobiło! Wiesz, ile zamieszania narobiła Irena swoim artykułem?

271

- Skąd mam wiedzieć? - wzruszyłam ramionami.

Z czego on się tak cieszy? Znam ją i wiem, że z wywoływanego przez nią zamieszania nigdy nie wynikało nic dobrego.

- Dziś ukazał się specjalny dodatek „Słowa Podlasia”. Artykuł o Lolicie zajmuje podobno kilka stron. Jest też wersja po angielsku dla zagranicznych gości. Filip zerknął na zegarek. Wbrew własnej woli kolejny raz zachłysnęłam się zmysłową męskością jego dłoni. Cholera, muszę się z tego wyleczyć!

- Zaraz w jedyńce będzie relacja, chodźmy zobaczyć - zaproponował, nie podejrzewając, co się ze mną dzieje. Chwała Bogu, nie zawsze czyta w moich myślach. Usiedliśmy wraz w Wujkiem przed telewizorem. Wejście na antenę sprawozdawców z Janowa Podlaskiego poprzedziło ogłoszenie o konkursie audio tele. Wystarczyło wiedzieć, że tegoroczną imprezę zorganizowano po raz trzydziesty drugi i mieć dużo szczęścia w losowaniu, żeby wygrać konia. Pięknego angloaraba w biało--rude łaty o imieniu Apacz. Na ekranie prezentował się bez zarzutu i przez chwilę miałam nawet ochotę zadzwonić, ale Filip ostudził mój zapał.

- Stąd i tak się nie dodzwonisz, za daleko. Ile razy udało ci się wziąć udział w konkursach Zetki?

Prawda, ani razu. Szansę mieli ci, którzy szczęśliwie mieszkali w pobliżu stacji nadawczej. Trudno, westchnęłam, odsuwając od siebie wizję galopad na zjawiskowym zwierzęciu, wzbudzającym zazdrość znajomych koniarzy. Przeżyję bez Apacza. I tak nie mam warunków, aby opiekować się nim i regularnie go trenować.

- Słyszeliście? - ożywił się Wujek, słysząc prognozę
272

wyników finałowej części pokazu. Miały się w niej prezentować najlepsze polskie ogiery. - Ganges ma szansę wygrać po raz drugi.

I aż zatarł ręce z zadowolenia. A ja nie mogłam się doczekać, kiedy pokażą trybuny. Może usłyszę coś o tym artykule Ireny albo zobaczę go w czyichś rękach?

Pod tym względem relacja przekroczyła moje najśmielsze oczekiwania. Nic dziwnego - cała stadnina rozprawiała w tej chwili tylko o Lolicie. Irena, ze swoim talentem do wywoływania sensacji, zrobiła z jej dramatycznych przygód historię niezwykle wstrząsającą. Ludzie to kupili. Większość siedzących na trybunach trzymała w ręku nie program czempionatu, tylko dodatek specjalny regionalnego tygodnika. Mało tego, w łoży VIP-ów goście z całego świata, potencjalni kupcy, rozprawiali z ożywieniem. Wskazywali sobie nawzajem wybrane fragmenty tekstu i zdjęcia, zrobione profesjonalnym obiektywem Kwiatkowskiej. Fotografie pochlebiali i tak z natury ślicznej klaczy, w której żyłach płynęła krew dwóch znakomitych ogierów z naszej hodowli. Dziennikarka w opisie podkreśliła i tę zaletę Lolity. Niektórzy pytali, czy koń jest na sprzedaż. Albo źrebię, kiedy się urodzi.

- Założę się, że panna Kwiatkowska odzyskała w „Słowie” cały etat - powiedziałam bez złośliwości. O dziwo, prawie ją polubiłam.

W chwilę po zakończeniu programu odezwała się komórka Wujka.

- Irenka? - uśmiechnął się, aż końce siwych wąsów uniosły się w górę jak skrzydełka wróbla. - Słucham cię...

273

Rozmowa trwała kilka minut i ze strony Wujka ograniczyła się do aprobujących pomruków wydawanych z zadziwiającą regularnością. Czekaliśmy niecierpliwie, aż skończy, słusznie przypuszczając, że dziennikarka przekazuje mu właśnie jakieś ważne i pomyślne wieści.

- I co? - nie wytrzymał Filip, ledwie się rozłączyli.

- Wkrótce zadzwonią do nas z telewizji. Co tak się dziwicie? Chcą zrobić reportaż o naszej Lolitce.

- Wspaniale! - zawołałam z entuzjazmem Cinki. Mężczyźni uśmiechnęli się pobłaźliwie.

- To nie wszystko. - Wujek miał minę człowieka, który nigdy nie zaczyna od deseru. -

Podobno rozmawiał z Ireną reżyser z Warszawy. Jest teraz w Janowie, bo interesuje się końmi. Ten, co zawsze zatrudnia tylu kaskaderów, no wiecie... Byliśmy u niego. - Wujek męczył się nad znanym nazwiskiem, które jakoś umknęło mu z pamięci.

- Dawid Gryta chce odzyskać Lolitę? Jakim prawem?! - Nie posiadałam się z oburzenia. Wiedziałam, że za dobrze nam się ostatnio układa i na pewno coś przerwie tę sielankę. Ale to zakrawało na bezczelność!

Wujek uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Nie o to chodzi. Tekst Irenki zainspirował go do nakręcenia filmu. Zaproponował jej napisanie scenariusza. Wykorzysta historię Lolity jako jeden z wątków. Aha, prosi też o numer telefonu do Jakuba Borka.

- Zaraz, jak tylko obejrzymy nogę klaczki, pójdę po ten numer do Ani, bo nie mam przy sobie - zaoferowałam się. Też chciałam pomóc. A poza tym chęć opowiedzenia wszystkiego przyjaciółce rozdymała mnie niczym świąteczny obiad drogiej babci.

274

- Wpierw jednak proponuję mały toast, czyli po lam-peczce czegoś naprawdę pysznego. Trzymałam na specjalną okazję, ale większej to już chyba nie będzie.

- Kto wie... - mruknął tajemniczo Filip. Wujek go chyba nie usłyszał, bo zartował dalej:

- Obyśmy tylko przez ten nadmiar szczęścia nie popadli w alkoholizm!

- Może nie będzie tak źle - zaśmiał się siostrzeniec.

- Najważniejsze, że klacz żyje i ma się coraz lepiej -powtórzyłam jeszcze raz słowa, które wypowiadałam ostatnio przy każdej okazji. - I nawet nie straciła nic z czempionatu.

Rzeczywiście, nieobecność na tej prestiżowej imprezie przyniosła Lolicie same korzyści. Zamieszanie wokół jej zniknięcia i cudownego odzyskania przyniosło większy rozgłos, niż mógłby to zapewnić udział w pokazie. A nawet tytuł najpiękniejszego konia roku.

Jednak nie odwiedziłam Ani tego dnia, bo zaczął padać deszcz i zwyczajnie zapomniałam. To ona przyszła do nas nazajutrz, przynosząc rewelacyjną wiadomość. Akurat siedzieliśmy w stajni, odpoczywając po pracy. Słońce chyliło się nad domem Borków, a drzewa ponad Bugiem stały majestatyczne, zupełnie jak ich przodkowie setki lat wcześniej. Dookoła ciągnęła się monotonna równina, zamknięta łagodnym łukiem Bugu. Spokojny i płaski krajobraz, jak okiem sięgnąć, zdawał się nie kryć w sobie żadnej tajemnicy. Ale to tylko pozory. Z pewnością wszystko, czego się ostatnio dowiedziałam, stanowi zaledwie cząstkę dramatycznych wydarzeń, które rozgrywają się tu każdego dnia i każdej nocy...

275

Siedzieliśmy we trójkę, więc mogłam nie obawiać się, że Filip zechce poważnie porozmawiać. Jak co dzień, zbadał postępy rekonwalescentki. Na razie nie były zbyt wielkie, na to potrzeba czasu. Siedząc na słomianych balotach, słuchaliśmy z Wujkiem projektów rehabilitacji nogi, gdy kość już się zrośnie. Filip zamierzał doprowadzić do tego, aby klacz mogła chodzić, a może nawet biegać, nie kulejąc. Patrzyłam na niego i widziałam małego chłopca, który przychodzi do dziadkowego Kasztana, a w marzeniach ratuje filmowego Karino, który także przecież złamał nogę. Co prawda w serialu musiał być happy end i dzięki temu ogierowi pobrało się dwoje ludzi, którzy wcześniej nie znosili się nawzajem, ale to tylko fikcja. Ładna bajka. Życie nie jest takie proste.

Zaledwie zdążyłam to sobie pomyśleć, spod furtki rozległo się wołanie Ani. Kuśtykała w pośpiechu i na mój widok zaczęła coś szybko opowiadać. Nijak nie mogłam jej zrozumieć. Czułam, że w tych indiańskich okrzykach kryje się jakieś radosne

przesłanie. Ale o co chodzi?

Wkrótce okazało się, że skojarzenie z czerwonoskórymi było trafne. Strzeliłam jak z łuku.

- Wygrałam konia! - śmiała się Ania, gdy spotkałyśmy się w pół drogi. - Apacz jest mój i jutro mogę go odebrać!

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Gratuluję! Jak ty to zrobiłaś?! Udało ci się dodzwonić?

- Nie. - Ania nie przestawała się uśmiechać. - Poprosiłam ciocię z Warszawy, żeby za mnie zrobiła.

Musiałam ją uściskać. Wiedziałam, co znaczy spełnio-

276

ne marzenie. Tak właśnie czułam się na początku znajomości z Filipem.

- Winszuję sukcesu - wyciągnął rękę Wujek, który dopiero do nas dotarł. -

Przypuszczam, że wiem, kto będzie się nim opiekował, gdy ty wyjedziesz do szkoły. -

Uśmiechnął się do tego uosobienia szczęścia, którym w tej chwili była Ania Borek.

Dziewczyna zmieszała się, choć poprzez tę nieśmiałość przebijało wciąż ogromne zadowolenie.

- Jeśli byłby pan tak dobry... - prawie szepnęła, po czym zarumieniła się gwałtownie. - Ale ja nie mam czym zapłacić.

Wujek machnął ręką.

- Jakoś się dogadamy - powiedział, co znaczyło mniej więcej tyle, że jeśli jej rodzice zadbają o paszę, to on zajmie się pielęgnacją i treningiem za darmo. No, powiedzmy, że w zamian za pomoc sąsiedzką, której Borkowie i tak mu zawsze chętnie udzielali.

Filip zakasłał znacząco i obejrzelśmy się na niego. Stał za mną z dziwnie uroczystą miną i w ułamku sekundy zorientowałam się, że tym razem nie zdołam wywinąć się od rozmowy. Musiał być naprawdę zdesperowany, jeśli zdecydował się na nią przy świadkach.

Spuściłam wzrok w oczekiwaniu na to, co powie. Jakbym czekała na cios, który zaraz na mnie spadnie. Filip sięgnął do kieszeni i wyjął z niej ozdobne pudełeczko. Chyba nie pierścionek zaręczynowy?! - przemknęło mi przez myśl. To byłoby doprawdy niedorzeczne. I bezcelne. Nie usprawiedliwia go nawet fakt, że Joanna wreszcie rozumiała, że nigdy nie będą ze sobą szczęśliwi. Podobno, podburzana przez swoją matkę, sama do-

277

maga się przyspieszenia formalności i odzyskania wolności. Jeśli można wierzyć słowom Wujka. A chyba jednak można.

Wszyscy patrzyliśmy na miniaturowe puzderko, które Filip trzymał w dłoni.

- To dla ciebie - zwrócił się do mnie, unosząc wieczko. - Przyjmiesz?

Na białym jedwabiu leżała przepiękna broszka z szafirami w kształcie drzewka.

Popołudniowe słońce padało na nią ukosem i w jego świetle klejnot lśnił niezwykłym błękitem.

/